ISSN 0023-5148

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 7/610-8/611 1998

• « La Culture » • Revue mensuelle •

R. KACZMAREK: **NA ŚWIĘTO PRACY**
KS. J. TISCHNER:
EWANGELIA WEDLE SYNA
M. SKWARNICKI: **KRONIKA RODZINNA**
K. WOLICKI: **JAK KŁOPOTY TO NA WOJNĘ**
J.W. BOREJSZA:
LA POLOGNE RECONNAISSANTE

SPIS RZECZY

Robert Kaczmarek: *Na święto pracy* 3
Andrzej Koraszewski: *Notatki z podróży* 15
Gerard Labuda: *O naturze i strukturze kultury* 29
Mariusz Wilk: *Zapiski sołowieckie (XI)* 39
Marek Skwarnicki: *Kronika rodzinna* 49

WIERSZE

Adam Tadeusz Bąkowski: *Arrythmistół* 71
Tadeusz Chabrowski: *Eremita* 72
Ryszard Częstochowski: *Nigdy nas nie było* 72
Stanisław Dłuski: *Psalm dla Franciszka Witko* 73
Tomasz Hrynacz: *Rebelie. – Zakończenie* 74
Janusz Szuber: *Pierwszy wers* 74

KRAJ

Krzysztof Wolicki: *Jak kłopoty to na wojnę* 77
Ewa Berberyusz: *Kartki ze skażonej strefy* 88
SMECZ: *Z ukosa* 96
– *Pomoc dla chorych w Polsce* 107

O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA

Dominik Morawski: *Wyboista droga w stosunkach Watykan – Moskwa* 109

ROK MICKIEWICZOWSKI

Jerzy W. Borejsza: *La Pologne Reconnaissante* 112
Juliusz Słowacki: *Pan Tadeusz (fragmenty dalszego ciągu eposu)* 120
Napoleon Nowosielski: *Reduta Ordona w legendzie i rzeczywistości* 124

WYWIADY „KULTURY"

Janusz Mondry: *Przeciwko demokracji. (Rozmowa z red. Władysławem Oszeldą)* 138

SĄSIEDZI

Bohdan Osadczuk: *Polityka zagraniczna Ukrainy* 145
– *Specjalistyczne studia wschodnie* . . 150

NOTATKI REDAKTORA 153

KRONIKA KULTURALNA

Mirosław Adam Supruniuk: *Archiwa i kolekcje emigracyjne w Polsce* 158
Bolesław Taborski: *Kontakt '98* 172
P. Szawir *Trialog: w poszukiwaniu Vinety* . . . 179
Leszek Szaruga: *Recycling – metamorfozy* 181
– *Konkurs na pamiętniki młodego pokolenia wsi polskiej przełomu tysiąclecia* 189

Ciąg dalszy SPISU RZECZY na str. 224

P. 9.786 Chr. Arch.

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Lipiec-Sierpień/Juillet-Août 1998

INSTYTUT LITERACKI

WPŁATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Zdzisław Baran, Hamilton Square, NJ (USA) – dol. 34,00 . . . F. 204,00
Alice Carls, Jackson, TN (USA) . . . . . F. 370,00
Szczepan Kowalski, Johannesburg, RSA . . . . . F. 1.000,00
Kazimierz Mamak, Knutange (Francja) – po raz 17-ty . . . . . F. 100,00
Seweryn Palicki, Lidingo (Szwecja) – dla uczczenia pamięci Danuty Lgockiej-Górskiej, byłego więźnia obozu koncentracyjnego w Ravensbrück, zmarłej 25 stycznia 1998 r. w Nowym Jorku – SEK 200,00 . . . . . F. 150,00
Longin E. Sztachański, St. Petersburg, FL (USA) – po raz 48-my – dol. 20,00 – . . . . . F. 120,00
Tadeusz Wyrwa, Paryż – w 28-mą rocznicę śmierci śp. Ojca, Józefa Wyrwy – ps.: „Furgalski", „Stary" – jednego z najbliższych współpracowników „Hubala", później dowódcy samodzielnego oddziału partyzanckiego i następnie dowódcy 2-go Batalionu 25-go pułku AK . . . . . F. 500,00
Zamiast kwiatów na grób Stefana Soboniewskiego, zmarłego w Londynie, szczególnie zasłużonego dla Stowarzyszenia Polskich Kombatantów i Polskiego Funduszu Kulturalnego – Władysław Żeleński, Paryż . . . . . F. 300,00

DZIĘKUJEMY

BIBLIOTEKA NARODOWA BN
P. 9.786 Cw A

Na święto pracy

Zawsze byłem ciekaw, dlaczego od niepamiętnych czasów na Zachodzie robią lepsze rzeczy niż u nas. Na dodatek tamtejsze warunki pracy były i są znośniejsze niż u nas, a coraz liczniejsze formuły ustawowego zmniejszania czasu pracy rysują obraz zupełnie nie przystający do ponurych opowieści ultraliberałów, według których powinniśmy pracować więcej i za mniejsze wynagrodzenie.

Tak więc stoimy w obliczu prawdy prostej, łatwej do spostrzeżenia i trudnej do przyjęcia: na Zachodzie pracują skuteczniej niż my i mają się lepiej. Czym się różnią od nas? Czy zawsze pracują jak mrówki, ostrym konturem odcinając zachodni profesjonalizm od słowiańskiej poczciwości? Odpowiedzi szukałem na różnych punktach obserwacyjnych i o różnych porach dnia i nocy. Oto kilka okruchów całkiem oczywiście niepełnego obrazu.

Opowieść stróża nocnego

Po wyjeździe z Polski podjąłem w Paryżu pracę stróża nocnego. Ówczesny dyrektor paryskiego biura Solidarności Blumsztajn, który się niczemu nie dziwił, tłumaczył ludziom, że zrobiłem to, bo mi stróża brakowało w życiorysie. Miało to pozory polskiego romantyzmu, zważywszy, że nie przyjąłem atrakcyjnych ofert z emigracyjnych sfer politycznych, w tym kilku stanowisk kierowniczych. W rzeczywistości zgłosiłem się na tego stróża, bo po wieloletnim stażu opozycyjnym w kraju nadawałem się na zachodnim rynku pracy raczej na stróża, niż dyrektora.

Zaczynałem zatem dyżur stróża nocnego wieczorem, rozkładałem stołki i polegując słuchałem radia. Najwygodniejsze były stołki dyrektora, więc pracowicie wynosiłem je z budynku dyrekcji, a rano przed siódmą odnosiłem na miejsce. Idylla trwała trzy miesiące, dopóki dyrektor się nie zorientował i nie wpadł w szał. Wprawdzie odwiedzanie co dwie godziny dyrektorskiego obejścia celem sprawdzenia jego niepokalanego stanu należało do moich obowiązków, ale zasiadanie na fotelach było zawodowym błędem. Dyrektor pozwolił mi na dalszą pracę pod warunkiem, że porzucę pańskie stołki: w tym czasie jednak zebrałem już sporo obserwacji i dalsze stróżowanie mnie nie interesowało.

Pomiędzy różnymi doświadczeniami najciekawsze dotyczyło zasad BHP, co w terminologii PRL – nie wiem, czy nadal w użyciu – znaczyło Bezpieczeństwo i Higiena Pracy. Pilnowałem podparyskich składów wielkiej firmy naftowej British Petroleum i wyczekiwanie na wycie syreny alarmowej pomiędzy tysiącami hektolitrów ropy miało swoje znaczenie. Pewnej soboty późnym wieczorem rozdzwoniły się dzwonki, coś wybuchnie. Otworzyłem instrukcję, czytam: na dźwięk alarmu zadzwonić do inspektora od bezpieczeństwa, nazwisko, telefon. Dzwonię; senny głos kobiety pyta, co się dzieje. Zgłasza się inspektor, wyjaśniam sprawę. Inspektor bez chwili wahania proponuje mi, bym się odp... (*va te faire foutre*), on skończył pracę wczoraj o piątej po południu.

Niewykluczone, że poznali się już na inspektorze, bo instrukcja zaleca, by w następnej kolejności dzwonić do inżyniera oddziału. Wykonuję zatem konieczne czynności, inżynier oddziału jest w domu, w związku z czym mam prawo do wykładu o podziale obowiązków: jako stróż nocny jestem kapitanem okrętu (*maître du navire...*) i mogę liczyć tylko na siebie, lub Opatrzność.

Trzecim na instrukcyjnej liście jest zastępca dyrektora. Dzwonię: w słuchawce rytmiczna muzyka, z tła rozbawionych głosów wyłania się dyszkant dobrze już nadzianego gospodarza, po chwili jestem już uświadomiony, kiedy zastępca dyrektora skończył swą pracę.

Właściwie wystarczyłoby to na całość opowieści, ale jest jeszcze epilog. Stróżowanie na Zachodzie należy na ogół do

usług wyspecjalizowanego przedsiębiorstwa z zewnątrz. Wobec braku zainteresowania wyjącym alarmem ze strony dyrektorów British Petroleum, pozostali mi jeszcze przełożeni mojej własnej firmy. Zadzwoniłem więc do dyżurnego, który już mnie nie zawiódł. Zachować spokój, on zaraz przyjedzie. Po pięciu minutach otwieram bramę, wjeżdża dyżurny. Nie pyta o nic, wycie alarmu kieruje go do właściwego baraku. Wchodzimy do środka, dyżurny uważnie lustruje ekrany i wskaźniki, nieomylnym ruchem łapie za dźwignię wyjącego urządzenia i wyłącza go.

Nigdy się nie dowiedziałem, co było przyczyną alarmu, w każdym razie do rana nic w składzie nie wybuchło, z czego niezwłocznie skorzystałem, rozstając się z firmą. Z doświadczenia wynikały dwa wnioski. Po pierwsze, alarm nie ma prawa wyć po godzinach pracy dyrektorów. Jeśli zaś już zawyje, wówczas lepiej być dyrektorem British Petroleum, niż stróżem nocnym.

Opowieść kierownika

Kiedy objąłem kierownictwo francuskiego laboratorium, gdzie wcześniej spędziłem kilka lat przed mikroskopem, stosunki z kolegami uległy przejściowemu pogorszeniu: różniła nas ocena priorytetów, co wymagało wyjaśnienia na rychło zwołanym zebraniu. Wyłożyłem wówczas swoją wizję pracy, a w odpowiedzi Olivier, w cywilu prezes stowarzyszenia pływaków, wezwał mnie do tolerancji: prosilibyśmy, powiedział, żebyś uwzględnił, że ktoś woli wypić kawę niż pracować.

Postulat był tak oczywisty, że zasługiwał na głębszą uwagę, tym bardziej, że prezes pływaków był dobrym fachowcem i wychodził obronną ręką z każdej opresji, czego o sobie nie mogę powiedzieć. W szczególności wykazywał dużą sprawność kierując studenckimi projektami przemysłowymi; sam mało ciekaw przedmiotu, potrafił bezbłędnie wykorzystać doskonałe predyspozycje studentów, na ogół bardzo sprawnych, bo wyselekcjonowanych na surowym egzaminie wstępnym. W swojej specjalności szkoła uchodzi za najlepszą we Francji, szkoli doskonałych studentów i zrobi w terminie

każdy projekt przemysłowy. Pijąc swoją kawę prezes radził sobie doskonale, więc po co ta gorączka?

Przypomniałem sobie wówczas historię sprzed lat, kiedy z grupą poznańskich studentów odbywałem praktykę w Hannowerze. Ponieważ jako jedyny byłem w stanie zagadać po niemiecku, więc od razu ulokowali mnie w ciepłym kącie na uniwersytecie, żebym był pod ręką; w lokalnej agencji Niemieckiej Akademickiej Służby Wymiany stracili już nadzieję, że kiedykolwiek przyjadą z Polski ludzie z językiem.

W rezultacie nie musiałem ganiać do wytwórni części zamiennych Volkswagena, skąd wieczorami poznaniacy przynosili opowieści o piwie. Od początku do końca szychty Niemcy gasili pragnienie, smętnie popatrując na zwijających się jak w ukropie Polaków, którzy liczyli na to, że pracą się wzbogacą. Opowiadali mi raz o osiemnastu puszkach opróżnionych przez sprawnego mechanika; jeśli to prawda, to na koniec musiał być kompletnie pijany, nie ma mowy.

Tak czy inaczej, doszło do awantury, bo w takich warunkach nie mogło być inaczej. Niemcy zebrali się w kupę, otoczyli umordowanych pracą poznaniaków i dali im do zrozumienia, że im dokopią, jeśli nie przestaną podwyższać normy. Jeśli chcą, mogą dostać piwa. Ale na tym koniec.

Rozmyślałem o historii obu napojów, oczywiście nie z pozycji amatora, tylko kierownika. Zakończyliśmy zebranie, koledzy się rozeszli, a ja rozważałem zasady pracowniczej zaradności: jak się lubi kawę, to trzeba wysoko ustawić poziom egzaminów wstępnych. Jeśli zaś wolimy piwo, to nie należy brać polskich stażystów.

Opowieść uczonego

Gdy zacząłem kształcić doktorów nowoczesnych technologii, kandydat Francuz bez trudu dostawał dziewięć tysięcy franków miesięcznie, a absolwenci czołowych szkół mogli otrzymać jeszcze więcej. To było w roku 1992.

W następnych latach wiele się zmieniło. Przede wszystkim od czasów wojny w Zatoce za doktoratem rozgląda się coraz więcej Arabów, gotowych do przyjęcia znacznie niższego wynagrodzenia. Wysokie bezrobocie daje im niewielką szansę na znalezienie przyzwoitej pracy, a już najmniejszą w wyuczonym zawodzie. Mając do wyboru powrót do swojego kraju albo włóczenie się po ulicy, wybierają dalsze studia i godzą się na 3 tysiące stypendium.

Pieniędzy na tematy jest jednak coraz mniej, przemysł dokładnie ogląda każdego franka, zanim się go pozbędzie. Fabryki szukają obniżki kosztów własnych nie przez postęp technologiczny, tylko reorganizację, która najpierw oznacza zwolnienie zbędnych pracowników. Jeśli mają pieniądze na badania, lokują je raczej we własnych laboratoriach, co pozwala oszczędzić paru ludzi.

Odwrotną pocztą bije to we francuskich absolwentów, którzy dawniej, w czasach obfitości, mało interesowali się doktoratami, bo w przemyśle czy handlu od razu dostawali dwa razy więcej. Jeszcze przed kilku laty, każdy świeży inżynier z dobrej szkoły miał kilkanaście wyśmienitych ofert. W grudniu odbywało się u nas wielkie forum przedsiębiorstw, które przez dwa dni rozkładały standy w lokalach szkoły i łowiły kandydatów. Forum odbywa się nadal, ale oferty należą do rzadkości, a absolwenci spędzają kilka miesięcy na bezrobociu, czego w historii szkoły nie notowano.

W tej sytuacji Francuzi wykazują wzmożone zainteresowanie studiami doktoranckimi, lecz ilość ofert stypendialnych dramatycznie spadła.

Pewnego dnia zgłosiła się do mnie Sophie. Widywałem ją w przelocie na korytarzach szkoły; trudno było przeoczyć, że bardzo ładna. Zwykle rynek bez ociągania wchłaniał dziewczyny o podobnych walorach dla pełnienia funkcji reprezentacyjnych, które w praktyce przemysłowej odgrywają dużą rolę. Takie panny zarabiają na początku więcej niż inżynier w pracach rozwojowych.

Sophie nie chce sprzedawać swej urody, chce robić doktorat z magnetyzmu. Przebieg jej studiów jest bezbłędny: wszystkie egzaminy i wskaźniki dobrze zaliczone. Ile chce? Chciałaby 9 tysięcy, ale zgodzi się na sześć. Uświadamiam sobie, że tyle może kosztować kostium, jaki ma na sobie. No, więc czy dostanie tę szóstkę?

Nic mniej pewnego. Moja szkoła to firma prywatna i zasady wolnej konkurencji nie są jej obce. Tymczasem młodzi inżynierowie z krajów Maghrebu wzmocnili ofensywę: już nie potrzeba im trzech tysięcy, mogą pracować za darmo. Jeden z kandydatów ma brata handlarza, który sfinansuje mu studia. Drugi pracuje jako stróż nocny w paryskim hotelu podczas *week-endu* i poradzi sobie. Wreszcie jest i trzeci kandydat na jedyne miejsce, jakie mogę w tym roku ofiarować – mój własny doktorant Charif, który przed miesiącem błyskotliwie obronił dyplom, otrzymując gratulacje jury. Nie chce wracać do Algerii, gdzie albo pójdzie do armii i ścigać go będą integryści, albo połączy się z integrystami i zatłucze go wojsko. Może kontynuować pracę nad tematem bez wynagrodzenia, utrzymuje go żona, która szczęśliwie ma niewielkie stypendium doktoranckie w innej szkole...

Szef wskazał na Charifa, bo taki błyskotliwy. Charif posiedział parę miesięcy, dużo dzwonił, załatwiał, a wreszcie zniknął i przysłał nam kartkę z Kanady, dokąd dostał wizę pobytową. W tej sytuacji szef wskazał na Jusufa, stróża nocnego w paryskim hotelu. Zaradny jest i chętny, dać mu trzy tysiące.

Przez pierwszy rok Jusuf budził nasz niepokój, umęczony, niemrawy, z głową na biurku, albo nie wiadomo gdzie. Cóż jednak miał robić po nocnej zmianie? Koń by nie wytrzymał. W takich chwilach pracowałem za niego, co oczywiście podnosiło koszt doktoratu; wykazałem to szefowi czarno na białym i po półrocznych zabiegach udało mi się uzyskać podwojenie stypendium Jusufa. Biegnę z dobrą nowiną, sześć tysięcy – to pozwoli Panu na rezygnację ze stróżowania! Pozwoli, zgodził się Jusuf i nadal pojawiał się zielono-blady, i nadal posypiał na biurku.

Zachodziłem go to z tej, to z tej strony, bez trwałego efektu; wprawdzie zdarzały się chwile, kiedy pracował przyzwoicie, ale dość rzadko. Pewnego dnia zatem, zdecydowany na wszystko, zażądałem owocnej pracy. Na co Jusuf – nie mogę się zwolnić z nocnego stróżowania, bo stracę miejsce pracy i dokąd pójdę, jak zrobię ten doktorat?

Opowieść o Jusufie pozwala zrozumieć zasady gospodarczej roztropności. Gdy w poszukiwaniu skuteczności finansowej szkoła zaangażuje doktoranta za trzy tysiące, to najprawdopodobniej będzie on źle pracował, bo z takich pieniędzy nie wyżyje i będzie szukał dodatkowego zarobku. W celu zaradzenia sytuacji wykonujemy rachunek mentalny: jeśli dla wspomożenia prac doktoranta konieczne jest bezpośrednie zaangażowanie jego promotora, który zarabia, powiedzmy, dwadzieścia jeden tysięcy, i ten promotor poświęca, powiedzmy, jedną siódmą swojego czasu, co odpowiada trzem tysiącom jego zarobku, to lepiej dołożyć te trzy tysiące doktorantowi, żeby miał sześć – w rezultacie będzie pracował lepiej, a promotor zajmie się tym, za co mu płacą, to jest opieką naukową, a nie wykonawstwem.

Z tym, że jeśli doktorant pracuje jako stróż nocny, to cały rachunek nie jest wart funta kłaków. Ze stróżami nocnymi nie da się zbudować wolnego rynku. Chyba że poślemy im kogoś do pomocy: może uczonych?

We Francji i gdzie indziej

W instytucie badawczym wielkiej francuskiej firmy państwowej Alain był na skraju wytrzymałości: jego droga przez mękę trwała już od dwunastu lat i zapowiadała się na dalsze dziesięć, aż do emerytury. Przed laty, w następstwie sporu z przełożonymi, zdecydował nie ruszyć więcej palcem w bucie i jak dotąd mu się to udawało, ale – wbił we mnie pusty wzrok i rozłożył bezradnie ręce – muszę jeszcze wytrzymać do emerytury: od dziewiątej rano do piątej nie robić nic, zupełnie nic, to zaczyna przekraczać moje siły. Jak wytrwać?

W jednej z *grands écoles* rozpocząłem przed laty pracę ćwiczeniami na II roku. Jako neofita zgłosiłem się do profesora, żeby uzgodnić ćwiczenia z wykładami. Profesor popatrzył zdziwiony, wreszcie powiedział – zbiór ćwiczeń dostałeś, a co do reszty, to pamiętaj, że ja tu nie przychodzę po to, żeby pracować. Rób co chcesz, byle się studenci nie skarżyli i zostaw mnie w spokoju.

Wkrótce potem profesor został dyrektorem, a ja oddałem się rozważaniom, jak nie pracować, by pójść jego

śladem. I czy miałoby to potrwać do emerytury?

Po ogłoszeniu paru pożytecznych publikacji otrzymałem od Anglików zaproszenie do współpracy nad nową techniką obróbki blach elektrycznych. Projekt, w którym zaangażowani byli także Niemcy i Belgowie, w połowie miał być finansowany przez Unię Europejską. W ofercie Anglików wyczytałem, że chodziło o zagrażającą ludzkości ozonową dziurę; jeśli mianowicie blacha będzie wytwarzana według założeń projektu, to spadnie zużycie energii, w ślad za tym emisja dwutlenku węgla i dziura nad Antarktydą chyba z tego wszystkiego zniknie. Należało zatem zbudować eksperymentalną linię produkcyjną, przećwiczyć proponowaną technikę i wykazać wyższość Europy nad Ameryką i Azją.

Moim zadaniem było badanie zjawisk podstawowych – w żaden sposób nie skorelowanych z parametrami technicznymi projektu – ale mających tę zaletę, że urodą zdjęć mikroskopowych i ścisłością analizy fizycznej mogły wykazać rozległość zaangażowania partnerów, od fizyki (Francuzi) do technologii (reszta).

Przez trzy lata Belgowie byli zupełnie nieobecni, Anglicy opowiadali historie, Niemcy kiwali głowami, a ja robiłem swoje nikomu niepotrzebne zdjęcia mikroskopowe. Pomimo braku realizacji przemysłowej, po upływie przewidzianych trzech lat komisarz Unii Europejskiej zatwierdził wyniki prac na zebraniu końcowym, gdzie przedstawiliśmy przede wszystkim zdjęcia mikroskopowe. O eksperymentalnej linii produkcyjnej, nie mówiąc już o dziurze ozonowej, nie było już ani słowa, salonowych manier pilnowali angielscy gentelmeni, którzy jak wiadomo są nieufni wobec brukselskich technokratów, lecz jako ludzie dobrze wychowani nie będą pluli na brukselskie pieniądze.

Mógłbym tak doprawdy bardzo długo, złudnie licząc na wyższe honorarium autorskie, ale zakończę obrazkiem ściśle naukowym, czyli poprawnym. Pewnego dnia na konferencji w Wenecji zapytałem włoskiego fizyka, czołowej postaci w dziedzinie, dlaczego opublikował wyniki wyraźnie niedopracowane. Ależ przeciwnie, odparł Enio, poddałem je intensywnej i zakończonej obróbce. Zgoda, formuła jest uproszczona, tracąc dzięki temu na wartości, ale tylko w takiej postaci się przyjmie. Inaczej nikt by jej nie kupił, zakończył Enio i zapadł w milczenie.

Cwaniacy i reszta

Czy to karykatura? Taka sama, jak w opowieściach o triumfujących wilkach gospodarki, nowym elemencie mediatycznego firmamentu gwiazd, dokąd moi cwaniacy, bohaterowie pracy na opak, nigdy nie trafią. Tak czy inaczej, wszystko to są realnie istniejący aktorzy rynku, którzy przede wszystkim liczą na swój własny spryt, z tym, że gwiazdy wierzą ponadto w porządek handlowy, którego są bezdyskusyjną podstawą, a cwaniacy mniejszego kalibru nie wierzą w nic, całkiem tak, jak wykluczeni.

A w co mają wierzyć? W produkcyjne cele swej firmy, jakich nie pojmują? W zalety szefa, którym skrycie gardzą? A może w rozwiązanie problemu zatrudnienia przez technikę i wzrost gospodarczy? Przecież widzą, że rozwój nie tworzy wystarczającej ilości nowych miejsc pracy; w ciągu ostatniego dwudziestolecia produkt wewnętrzny Francji wzrósł o połowę przy trzyprocentowej jedynie zwyżce ilości pracowników. W Niemczech zaś obliczono, że gdyby tam wprowadzić najbardziej wydajne techniki, wówczas na 33 miliony istniejących jeszcze miejsc pracy, można by zlikwidować 9 milionów bez szkody dla produkcji. Liczba bezrobotnych przekroczyłaby tam wówczas 12 milionów ludzi, dwa razy więcej niż w latach kryzysu, który doprowadził Hitlera do władzy.

A może warto – źródłem nadziei będzie podział pracy? Kilka lat temu w Niemczech wierzono, że 35 godzin w przemyśle metalowym będzie zaczynem resocjalizacji bezrobotnych. Okazało się jednak, że robotnicy wypracowują swój nowy ryczałt, po czym... biorą godziny nadliczbowe, za które patronat chętnie płaci, ponieważ zyskuje na elastyczności pracy i mniejszych opłatach obowiązkowych. Tym sposobem w pierwszym roku po reformie Niemcy przepracowali 2 miliardy nadgodzin, co odpowiada grubo ponad milionowi nie stworzonych miejsc pracy.

W Japonii i w Niemczech podniesiono wiek emerytalny, podczas gdy wielu młodych nie znajduje swego miejsca na rynku pracy. Kadry wszędzie pracują coraz dłużej; we Francji nierzadkie są już japońskie obyczaje dziesięciogodzinnej dniówki, a jednocześnie tysiące absolwentów wyższych szkół bezskutecznie szuka pracy. Inżynier, który pracuje 50 godzin tygodniowo, osiągnie wyższe premie, ale dochód jego rodziny może ulec silnej obniżce gdy zwolnią z pracy żonę, albo dorosłe dzieci, co wyryje mu we własnym domu frontową linię postindustrialnej walki klas – pracujący przeciw wykluczonym.

Wyniesiona na piedestał zasada emancypacji przez technikę i wyzwolenia przez konkurencyjną pracę, otwiera przed wieloma wizję osobistej katastrofy, a przed wszystkimi perspektywę moralnego i filozoficznego nihilizmu, co nakłania licznych Europejczyków do sprzeciwu wobec przymusu pracy i futurystycznego optymizmu. Ludzie pracują tu rzeczywiście wydajnie, ale też bez kompleksów rzucają wyzwanie porządkowi handlowemu, niekiedy w postaci jawnej prowokacji, czasem w formie ukrytego cwaniactwa, a najczęściej poprzez zorganizowaną walkę o wyższą jakość życia.

Z moich własnych doświadczeń wynika, że w odróżnieniu od znanych mi przypadków złej pracy polskiej, gdzie najczęściej dostrzegałem brak wyobraźni lub umiejętności, w złej pracy na Zachodzie dużą rolę odgrywa sprzeciw i oburzenie, które skłoni najemnika do zwolnienia rytmu pracy jako aktu zemsty, lecz w ramach bezpieczeństwa, gdy ukryty za zasłoną wyćwiczonej obłudy niby robi, niby nie robi, ale zawsze starannie omija pułapki ujawniania i kontroli.

Jednym ze źródeł pomyślności ustrojowej zachodniej Europy jest wolność przeżywana na wszystkie sposoby, układająca się w pełny wachlarz postaw; ani rozum, ani doświadczenie nie wskazują na to, by proporcje rzetelności i cwaniactwa były inne wśród najemników, a inne po stronie kapitału. Różnica polega na tym, że jeden myśli o zysku, a drugi o zarobku, to jest o małym zysku, co wśród najemników może zaowocować poczuciem zniewagi i odruchem zemsty; gdy poskrobać skorupę towarzyskiej poprawności, to ujawni się zaskakująco solidny, uświadomiony i stymulujący

zespół uczuć negatywnych w stosunku do szefa, patrona albo firmy, uczuć, którym dorównać może tylko pracowicie maskowana pogarda hierarchii dla najemników.

Stabilności temu układowi nadal jeszcze udziela układ ram prawnych i obyczajowych ułatwiających rozładowanie konfliktów poprzez lekką zmianę w podziale zysków, których zatem istnienie warunkuje skuteczność wszelkich regulatorów społecznych; tak długo, dopóki na rynek zachodni nie zawita nowy głęboki kryzys, wszystko jeszcze da się załatwić. W szczególności nikt nie kwestionuje kapitałowi prawa do maksymalizacji zysków, ale też nikt nie zadowoli się obelgami w obliczu aktów zbiorowego protestu, zarówno bowiem wola pieniądza, jak i uzgodnione żądania najemników są przejawem siły, to znaczy że mają rację, pewną rację. Jedna z takich racji mówi o skróceniu czasu pracy bez utraty na zarobkach.

Ku trzydziestu dwóm godzinom

O potędze tej racji można się przekonać obserwując losy norm czasowych, stale zmniejszanych, pomimo zawziętego oporu kapitału. We Francji w 1814 roku niedziele i święta katolickie ogłoszono wolnymi od pracy. 1841 rok to redukcja dniówki dzieci 8-12 letnich do ośmiu godzin, a starszych – do 12 godzin. W 1900 roku maksymalna dniówka nie powinna już przekraczać 10 godzin, a koniec I wojny ujrzał dniówkę ograniczoną do 8 godzin, z sześcioma dniami pracy w tygodniu. Rządy lewicowe wprowadziły w 1936 roku 40 godzinny tydzień pracy i 2 tygodnie urlopu płatnego; trzeci tydzień dołączył w 1956 roku po zwycięskich strajkach w zakładach Renault, czwarty – również w następstwie umowy pilotowej w Renault w roku 1963. Piąty tydzień płatnego urlopu wprowadził rząd prezydenta Mitterranda w 1982 roku, ustalając zarazem tygodniówkę na 39 godzin.

Wreszcie w kwietniu br. francuski parlament przyjął ustawę o 35 godzinnym tygodniu pracy, a w tydzień później robotnicy Danii wyszli na ulicę domagając się szóstego

tygodnia płatnego urlopu. Ich częściowy sukces malowniczo się skojarzył z inną nowiną rynkowych przemian, jaką było połączenie gigantów przemysłu samochodowego – niemieckiego Deimler Benz i amerykańskiego Chryslera. Połączone siły czterystu tysięcy pracowników pozwolą na obniżkę kosztów handlowych i rozwojowych poprzez kompresję etatów, czemu naturalnie zaprzeczają obie dyrekcje, zapraszając zarazem bardzo jak się zdaje chętne związki zawodowe do uczestnictwa w radzie nadzorczej. Jako uczony natychmiast pogrążam się w rozważaniach dotyczących natury takiego mariażu. Jedno z dwojga: albo związki zawodowe przystąpią do zwolnień pracowników, albo rada nadzorcza zajmie się organizacją pochodów pierwszomajowych, których tradycja bardzo w narodzie podupadła.

Robert KACZMAREK

Notatki z podróży

W ostatnich latach bywałem w Warszawie ale nie widziałem Polski. Tym razem pojechaliśmy z żoną samochodem, z zamiarem dotarcia do miejsc, o których nie pisze się ani w *Polityce,* ani w *Gazecie Wyborczej*. Po przekroczeniu granicy w Zgorzelcu natychmiast skręciliśmy w prawo, do leżącego w odległości dziesięciu kilometrów od tego miasta Osieka Łużyckiego. O tym, że istnieje jakiś Osiek Łużycki dowiedziałem się wcześniej z internetu, ponieważ tamtejsza szkoła podstawowa ma pracownię komputerową i swoją stronę w internecie. Pracownia komputerowa to może zbyt dużo powiedziane, trzy stare komputery i zwariowanego męża pani dyrektor, inżyniera z elektrowni w Turowie, który postanowił, że nauczy dzieci w Osieku podstaw informatyki. Pan Bogdan wyżebrał od jakiejś instytucji trzy komputery, wykombinował do nich dodatkową pamięć i nie oglądając się na to, kto mu za to zapłaci, rozpoczął naukę. Kiedyś uczył w szkole fizyki, ale metodologii nauczania informatyki poszukiwał sam. Najpierw próbował z najstarszymi klasami sądząc, że starszym dzieciom łatwiej będzie wyjaśnić zasady funkcjonowania komputera. Szybko jednak doszedł do wniosku, że z informatyką jest dokładnie tak jak z nauką języków, im szybciej tym lepiej, zanim zaczną pytać dlaczego i zanim zaczną się bać. Teraz główne uderzenie idzie na drugą klasę. Starszym też trzeba dać jak najwięcej, ale naprawdę dobre rezultaty uzyskuje się z najmłodszymi.

Do szkoły w Osieku chodzą dzieci z dziesięciu okolicznych wsi. Rodzice, w większości byli pracownicy PGR-ów, z reguły bezrobotni, sporo problemów z alkoholizmem, wiele

dzieci jest niedożywionych. Szkoła funkcjonuje jako agenda gminnego ogródka pomocy społecznej, tędy idą zapomogi finansowe i pomoc materialna. W Osieku Łużyckim Instytucja Edukacji Narodowej mieści się w ponurym, dwupiętrowym budynku z małymi oknami. W środku jasne ściany, kolorowe rysunki, nowoczesne pomoce szkolne. Większość dziewcząt idzie po podstawówce do szkół średnich z maturą, część z nich trafia potem na studia. Chłopcy częściej kończą na zawodówce. Dyrektorka szkoły, pani Beata, mówi, że za jej kadencji (a uczy w tej szkole od kilkunastu lat) tylko jeden z jej absolwentów skończył potem studia uniwersyteckie.

Pani Beacie trudno o optymizm, obawia się, że bezrobocie w tym regionie wzrośnie, a nowe miejsca pracy nie będą się pojawiać. Szansą kolejnego pokolenia jest tylko nauka, ale środków jest coraz mniej, a planowana reforma szkolnictwa, jej zdaniem, uderzy w szkoły na wsiach i pogorszy i tak bardzo trudne warunki nauczania.

Z Osieka jedziemy do Opola. Dopiero później dowiaduję się, że „autostrada" ze Zgorzelca do Wrocławia jest słynna i kierowcy wolą jej unikać. Nawierzchnia przypomina zabójczą dla samochodu tarkę do prania, przy drodze stoją „tirówki", prostytutki czekające na klientów, niektóre mają wyraźnie mniej niż szesnaście lat. Dużo ich. Czy popycha je do tego procederu nędza, czy tylko chęć zdobycia pieniędzy na ciuchy i zabawę? W to pierwsze mimo wszystko dość trudno uwierzyć.

Nocujemy w Opolu i od rana idę do kuratorium. Pani dyrektor wydziału nauczania podstawowego nie jest pewna czy może rozmawiać z dziennikarzem i zdecydowanie odmawia jakichkolwiek komentarzy na temat planowanej reformy szkolnictwa. Na moje pytanie o specyficzne problemy szkolnictwa w regionach wiejskich patrzy na mnie ze zdziwieniem. Jej zdaniem nie ma żadnych różnic między warunkami pracy szkół w miastach i na wsi. Nie ma również żadnych statystyk na temat wyników nauczania w różnych typach szkół, ani na temat losów absolwentów. Jej zdaniem o takie rzeczy należy pytać w gminach. Zgadza się ze mną, że praca szkoły w znacznym stopniu zależy od jej dyrektora, ale moje dalsze pytania sprawiają jej kłopot.

– Czy kuratorium ma prawo veta przy obsadzie dyrektora szkoły?

– Nie, bo na dyrektora są konkursy.

– Czy kuratorium może doprowadzić do zwolnienia niekompetentnego dyrektora szkoły?

– Może składać zażalenia, ale to się jeszcze nie zdarzyło.

Czy są niekompetentni dyrektorzy?

Na to pytanie nie dostaję już żadnej odpowiedzi.

– Jakie są obecnie, po przekazaniu szkół samorządom, kompetencje kuratorium?

Jest to kolejne pytanie, najwyraźniej stanowiące przeszkodę nie do pokonania. Otrzymuję okrągłą odpowiedź, z której wynoszę wrażenie, że moja rozmówczyni stąpa po grząskim gruncie. Jej wyraźne zmieszanie wyjaśni mi później kurator z innego miasta mówiąc wprost, że kuratoria nie mają jasno określonych kompetencji, że rozpaczliwie próbują usprawiedliwić swoje istnienie i wymyśleć sobie jakąś rolę w nowej sytuacji, po przekazaniu szkół samorządom i w przededniu zarówno reformy administracyjnej jak i reformy w szkolnictwie.

Po samym Opolu oprowadza nas znajomy dziennikarz. Pięknie odnowiony rynek, czysto, schludnie i zamożnie. W niżej położonych dzielnicach widać nadal ślady powodzi, trwa suszenie i remonty murów, wymiana okien. Na domach widać wyraźnie dokąd podeszła woda.

Z Opola jedziemy przez Częstochowę do Warszawy. W wielu miejscowościach jedyne nowe lub świeżo wyremontowane budynki to kościoły i plebanie, koszmarna architektura domów, zdobione betonem brudno-szare klocki z płaskimi dachami, zaniedbane podwórza, mało kwiatów i mrowie ozdobionych figurek przy drogach. Te kwiaty i zdobiące święte figury kolorowe wstążki jeszcze bardziej podkreślają ponury wygląd ludzkich siedzib. W miarę zbliżania się do Warszawy pejzaż stopniowo się zmienia, rośnie liczba kolorowych reklam przy drogach, pojawia się coraz więcej nowych domów. Ich architektura radykalnie odbiega od wszystkiego co było wcześniej, czasem straszą nadmierną ilością zdobień, wieżyczek, balkonów i wykuszy, ale cieszą oko jasnymi tynkami i kolorowymi dachami. Zadbane ogródki, ewidentny powrót dobrosąsiedzkiej zawiści.

Warszawa, sterta spraw do załatwienia, ale najbardziej interesuje mnie Tomek Bonecki. Młody człowiek, syn nauczyciela i ludowego działacza, administrator serwera PSL, krótko mówiąc główna sprężyna inicjatywy pod nazwą „Internet za darmo". Kiedy kilka lat temu Waldemar Pawlak wyznał publicznie swoje marzenie, żeby komputer trafił pod strzechy, wśród warszawskich dziennikarzy i socjologów śmiechom i żartom nie było końca. Tak się złożyło, że syn byłego nauczyciela Waldemara Pawlaka studiował informatykę i właśnie jemu powierzono zorganizowanie serwera, którego jednym z zadań są usługi internetowe dla szkół, a w szczególności dla szkół na wsiach. Czy eksperyment się udał? Chwilowo z usług tego serwera i z darmowego dostępu do internetu korzysta blisko dwieście szkół, z tego ponad połowa to szkoły podstawowe na wsiach oraz zawodowe szkoły rolnicze. Trudno przecenić znaczenie tej inicjatywy. Internet w szkole zaczyna się czasem od jednego komputera i modemu, doświadczenie techniczne i metodologiczne nauczycieli wprowadzających informatykę jest często dość ograniczone. Dla Tomka Boneckiego jest to pasja i wyzwanie, zawsze dostępny, zawsze gotowy do pomocy. Środki są skromne, kontakt ze szkołami jest głównie przez telefon i za pośrednictwem poczty elektronicznej, ale również przy okazji wszelkich konferencji na temat oświaty oraz innych imprez, które ściągają do Warszawy nauczycieli z terenu. Telefon i komputer radykalnie zmieniają charakter wiejskiego środowiska, nowa technika przerywa społeczną i środowiskową izolację; te nowe narzędzia są pomostem do nowoczesnego świata, pozwalają się komunikować, a samym nauczycielom i dzieciom dostarczają najnowszych pomocy dydaktycznych. Wiejskie szkoły są jednak biedne, nie mają wielkich szans na sponsorów, przedsiębiorcy i środowisko dziennikarskie nie zawsze rozumieją jak nieprawdopodobnie wielkie znaczenie może mieć komputer w wiejskiej szkole, jak bardzo może być użyteczny w modernizacji wiejskiego środowiska i w ułatwianiu procesu zmiany struktury zawodowej na wsi. Prasa mogłaby bardzo wiele zrobić, żeby wzmocnić zainteresowanie przedsiębiorstw wyposażeniem wiejskich szkół w komputery. Oczywiście wymaga to pewnej ostrożności, bo są wiejskie szkoły, w których komputery są zamknięte w szafach i są szkoły, które

prowadzą intensywne zajęcia z dziećmi na jednym, mocno sfatygowanym PC. W Osieku dzieci mają dostęp do komputerów po osiem do dziesięciu godzin dziennie, w miejscowości K. uczniowie widzą z daleka komputer, kiedy są wzywani na rozmowę do gabinetu dyrektora.

Najkrótszą opinię o pracy Tomasza Boneckiego dał mi dyrektor szkoły podstawowej w Paczkowie pod Poznaniem: „świetna robota, bez zarzutu". W Paczkowie pracownia komputerowa działa już od kilku lat i z roku na rok coraz więcej uczniów po ukończeniu szkoły podstawowej idzie do szkół o kierunku informatycznym. Ich szanse na otrzymanie pracy po zakończeniu nauki są stosunkowo pewne.

Z Warszawy jedziemy do Kazimierza Dolnego. Zawsze był piękny, ale widać jak odżył. Pojawiły się nowe pensjonaty, wiele domów jest świeżo odremontowanych, świetne zaopatrzenie. Nadal wiele starych budynków zajętych jest przez urzędy, powinny tu być restauracje i hoteliki, i zapewne władze miejskie zaczną niebawem sprzedawać te obiekty zarabiając na tym pieniądze i szansę, że do tych budynków powróci życie. Przemysł turystyczny ciągle jeszcze zbyt wolno wpływa na zmiany na rynku nieruchomościami. Widać to w Kazimierzu, ale jeszcze wyraźniej do nowych właścicieli tęsknią renesansowe kamienice w Lublinie. Lubelska przedsiębiorczość jest widoczna i jest imponująca, ale ciągle nie dotarła jeszcze do punktu, w którym znakomite fasady starych domów traktowane będą jako kapitał firm żyjących z turystów. Zmiana wisi już w powietrzu i przykład Krakowa czy Gniezna wskazuje, że i w Lublinie jest to kwestia czasu i że nadzieja na uratowanie wspaniałych, zabytkowych kamieniczek tego miasta jest całkiem uzasadniona.

Z Lublina jedziemy do Lubartowa i Baranowa. Dwa miasteczka w Lubelskiem, w których czas się zatrzymał. Kobiety tkwiące nieruchomo w oknach, mężczyźni popijający piwo na ławkach, zamożne domy przedsiębiorcy pogrzebowego i księdza, knajpa, w której serwują golonkę na papierowym talerzu, sympatyczny barman patrzący ze zdziwieniem na przybyszów z innego świata. Jedziemy do Kozienic. Kozienicka Puszcza, tereny rekreacyjne, musi być jakiś hotel. Rzeczywiście był. Nie kierowały do niego drogowskazy, ani reklamy. Można do niego dotrzeć przy pomocy ustnej

informacji od mieszkańców. Nosi wdzięczną nazwę Miejsko-Gminnego Ośrodka Sportu i Rekreacji. Pięknie położony w lesie nad jeziorem, z zamkniętą na cztery spusty kawiarnią i okrutnie obskurną stołówką, w której na śniadanie i kolację można dostać zalewaną w szklance kawę, ale personel miły i uczynny pozwalał się domyślać, że ten monument socjalistycznej przeszłości powoli zmienia skórę. W samym mieście kilka znakomicie zaopatrzonych sklepów. Kapitalizm już tu jest, chociaż nie dla wszystkich równie życzliwy. Na murach kilka antysemickich napisów, ale i zabawny krzyk o odrobinę tolerancji. Długa rozmowa z miejscowym lekarzem, zwolennikiem kary śmierci, zniesienia wszelkich podatków oraz diety cud polegającej na jedzeniu dużych ilości tłuszczu i rezygnacji z jedzenia owoców. Wyjeżdżaliśmy nie przekonani, ale zaopatrzeni w lekturę wydawanego przez Korwina-Mikke czasopisma „Najwyższy czas". Ponoć w Kozienicach UPR jest potęgą.

Po Kozienicach Zaduszniki. Jedziemy prawym brzegiem Wisły. Zatrzymujemy się w Wyszogrodzie i w Dobrzyniu nad Wisłą. Wyszogród – miasto, w którym warszawski socjolog i były senator płocki, Andrzej Celiński jeszcze jako uczeń chciał zostać burmistrzem. To jego marzenie przypomniało mi dowcip o polskim i czeskim przedstawicielu fabryki butów na Saharze. Polak uznał, że sprawa jest beznadziejna, ponieważ wszyscy chodzą boso, Czech doniósł swojemu pracodawcy, że odkrył nowy, wspaniały rynek, gdzie wszyscy jeszcze chodzą boso. W Wyszogrodzie wszystko jest jeszcze do zrobienia i miasto nadal czeka na swojego burmistrza. Malowniczo położone nad Wisłą miasteczko, podobnie jak Dobrzyń, może kiedyś konkurować z Kazimierzem Dolnym. Budowlane działki na skarpie rzeki można jeszcze kupić za psi grosz, kto mógł wyjechał, mieszkańcy Wyszogrodu nie podniecają się nawet sporami o liczbę województw. Kupujemy w sklepie kilka bułek, topiony ser i dwa pomidory. Żartem proszę jeszcze o szczyptę soli. Ekspedientka bez słowa wychodzi na zaplecze i po chwili przynosi mi maleńką torebeczkę ze szczyptą soli. Kto wie, może to najważniejsza zmiana, którą zauważa się niemal wszędzie – podniósł się poziom zwyczajnej, spontanicznej i nie opłaconej ludzkiej życzliwości. Jeśli ta obserwacja jest prawdziwa, jeśli nie podparł jej przypadkowy zbieg okoliczności, to powstaje fundament, na

którym daje się całkiem dużo zbudować. Ta szczypta soli z Wyszogrodu jest solidną przeciwwagą kilku warszawskich spotkań, zdominowanych przez obmowę wszystkich i wszystkiego.

Zaduszniki, gmina Wielgie, nauczycielskie mieszkanie z paryską *Kulturą* na półkach. Gospodarze, słuchacze BBC, którzy kiedyś odwiedzili naszą londyńską redakcję i dali się polubić na resztę życia. Rano zwiedzanie szkoły i spotkania z innymi nauczycielami z Zadusznik. Najciekawsza rozmowa z grupką uczennic na ulicy przed szkołą. Wszystkie marzą o ucieczce do miasta. Nie wyobrażają sobie, że życie na wsi może mieć jakiekolwiek pozytywy. W całej klasie tylko jeden chłopiec chce tu zostać. Moi przyjaciele mają do tego dość ponury komentarz – miasto ich nie przyjmie, zostaną rozgoryczonymi żonami miejscowych bezrobotnych.

Wcześniej moi warszawscy rozmówcy z wyżyn swojej ignorancji zasypywali mnie informacjami na temat poziomu zatrudnienia w zachodnim rolnictwie. To, że moment głównej redukcji tego zatrudnienia przypadał na okres, w którym przemysł brał wszystkie nadwyżki ze wsi i jeszcze importował siłę roboczą z Trzeciego Świata, nie było dla nich całkowitą nowością. W zapale zapomnieli tylko skojarzyć te dwie powszechnie dostępne informacje.

W Zadusznikach jest Stacja Kontroli Pojazdów. Jak informuje mnie jej właściciel, jego przedsiębiorstwo robi rocznie 1200 obowiązkowych przeglądów stanu technicznego samochodów osobowych. Rocznie przybywa mu około stu klientów. Większość gospodarstw ma już samochody, ale jeszcze przez kilka lat dominować będą maluchy. Póki się ten szmelc nie wykruszy życie wiejskiego mechanika samochodowego będzie trudne. Jest już trochę nowoczesnych wozów, nowych i tych bardziej sfatygowanych i to jest początek prawdziwej motoryzacji, która wymagać będzie nowoczesnej obsługi. Wraz z motoryzacją, telefonizacją i komputeryzacją wieś będzie takim samym, albo lepszym miejscem zamieszkania jak miasto, tyle, że ludzie muszą nauczyć się nowych zawodów.

Dom pana Przybyszewskiego jest nowy i nowocześnie urządzony. W okolicach Włocławka pojawiło się na wsiach sporo nowych domów, część z nich bardzo zamożnych. Zda-

niem uboższych mieszkańców okolicznych gmin „to wszystko zbudowane jest na szmuglu i innych przekrętach". Oczywiście nie ma na to żadnych dowodów. Między zamożnymi i ubogimi wyrósł niewidzialny mur wzmacniany betonem wzajemnych niechęci i przesądów.

Ludzie muszą nauczyć się nowych zawodów. Jadę do pobliskiej wsi Wielgie. Szkoła ma kilku nauczycieli, którzy tu wyrośli, skończyli studia i wrócili do swojej wsi. W moich doświadczeniach jest to pierwszy tego rodzaju przypadek. Z reguły kto zrobił maturę, ten uciekał gdzie pieprz rośnie. Dyrektorzy wiejskich szkół zazwyczaj nie mają pojęcia o losach swoich najlepszych absolwentów. Dyrektor Dobrzecki ze wsi Wielgie śledzi dalsze losy swoich uczniów. Większość została w województwie i jest z nimi jakiś kontakt. W rolnictwie niestety zostają najsłabsi, tak było zawsze i tak jest w dalszym ciągu, chociaż teraz samo życie zapewne zmusi do zmiany. Wśród moich wiejskich rozmówców pan Kazimierz jest również jedynym optymistą na temat planowanej reformy szkolnictwa. Struktura szkół na wsiach musi się zmienić – mówi – na to nie ma rady. Oczywiście powstaną problemy z dojazdami, ale szkoły muszą być większe, lepiej wyposażone, musi być kadra nauczycieli, którzy będą mogli uczyć języków obcych, informatyki, którzy będą mieli lepsze kwalifikacje. Obecny system subwencji musi się zmienić, bo sytuacja jest dramatyczna. Dzięki pomocy Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa szkoła w Wielgiem ma pracownię komputerową, w której jest siedemnaście komputerów. Podstaw informatyki uczą się wszystkie dzieci z klas ósmych, do pracowni dojeżdżają również dzieci z Zadusznik. Ale godzin nauczania jest zbyt mało, nie mamy pieniędzy, chociaż wiemy, że informatyka powinna być jednym z priorytetów. Pracownia nie jest podłączona do internetu. Łącza telefoniczne są nazbyt słabe i dopóki nie będzie nowej centrali sprawa jest beznadziejna. Powracam do mojej rozmowy z uczennicami w Zadusznikach – jakie ambicje mają uczniowie w Wielgiem, jak sobie wyobrażają życie za dziesięć lat? Kto wie, może to jest jedno z najtrudniejszych wyzwań nauczyciela w wiejskiej szkole, pokazanie świata, który przyjdzie, rozbudzenie wyobraźni, stworzenie nadziei, że te dzieci mają szansę. Niestety, sami nauczyciele mają z tym

problem, czasem trudno z siebie wykrzesać entuzjazm, częściej drepczemy w miejscu, borykając się z problemem alkoholizmu rodziców, biedy, codziennych zajęć. Tymczasem te dzieci rzeczywiście potrzebują wizji, chwilowo widzą głównie marazm, bezrobocie swoich rodziców, słyszą o tym, że gospodarstwa ich rodziców znikną i że nie ma dla nich miejsca. My też częściej je straszymy niż dodajemy otuchy.

Problem rozbudzenia wyobraźni uczniów jest również ważny dla Jerzego Żetońskiego, dyrektora Zespołu Szkół Rolniczych w Dobrzyniu nad Wisłą. Do jego szkół trafiają uczniowie, którzy mieli słabsze stopnie w szkole podstawowej, nie dostali się do szkół ogólnokształcących, albo nie odważali się nawet o tym marzyć. Trafili do szkół rolniczych, ale większość z nich nigdy nie będzie pracowała w rolnictwie. Będą pracować w usługach dla rolnictwa, w turystyce, albo będą musieli sobie poszukać zupełnie innego zawodu. Znakomita część tych szkół rolniczych niebawem zniknie, tymczasem muszą one przygotowywać do życia w nowym świecie. Jak to zrobić? Dyrektor Żetoński ma swój własny plan – trzeba im pokazać świat i w związku z tym szkoła organizuje wyprawy w góry i nad morze, za psi grosz, pod namioty, lub do zaprzyjaźnionych szkół rolniczych, z własnym jedzeniem, najtańszym transportem, byle więcej i byle częściej. Te dzieci trzeba wyciągnąć z marazmu, muszą zobaczyć najlepsze gospodarstwa małe i średnie, trzeba im pokazać jak może działać na wsi turystyka, trzeba im wbić w głowy, że nie ma ani nowoczesnego rolnictwa, ani zysków z turystyki bez higieny. Oczywiście trzeba ich uczyć nowoczesnej księgowości, agrobiznesu. Cokolwiek będą robili, muszą się nauczyć liczyć, muszą umieć kalkulować najpierw w zeszycie, potem przy pomocy komputera. Namówiłem nauczycieli, żeby sobie kupili komputery i sami pracowali na komputerach w domu, w szkole mamy od czterech lat dużą pracownię komputerową. Nie tylko prowadzimy zajęcia z uczniami, ale mamy również kursy komputerowe dla rodziców. Proste programy prowadzenia księgowości w gospodarstwie. To są dopiero początki, tego komputera w gospodarstwie jeszcze nie ma, ale żeby był, to rolnik musi się dowiedzieć, co mu taki instrument daje. Dostają zeszyty, zapisują, przenosi się to później do komputera i odkrywają

nowy świat. To jest praca organiczna i jej rezultaty pokażą się dopiero za rok, dwa czy nawet za pięć lat. Dla samych uczniów ten komputer staje się czymś oczywistym, narzędziem pracy, którego brak będą odczuwać i którego kupno będzie inwestycją, a nie luksusem.

Zwiększa się ilość dobrych gospodarstw, ciągle na tym terenie mamy ogromne pole do popisu jeśli idzie o rozwój przetwórstwa rolnego i, oczywiście, turystyki. Próbujemy ich jakoś związać z regionem. Przedtem nikt o tym nie myślał. Ziemia Dobrzyńska leży w trójkącie Wisły, Skrwy i Drwęcy, jest bardzo piękna, ma interesującą historię, może być również jednolitym regionem gospodarczym. Udało nam się wciągnąć nauczycieli w prace działającego od dwóch lat Stowarzyszenia Ziemi Dobrzyńskiej. Próby zarażenia młodzieży regionalnym patriotyzmem są obecne na wszystkich przedmiotach, dowiadują się, że mamy być z czego dumni, że tu jest bardzo pięknie i to zaczyna działać, zaczyna przynosić efekty.

Dyrektor Żetoński jest dumny, że w ubiegłym roku połowa absolwentów Technikum Rolniczego poszła dalej do szkół wyższych, że ten jego zespół szkół rolniczych nie jest ślepą uliczką, zdolni uczniowie mogą przeskoczyć ze szkoły zawodowej do technikum, a z technikum pójść na wyższe studia, mówi o ciągłych próbach dostosowania profilu nauczania do zmieniającej się rzeczywistości, o próbach nauczenia uczniów elastyczności, przygotowania ich do przeskoczenia od jednego zawodu do drugiego. Do tego muszą jak najwięcej zobaczyć i mieć jak najlepsze obeznanie z nowoczesną techniką. Komputer nie jest tu tylko symbolem nowoczesności, może być do niej kluczem. W Warszawie ujmuje się to inaczej „oni muszą zmienić swoją mentalność", dyrektor Żetoński powtarza bez końca – „moi uczniowie muszą zobaczyć świat", w gruncie rzeczy chodzi o to samo.

Włocławek, pani Katarzyna Kopaczewska jest tu kuratorem od kilku tygodni, wcześniej była konsultantem do spraw doskonalenia kadry nauczycielskiej. Jej zdaniem reforma szkolnictwa jest już czymś realnym i tym razem ruszy z kopyta. Jak kuratorium uczestniczy w dyskusji na temat kształtu tej reformy? Pani kurator informuje, że pracownicy kuratorium mają ją promować. Jednym z celów reformy ma

być wyrównanie szans w oświacie. Szczególnie chodzi tu o oświatę na wsi, bo reforma ma doprowadzić do radykalnego wzrostu nauczania na poziomie średnim i wyższym, a więc szkoły wiejskie muszą lepiej przygotowywać do tego, aby uczniowie uczyli się dalej. Kiedy podkreślam, że nauczyciele wiejskich szkół z reguły z obawą patrzą na plany wprowadzenia bonów edukacyjnych i nowej struktury szkolnictwa podstawowego, pani Katarzyna stwierdza, że te sygnały docierają do kuratorium i że ona sama podziela te lęki. Bony edukacyjne są jeszcze czymś bardzo abstrakcyjnym i trzeba się temu z uwagą przyglądać, ale propozycja podziału na szkołę podstawową i gimnazjum jest dobrą propozycją, ponieważ należy zwrócić uwagę na rozwój dziecka i ten nowy podział może stworzyć warunki innych form pracy z dzieckiem. Jakie jest rozeznanie na temat specyficznych problemów szkolnictwa na wsi? Pani kurator twierdzi, że zupełnie dobre, ale konieczny jest nowy styl pracy w szkole. Nasi nauczyciele nie są źli, muszą się jednak doskonalić. Pieniądze na doskonalenie są, trzeba przybliżyć kształcenie nauczycieli do ich miejsc pracy. Kształcenie nauczycieli będzie w przyszłości jednym z głównych zadań kuratoriów. Pytam o dyrektorów szkół. Czy istnieje szansa na wzmocnienie kryteriów wyboru tych dyrektorów szkół? Zdaniem Katarzyny Kopaczewskiej pojawienie się systemu konkursów było poważnym krokiem do przodu. Niestety nadal pokutuje stara mentalność układów, koligacji, towarzyskich zobowiązań. Poza tym istnieje bardzo poważny problem – wielu ludzi sądzi, że dobry nauczyciel będzie dobrym dyrektorem szkoły, tymczasem dyrektor jest przede wszystkim administratorem i nie każdy nauczyciel ma do tego kwalifikacje. Co więcej, musimy nauczyć się, że każda gmina, każda wieś jest inna. Wybór dyrektora powinien być czasem dostosowany do specyficznych problemów w danym środowisku, do najważniejszych zadań, które dana szkoła ma do rozwiązania. Pytam o podział kompetencji między samorządem a kuratorium. Tu – zdaniem pani kurator – jest poważny problem. Kiedy gminy otrzymały swoje zadania w dziedzinie finansowania szkół, pojawiły się również oczekiwania, że będą miały wpływ na program. To trzeba uszanować, kuratorium nie może walczyć z gminą o to, czyje na wierzchu. Trzeba się nauczyć współdziałania i trzeba powie-

dzieć wyraźnie, że w pewnych sprawach kuratorium ma ostatnie słowo. Jak na razie, nie ma tu jeszcze jasności. Ja promuję rolę nadzoru wspierająco-uczestniczącą, musimy być partnerami, bez tego nie zbudujemy nic. Musimy nauczyć się pytać i gminę, i dyrektorów szkół o zdanie, w ten sposób, z czasem być może również nauczyciel stanie się w większym stopniu partnerem dziecka, może uda się podnieść kulturę wzajemnego szacunku.

We Włocławku pani kurator jest młoda, energiczna i przekonana, że świat daje się poprawić. W rozmowie z dziennikarzem jest ostrożna, ale nie obawia sie wyrażać swoich prywatnych poglądów, niestety jest wyjątkiem. W moim odczuciu większość kuratoriów jest siedliskiem niekompetentnych biurokratów, którzy częściej szkodzą niż wzmacniają system polskiego szkolnictwa.

Z Zadusznik jedziemy do elektrowni Żarki. Zbudowana na rzece Gwdzie elektrownia wodna pozwoliła na utworzenie sporego zbiornika retencyjnego. Wszyscy zdają już sobie sprawę z tego, że małe elektrownie wodne mają zbawienny wpływ na gospodarkę wodną i stabilizują napięcie w sieci elektrycznej. Te elektrownie produkują zaledwie dwa czy trzy procent energii elektrycznej w skali kraju, ale wartość tej energii jest szczególna. Oczywiście nie sposób doprowadzić do jakiejś koordynacji polityki wobec tych elektrowni. Ministerstwo Energetyki nie ma powodu ani ochoty myśleć o gospodarce wodnej ani o ekologii. W efekcie właściciele spędzają sporo czasu na użeraniu się z władzami, ale jest już tych elektrowni całkiem sporo i w sumie nieźle dają sobie radę. W Żarkach raz jeszcze słyszę zdanie, które słyszałem wcześniej od wielu przedsiębiorców, że cokolwiek w Polsce dzieje się pozytywnego, to dzieje się raczej wbrew politykom w Warszawie niż dzięki nim. Politycy przeszkadzają jednak mniej niż w czasach komunizmu. Właścicielką elektrowni jest moja kuzynka, więc historię tego przedsiębiorstwa znam lepiej niż innych. Ku mojemu zdumieniu zauważam, że Olena nie narzeka już na władze lokalne, że ma świetne kontakty z władzami gminy i pobliskiego banku. W Okonku, który widziałem ostatnio dziesięć lat temu, świat zmienił się nie do poznania. Najbardziej zachwyca mnie poczta, nowoczesna i lśniąca, okno wystawowe wielkiego świata. W

pobliskim Złotowie mam wrażenie, że przenoszę się w świat drapieżnej ekspansji. Nowoczesny gmach świetnie działającego banku, nowoczesna poczta, odnowione domy w rynku, na ulicach sporo dobrych samochodów, wielu przechodni sprawia wrażenie ludzi sukcesu. Po Złotowie nieprawdopodobny kontrast ze znajdującym się o niespełna dwadzieścia kilometrów stąd Lędyczkiem. W szkole większość klas jest łączonych, ale mimo to coraz więcej uczniów idzie do szkół ogólnokształcących. Jak twierdzi polonistka ze szkoły w Lędyczku, pani Małgorzata Apreos, prawdziwe problemy zaczynają się już po zakończeniu nauki. Na codzień widzimy tu naszych absolwentów, którzy chodzą bez pracy. W Lędyczku około 20 procent ludności jest bezrobotna. Większość utrzymywała się nie z rolnictwa, a jako pracownicy leśni i z pracy w zakładzie drzewnym, ale zakład od dwóch lat jest zamknięty, a w leśnictwie jest coraz mniej pracy. Zdaniem miejscowego radnego i nauczyciela, dla młodych jedyną szansą jest ucieczka z Lędyczka i to nie do Okonka czy Złotowa, a gdzieś dalej. Dla tutejszej ludności nie ma szans i w okolicznych miasteczkach też nie będzie pracy. Na planowanej reformie oświaty ośrodki wiejskie wyłącznie ucierpią, bo w Lędyczku będzie tylko szkoła sześcioklasowa, a potem dzieci będą musiały dojeżdżać. Nauczyciele w Lędyczku nie wiedzą jeszcze czego się będzie od nich oczekiwać, jak będzie wyglądała ich praca, ale system bonów edukacyjnych, w takiej miejscowości jak nasza, będzie jeszcze jednym biurokratycznym utrudnieniem. Rodzice nadal nie będą mieli wyboru i zwiększy się tylko ilość przekładanych z miejsca na miejsce papierów. Głównym problemem szkół są niskie płace nauczycieli, a podniesienie płac wydaje się nierealne. W Lędyczku niewiele się zmienia, a jeśli to na gorsze. Rewolucją było zdobycie w zeszłym roku kopiarki, może kiedyś zawita tu komputer, chwilowo mamy wrażenie, że z roku na rok jest coraz gorzej, ale mamy swoje satysfakcje – dzieci chcą się uczyć i rozumieją, że nauka jest ich jedyną szansą.

Czy Lędyczek rzeczywiście nie ma żadnych szans, czy tylko nie wystarcza jeszcze wyobraźni? Wychodząc ze szkoły w Lędyczku przypomniałem sobie opowiadaną niedawno historię wioski na maleńkiej wysepce u wybrzeży Irlandii. Trzy czwarte mieszkańców wsi pracuje przez internet w Sta-

nach Zjednoczonych, pozostała jedna czwarta zarabia na życie obsługując pracujących przy komputerach sąsiadów.

Mirosław Mielniczuk, szef Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa stwierdza, że dziś w polskim rolnictwie pracuje 25 procent ludności a w jego otoczeniu 5 procent. Te proporcje trzeba jego zdaniem odwrócić. Oficjalnie na wsi mieszka ponad 46 procent bezrobotnych. W rzeczywistości trzeba do tego dodać bezrobocie ukryte, od 800 tysięcy do miliona osób. Tereny popegeerowskie to getta bezrobocia i marazmu, czy jest jakaś recepta, która pozwoliłaby zmniejszyć rozmiary dramatu? Wojewoda gorzowski, Jerzy Ostrouch w pierwszych dniach czerwca zainicjował program na rzecz dzieci i młodzieży z miejscowości popegeerowskich. Na pierwszy ogień idzie wieś Korytowo. Agencja Rolna Skarbu Państwa wyraziła gotowość zakupu komputerów, znalazły się środki na uruchomienie pracowni. Inicjatorem tego przedsięwzięcia jest ksiądz Sławomir Kokorzycki, który uważa, że wszelkie programy zbawiania obszarów popegeerowskich są chybione, jeśli nie obejmują dzieci i młodzieży. Notkę na ten temat w *Gazecie Lubuskiej* przeczytałem czekając już na odprawę na granicy. Kto wie, może dziś w Polsce jest tylko jeden poważny problem – jak pomóc ludziom, którzy już coś robią?

Andrzej KORASZEWSKI

O naturze i strukturze kultury

W tym eseju pragnę się zastanowić nad oddziaływaniem kultury na cywilizacyjne przeobrażenia społeczeństwa. Wymaga to uprzednio nie tylko wybrania spośród wielu samego pojęcia kultury, lecz także ukazania jej wewnętrznej struktury. Z takiej analizy wynikają od razu propozycje, z jaką koncepcją kultury i cywilizacji można lub należy wchodzić w świat od nowa jednoczącej się Europy.

1. Z toczących się ponad dwu stuleci rozważań nad treścią *pojęcia kultury* wyłoniły się z czasem dwa podstawowe ustalenia. Jedni redukują ją do *twórczości duchowej*, a więc przede wszystkim twórczości umysłowej i artystycznej, drudzy zaś, pojmując ją globalnie, wyrażają ją w kategoriach *kultury materialnej, społecznej i duchowej*. Dwa te odmienne podejścia do zjawisk i przejawów kulturowych znalazły też odbicie w terminologii kulturoznawczej. Jedni, a odnosi się to głównie do kulturoznawców niemieckich, wszystkie przejawy i wytwory kulturowe, wynikające z przyjętej definicji, określają mianem „kultury", natomiast drudzy, a odnosi się to głównie do kulturoznawców romańskich i anglosaskich, te same zjawiska i wytwory nazywają „cywilizacją". Jedni traktują kulturę i cywilizację rozłącznie, rezerwując twórczość duchową (intelektualną-artystyczną) dla – kultury, oddają całą wytwórczość materialną i organizacyjną do dziedziny cywilizacji, drudzy natomiast, obejmując wszystkie te wytwory zarówno materialne, organizacyjne i duchowe wspólnym mianem, identyfikują kulturę z cywilizacją. Obecnie dwa te odrębnie występujące podejścia do zadań badawczych kultury zaczyna godzić nowa dyscyplina badawcza pod nazwą

„antropologii kulturowej", wyłaniająca się z dawnych pól poznawczych etnografii, etnologii i socjologii. Nie snując dalej tych rozważań metodologicznych wystarczy tutaj stwierdzić, że badacze posługujący się nazwą: kultura, z reguły ujmują ją jako *proces tworzenia dóbr i wartości* w ujęciu genetycznym, natomiast zwolennicy terminu cywilizacja przedstawiają ją jako wynik dojrzałych procesów kulturotwórczych.

2. Już ten z konieczności skrótowy przegląd stanowisk, odnoszących się do samych kwestii terminologicznych, pokazuje na jak grząskim i trudnym do jednoznacznego zdefiniowania gruncie porusza się *kulturoznawstwo*. Toteż konieczny wydaje się postulat, aby każdy, kto zabiera głos w tych sprawach, na samym początku oświadczył, za jakim pojęciem kultury i cywilizacji się opowiada i jakie z tej swojej konstatacji wyciąga wnioski badawcze.

Łatwo zauważyć, że wszystkie powyższe rozważania teoretyczne wychodzą z pewnych z góry przyjętych założeń natury dedukcyjnej, które potem są poddawane weryfikacji metodami indukcyjnymi. Wydaje się, że takim założeniem najbardziej ogólnym jest *przeciwieństwo* świata natury i świata kultury. Kultura powstaje zawsze w toku przekształcania natury, przede wszystkim w wyniku *pracy* we wszelkich jej przejawach biofizycznych, organizacyjnych i umysłowych.

Człowiek występuje w stosunku do natury w podwójnej roli: a) jest zarówno jej częścią, jak i też jej najbardziej dynamicznym i pomysłowym przetwórcą, a tym samym wytwórcą kultury, oraz: b) człowiek jest zarówno istotą materialną i biologiczną, jak i też obdarzoną wysoko zorganizowaną świadomością, a tym samym działającą społecznie i przedsiębiorczo, czym wyraźnie wyodrębnia się od wszystkich innych istot żyjących, obdarzonych świadomością niższego rzędu, wegetatywną i pasywnie przystosowującą się do świata natury.

Człowiek, posługując się swoją twórczą świadomością, bezustannie przekształca zastany świat przyrody i przystosowuje go do swoich potrzeb we wszystkich jego postaciach. Te jego duchowe i społeczne czynności i właściwości przyczyniają się do powstawania i organizowania *całego systemu dóbr i wartości* materialnych, społecznych, zaspokajających jego potrzeby biologiczne i społeczne, a także intelektualne i artystyczne. Czynniki umysłowe, będąc immanentnym składnikiem wytworów materialnych i poczynań społecznych, same z kolei poddawane są oddziaływaniom tych wytworów i wartości kulturowych. Wszystko to dowodzi słuszności poglądu opowiadającego się za *jednością świata kultury*, którą tylko dla celów analitycznych i poznawczych klasyfikujemy jako: materialną, społeczną i duchową.

3. Jak się tworzy kultura? Przyjrzyjmy się najpierw słowom. Natura i kultura mają tę samą budowę semantyczną: jak od czasownika: *nasco, nascor, nasci* – „rodzić się", tak od czasownika: *colo, colere* – „pielęgnować, uprawiać" utworzono rzeczowniki: „natura" i „kultura". Zarówno czynność rodzenia jak i pielęgnowania – przechodzi na wynik tej czynności: *cultus, cultura*, dając początek rozległemu polu semantycznemu, począwszy od takich prostych złożeń, jak: *agricultura* „uprawa pola" lub *cultur animae* „kształcenie duszy".

Jest rzeczą godną uwagi, że starożytni Grecy nie mają odpowiedników dla tych czynności, jakkolwiek operowali tymi samymi lub zbliżonymi do tych czynności słowami: *fysis* „przyroda, przymioty ducha", oraz *paideuma* „wychowanie, kształcenie". Wprowadzili natomiast do obiegu językowego trzy ważne słowa, pozwalające lepiej i dogłębniej zrozumieć istotę kulturowych czynności, a mianowicie wyrazy: *poesis* i *mimesis*, w znaczeniu łacińskim: *creatio* i *imitatio*, tj. tworzenie i naśladowanie, oraz *techné* w znaczeniu: *habilitas*, tj. umiejętność, sprawność.

U podstaw wynikających stąd czynności można postawić dwa wszechogarniające ich rolę słowa: „twórczość" i „odtwórczość". Kultura jest zatem „twórczością" o bardzo swoistym znaczeniu. Najlepiej oddaje ją zwrot łaciński: *creatio ex nihilo*, tj. tworzenie czegoś z niczego, inaczej mówiąc, powoływanie za każdym razem jakiegoś bytu z niebytu.

Istotę tego bytu kulturowego oznaczył najdokładniej Florian Znaniecki, gdy dowodził:

„Świat kultury, który ludzkość buduje ponad przyrodą – technika, instytucje ekonomiczne, ustrój społeczny i politycz-

ny, religia, moralność, sztuka, wiedza – ma swoje źródło ostateczne w tym, że pewna część czynności ludzkich zwraca się od zaspokojenia powtarzających się ciągle potrzeb do tworzenia nowych wartości". I dalej, snując tę myśl, zwracał uwagę na okoliczność, iż życie kulturalne każdego społeczeństwa „nie jest tylko rzeczą lub stanem" i że w tym procesie tworzenia kultury decydująca rola przypada „czynnościom twórczym", które nie dają się ująć w prawa i reguły rutynowej działalności, albowiem ten rodzaj twórczości „wyłącza bezwzględnie zasadniczą powtarzalność". I kończy ten wywód konstatacją o doniosłości podstawowej: „Każdy proces twórczy jest *jedynym w czasie i przestrzeni* bezwarunkowo pojawieniem się czegoś co do swej treści i znaczenia zupełnie *nowego*.

Idąc śladem sugestii Floriana Znanieckiego, wszystkie powstałe we wspomniany sposób dobra i wartości określa się obecnie mianem ogólnie przyjętym: *innowacja*.

Jako pewnik możemy przyjąć fakt, że każda rzecz użytkowa, każde słowo i każdy znak, znaczący lub oznaczony swoistą treścią, a także każdy gest lub symbol tkwiący w wytworze kulturowym, musiał kiedyś powstać w czasie i przestrzeni *jako pierwszy*, a następnie stosownie do czasu, przestrzeni i użytku podlegał *rozprzestrzenianiu i upowszechnianiu*. Głównym zadaniem historii kultury jest więc śledzenie narodzin i recepcji wszystkich tych wytworów materialnych, społecznych i duchowych w ciągu dziejów; niektóre z nich ulegają eliminacji i często kontynuują swój byt jako przeżytki, inne zaś podlegają przekształceniom i w takiej zmienionej postaci trwają aż do współczesności: dominuje jednak, w ostatnich czasach, coraz bardziej szeroki i dynamiczny przyrost nowych odkryć i nowych wytworów, lepiej zaspokajających potrzeby człowieka.

Najlepiej zdają sobie sprawę z osobliwości tworzenia takich aktów twórczych sami ich autorzy i sprawcy. Maria Dąbrowska, zastanawiając się nad twórczością Conrada-Korzeniowskiego, opartą na autentyzmie własnych przeżyć, potem przez niego przeobrażonych, zapisała w swoich „Dziennikach":

„Jaskrawo widać, jak wymyślne konstrukcje mogą powstawać dokoła faktów rzeczywistych, które są tylko osią krystalizacyjną, dokoła której... się dzieło sztuki krystalizuje. *Krystalizacja jest aktem twórczym.* Kryształ jest dziełem stworzenia, w którym zmysł kreatorski ma nieograniczoną swobodę w stosunku do tzw. rzeczywistości i ograniczony jest tylko własnymi specyficznymi prawami sztuki" (M. Dąbrowska, „Dzienniki 1958-1965", t. V, Warszawa 1988, s. 48).

Zdziwienie tajemnicą swej twórczości Czesław Miłosz uzewnętrznił takimi słowami najbardziej wyrazistymi:

„Przedmioty, których nie było i nagle za moim pośrednictwem powstały, tak że... ciągle są, a cokolwiek się o nich powie, będzie tylko naokoło nich. I tak odczucie wzmocnione przez zdziwienie, w jaki sposób to mogło się wysnuć ze mnie." (Cz. Miłosz, „Rok myśliwego", Paryż 1990, s. 27).

Takich przykładów można cytować mnóstwo. W pełni więc usprawiedliwione jest zdanie Znanieckiego, którym zamykam ten akapit moich uwag o roli twórczości w powstawaniu faktów kulturowych:

„Udział twórczości w stawaniu się świata kultury jest oczywistym pewnikiem. Wystarczy zdać sobie sprawę, że prawie wszystkie zjawiska stanowiące kulturę w przeciwieństwie do przyrody powstawały jako bezwzględnie nowe, w ciągu krótkiego okresu, który możemy odtworzyć bądź pośrednio z pomników historycznych, bądź pośrednio z danych etnologii porównawczej i archeologii przedhistorycznej" (F. Znaniecki, „Upadek cywilizacji zachodniej" Poznań 1921, s. 2-3.)

4. Skuteczność i dynamika oddziaływania kultury zależy w dużym stopniu od jej struktury.

Doszliśmy już do wniosku, że kultura powstaje w wyniku pracy fizycznej, społeczno-organizacyjnej i umysłowej. Mając ciągle na uwadze stosunek, jaki zachodzi między człowiekiem a przyrodą, dostrzegamy, że odziałuje ona na jego dzieje w postaci dychotomicznej, a mianowicie najpierw jako jednorazowy i niepowtarzalny akt twórczy a następnie jako ciąg aktów odtwórczych, powielających i powtarzających go i ulepszających z potrzeby przystosowania ich do wciąż zmieniających się form ludzkiej egzystencji. Nie zawsze udaje się nam dotrzeć do najstarszych, zaczątkowych form tej zależności między wytworem a użytkownikiem, ale wiele rozpoznań stanów poprzednich możemy odtworzyć metodą

retrogresji, a także *komparatystyki.* Dziś już zawsze wchodzimy w ich strumień, jak do rzeki, która bardzo już oddaliła się od swoich źródeł. Gdy to, co znajduje się w dowolnie obranym miejscu w tej rzece, oznaczymy mianem *tradycji,* to tym samym stworzymy sobie bazę wyjściową dla nowych aktów, systematycznie po sobie występujących, czyli innowacji.

Innowacja jest zawsze tworem, który powstaje jako akt sprzeciwu albo nawet negacji w stosunku do stanu dotąd istniejącego. Na innowację składają się zatem trzy elementy: tradycja, recepcja i inwencja, torująca drogę do innowacji. O wytworzeniu *innowacji w sensie technicznym* decyduje z reguły *inwencja twórcy,* będąca wynikiem jego namysłu i pomysłu, niekiedy też z przypadku lub mechanicznego skojarzenia. Tkwiąc w nurcie tradycji i czerpiąc z dorobku doświadczeń swoich na tej niwie poprzedników, dokonuje on odkryć lub wynalazków już to w dziedzinie produkcji dóbr materialnych, już to w tworzeniu nowych form organizacji stosunków społecznych i organizacji życia politycznego, prawodawstwa, odkrywania nowych praw naukowych, odnajdywania nowych form wyrażania sztuki, literatury, religii, a przede wszystkim utrzymywania stałej gotowości do zmiany sposobów życia i adaptacji do przemian wywołanych przez własną działalność człowieka zarówno bezmyślną, jak i niepomyślną.

Innowacje obejmują wszystkie dziedziny życia społecznego, przetwarzają dobra i wartości zastane, zaspokajają wciąż rosnące i doskonalące się potrzeby materialne, społeczne i duchowe nowych pokoleń.

Istotnym czynnikiem rozwoju kultury jest zatem *upowszechnianie się innowacji.* W sferze dóbr materialnych dzieje się to drogą *imitacji* i *reprodukcji,* a w sferze stosunków produkcyjnych, organizacyjnych i politycznych drogą *reform,* nieraz gwałtownych, jak rewolucje, wypowiadanie posłuszeństwa władzom i autorytetom, strajki, w sferze zaś życia duchowego drogą dyskusji, perswazji, reklamy, a także szkolenia i nauczania (m.in. podnoszenia kwalifikacji zawodowych i umysłowych). Wszystkie te starania i zabiegi można ogarnąć wspólnym określeniem: akulturacja i adaptacja.

Naszkicowany tu proces upowszechniania kultury prowadzi do przetworzenia starych form egzystencji, do wytworzenia nowych form bytu i zachowań, a także interakcji, w sumie do podniesienia społeczeństwa na wyższy poziom ich uspołecznienia (uobywatelnienia). Wszystkie te procesy zmierzają do wytworzenia w łonie starych tradycyjnych form bytowania nowej *cywilizacji,* która niejako zamyka i stabilizuje wszystkie poprzednie cząstkowe akty twórcze w jedną wspólną całość, odcinającą się swoją zawartością od cywilizacji poprzedniej i otwierającą drogi do jej nowej formacji. Cywilizacja bowiem nie jest niczym innym, jak upowszechnioną kulturą. Krótko mówiąc, w toku przyswajania sobie przez ludzi nowych dóbr i wartości następuje ich „ucywilizowanie".

Civis – to tyle co mieszkaniec miasta, natomiast *rusticus* – to mieszkaniec wsi. Nie bez powodu więc przeciwstawiano mieszczanina – wieśniakowi; temu pierwszemu przypisywano... wyższy stopień ogłady: *urbanitas* (franc. *politesse),* a temu drugiemu prostactwo, czyli: *rusticitas,* a drastyczniej „przybysza z lasu" (*homo silvaticus*). W tradycji Polski szlacheckiej nie tyle miasto (znajdujące się wówczas w poniewierce), co raczej dwór królewski, biskupi lub możnowładczy był synonimem wyższego poziomu życia, to jest *dworności* i *dworskości.* W tym kontekście wieśniak reprezentuje „człowieka natury", a dworak „człowieka kultury", a więc reprezentanta ludzi ucywilizowanych. Przejście od kultury do cywilizacji jest więc wyraziste: od kultury jednostkowej – do cywilizacji zbiorowości.

5. Tę drogę rozwoju od kultury do cywilizacji można przykładowo ukazać na paradygmacie i na zależności, jaka zachodzi między *nauką* i *nauczaniem.*

Jak się ogólnie i słusznie przyjmuje, głównym zadaniem nauki, jako czynności poznawczej, jest odkrywanie i utrwalanie praw i prawidłowości rządzących przyrodą martwą i ożywioną, w tym również prawidłowości rządzących społeczeństwami ludzkimi. Odkrywanie praw ogólnych lub cząstkowych jest dziełem jednostek lub zespołów jednostek, jest to czynność jednorazowa. Później jest ona już tylko poddawana weryfikacji, a gdy ostoi się przed jej osądem, podlega upowszechnianiu, czyli staje się przedmiotem nauczania.

W toku dziejów wykształciły się różne formy obcowania z nauką, ale w najwyższej cenie dotyczą *innowacji*, czyli wszelkiego rodzaju odkryć i wynalazków, gdyż one to przyczyniają się najbardziej do zmiany nie tylko zastanego stanu wiedzy, lecz także przede wszystkim do zmiany zastanych struktur życia gospodarczego i społecznego, przede wszystkim zaś umysłowego. Dla dalszego postępu cywilizacyjnego zadaniem najważniejszym jest przejście do innowacji technicznej, czyli wdrożenia odkrycia lub wynalazku do praktyki; jest to w dużym stopniu zależne od środków finansowych i produkcyjnych, ale niemało w tego rodzaju przedsięwzięciach ważą kwalifikacje umysłowe decydentów i producentów. Toteż w tej dziedzinie szczególne znaczenie ma nauczanie, jako najbardziej wydajna metoda upowszechniania wiedzy.

W cywilizowaniu społeczeństwa rola szczególna przypada więc wszystkim szkołom, poczynając od stopnia podstawowego, a na najwyższym, akademickim, uniwersyteckim, politechnicznym kończąc, nie pomijając innych środków upowszechniania wiedzy przez towarzystwa naukowe, kursy dokształcające itp. *Upowszechnianie nauki* jest dziś jednym z głównych współczynników w tworzeniu nowego społeczeństwa w nadchodzącym stuleciu.

6. W nowej Ustawie o Polskiej Akademii Nauk z dnia 25 kwietnia 1997 r. czytamy w art. 2 rozdziału I: „Akademia służy rozwojowi nauki, jej promocji, integracji i upowszechnianiu oraz przyczynia się do rozwoju edukacji i wzbogacania kultury narodowej". Ten postulat z istoty rzeczy stosuje się również nie tylko do towarzystw naukowych, które z tego zadania uczyniły główny cel swoich prac, lecz także do publicznych środków przekazu

Kto w ostatnim dziesięcioleciu obserwował procesy transformacyjne naszego ustroju gospodarczego i kulturowego, wie doskonale, że dwa ważne piony przemian kulturowych przechodzą w naszym kraju poważny kryzys. Dotyczy to szkolnictwa wyższego i nauki. Trudno cytować rozliczne publiczne wystąpienia przedstawicieli obu sektorów; szkolnictwa i nauki, a także zatrwożonych tą sytuacją publicystów. Wystarczy w tym miejscu odwołać się do apelu „Grupy Kontaktowej Trzech Struktur Nauki «Kawęczyn 96»", w którym stwierdziła, że „z roku na rok środki finansowe przeznaczane przez państwo na naukę systematycznie maleją. W tym roku osiągnęły, jak na państwo pretendujące do partnerstwa we współczesnym świecie i w Unii Europejskiej, poziom wręcz humorystyczny – 0,51". Warto przypomnieć, że spośród 27 ankietowanych krajów w przeliczeniu na jednego mieszkańca listę nakładów na naukę otwierają Stany Zjednoczone AP, Szwajcaria i Japonia, z kwotami od 700-600 dolarów, a zamykają Polska, Turcja i Meksyk kwotami: 50, 10 i 10 dolarów. Ze szczegółowej analizy wynika, że w latach 1991-1997 nakłady na naukę obliczone w stosunku do produktu krajowego brutto opadały w kolejności: od 0,75 – 0,51 i dalej: 0,47 w r. 1998; grozi dalsze pogorszenie tego wskaźnika.

Wszystko to dzieje się w sytuacji, gdy ministrami finansów kolejno było 3 profesorów ekonomii i reformatorów gospodarki narodowej. Nacisk deficytowych sektorów gospodarki, zdrowotności i długu publicznego i zagranicznego jest widocznie silniejszy niż groźba załamania się postępu kulturowego. Przyczyna tej niemocy rzuca się w oczy: obecny układ sił politycznych w parlamencie sprawia, że partie znajdujące się u władzy, obojętnie czy lewicowe czy prawicowe, stawiają zaspokajanie potrzeb doraźnych przed inwestycjami w przyszłość.

7. Czas na konkluzje. Do jednoczącej się Europy wchodzimy nie tylko z naszą *kulturą duchową*, to jest z teatrem, operą, literaturą itd., lecz także z całym bagażem naszej *kultury materialnej* i *społecznej*, w tym szczególnie instytucjonalnej, przede wszystkim zaś z naszym wielopoziomowym szkolnictwem. O ich przygotowaniu do realizowania stojących przed nami zadań zadecyduje *poziom naszej sprawności intelektualnej i kulturotwórczej* we wszystkich dziedzinach życia.

Jednym z wyróżniających się mierników tej sprawności jest z całą pewnością poziom naszej nauki i ściśle z tym związane nauczanie. Między nauką i nauczaniem istnieje stosunek wzajemnych usług i zależności – jaka nauka takie nauczanie; jakie nauczanie – taka w przyszłości nauka.

Podobnie dzieje się w sferze kultury i cywilizacji; jaka

kultura – taka cywilizacja; jaka cywilizacja taka w przyszłości kultura. Uznając kulturę, pojmowaną jako twórczość, za dźwignię postępu w dziedzinie wytwarzania dóbr materialnych i przetwarzania związanych z nią systemów dóbr i wartości, kładziemy podstawy pod przyszły rozwój cywilizacyjny naszej społeczności na wszystkich poziomach jej egzystencji. W XIX wieku skończyła się era Europy rękodzielniczej i przemysłowej opartej na energii cieplnej i mechanicznej; wyczerpują się klasyczne źródła energii elektrycznej, opartej na surowcach mineralnych. Wzmożona ostatnio ekstensywność eksploatacji tych źródeł energii wywołuje zagrożenia ekologiczne o niespotykanych dotąd wymiarach. Obecnie wchodzimy w wiek automatyki, informatyki i kosmonautyki, energii jądrowej. Piętrzących się na tej drodze barier i przeszkód nie rozwiąże się bez energicznego i efektywnego udziału twórczych aktów kulturowych, w tym przede wszystkim nauki i upowszechniania nauki.

Do jednoczącej się Europy prowadzi wiele dróg: najprostsza, najszybsza i najbardziej pożądana – to gościniec wymoszczony nauką i kulturą.

Gerard LABUDA

Referencje bibliograficzne: Omawiane tutaj zagadnienia obszerniej i bardziej analitycznie przedstawiłem w serii rozpraw i artykułów: „Gegenstand und Methoden der Kulturgeschichte", w: *Acta Academiae Scientiarum Polonae*, r. 1982, nr 3-4, s. 3-28; „Historia kultury jako historia twórczych innowacji", w: *Nauka Polska*, r. 1991, nr 5-6, s. 13-37; „Historia kultury – historią cywilizacji", w: *Nauka Polska*, r.1993, nr 4, s.11-20; „Kulturgeschichte als Geschichte der kreativen Innovationen", w: Archiv für Kulturgeschichte, 75 (1993), s. 195-220 (w tych pracach bardziej szczegółowa literatura).

Zapiski sołowieckie (XI)

„Czytam dużo i systematycznie, z ołówkiem w ręku, notując na boku myśli, które zamierzam kiedyś rozwinąć, a gdy kończę daną książkę, robię indeksy na wewnętrznej stronie okładki i zaczynam nową".

Joseph de Maistre

1.

Odwilż tu przypomina uśmiech *bomża:* obnaża brudy, jak przegniłe dziąsła.

2.

Znajomi z Moskwy przysłali mi „Chłysta" Etkinda, książkę ciekawą, ze wszech miar. Etkind należy do ludzi, „...dla których celem życia jest przekładanie słowa w słowo, tekstu w tekst", bo – jak twierdzi – w swoich tekstach zawsze korzystamy z cudzych tekstów. Pisząc biografię, dla przykładu, pokazujemy bohatera w realiach, znanych nam z drugich książek. Związki te Etkind zwie „presumpcją intertekstualności" – dogmatem, wg którego zajmując się tekstami musimy założyć, że ich fabuły lub postacie to przerobione fabuły/postacie innych tekstów.

Przykład Etkinda (rocznik 1955) pokazuje, że filolog epoki postmodernizmu przyjął na się rolę Wielkiego Interpretatora i czyta świat, jak książkę. Filolog, wedle Etkinda, tkwi wewnątrz logocentrycznego wszechświata, gdzie jedyną

rzeczywistością, oprócz jego własnego ciała, są teksty. „Religia, ideologia i literatura; mistyka, erotyka i polityka – wszystko to realizuje się w ciągu tekstów, które urzeczywistniają się w ciągu ciał". Innymi słowy, „...w ludzkich sprawach istnieją tylko dwie empiryczne realności: ciała i teksty".

Książka Etkinda omawia związki ruskich sekt, literatury i rewolucji – od dawnych chłystów do bolszewików. Tom, liczący prawie 700 stron drobnego druku, jest pierwszą (od czasów Kutiepowa i Mielnikowa – XIX wiek), tak obszerną pracą poświęconą chłystom i pierwszym (w ogóle) opracowaniem filiacji między radykalizmem religijnym, społecznym i literackim w Rosji na przełomie XIX i XX w. Któż nie ulegał fascynacjom chłystowskim? Z filozofów: Sołowjow, Rozanow, Iwanow, Bierdiajew, Mierieżkowskij, Łosjew. Z poetów: Dobroljubow, Siemienow, Balmont, Klujew, Kuzmin, Błok, Biełyj, Cwietajewa. Z prozaików: Priszwin, Pilniak, Płatonow, Gorkij. Z polityków: Rasputin i Boncz-Brujewicz. Każdemu z nich w „Chłyście" poświęcono osobny rozdział. Etkind swobodnie porusza się w materiale, zadziwia erudycją, epatuje stylem. Czyta się jednym tchem.

Lektura „Chłysta" przypomniała mi glosy, którymi sam zaczerniałem marginesy tekstów o ruskich sektach, w tym „Zeznania sołowieckich skopców", archimandryta Dosifieja z 1827 roku – pierwszą pracę na ten temat w dziejach piśmiennictwa. Tutaj, na Sołowkach, niejeden tekst, i niejedną doń glosę, napisano.

3.

Na Sołowki zsyłano od wieków – dysydentów, politycznych, niewygodnych. Siedzieli tutaj, m.in.: były igumen Troickiego monastyra Artemij, obwiniony o racjonalizm i jego obwiniciel, protopop Sylwester, były poplecznik Iwana Groźnego, autor „Domostroja", i Awraamij Palicyn, za zdradę na rzecz Polaków, i „car wsieja Rusi" Simeon Bekbułatowicz, książę tatarski, ten to miał nieszczęście, że się zaplątał w ruską politykę, i hrabia Tołstoj, naczelnik organu karnego, który zesłał moc ludzi na Wyspy, i hrabia Musin-Puszkin, który zesłał tu hrabiego Tołstoja, a później sam został tutaj zesłany, i samozwańczy car Iwaszka Sałtykow, i podły skryba Wołk,

za „pismo złodziejskie", w którym twierdził, że Imperator Piotr to Antychryst, i ostatni ataman Siczy Zaporoskiej, Piotr Kalniszewskij, ten odsiedziawszy tu ćwierć wieku, po wyjściu, mając 110 lat, prosił, by mu pozwolili na Wyspach pozostać, i rab boży Dmitriew, za chłystowską herezję spędził w kazamatach 58 lat, z tego 48 w pojedynce, i skopiec Sozonowicz, który tu otrzebił dwa dziesiątki więźniów i kilku strażników na dodatek, i założył komunę trzebieńców w swej celi, i Polak Jeleński, jemu dalej ustęp poświęcę, i dekabrysta Gorożanskij, i Gannibal Puszkin, wuj poety, i... wszystkich wymienić nie sposób.

Sołowieckie kazamaty – wedle Gerneta, autora fundamentalnej „Historii carskiej turmy" w 5-ciu tomach – były najstarszym i najcięższym więzieniem w Imperium. Skazańców trzymano w głębi ścian i baszt, w kamiennych niszach, które brat Trifon, budowniczy klasztornego muru, zamyślił dla składów prochu i kul na wypadek oblężenia. Ot, niewielkie pomieszczenia (na 3 arszyny wzdłuż i 2 arszyny wszerz) z kamienną ławą do spania i szczeliną w ścianie, z trzema kratami i dwiema siatkami zamiast okna. Wewnątrz panował wieczny półmrok, wilgoć i ziąb. Wyobraź sobie, czytelniku, że cię tam wrzucono, skutego, z wydartym językiem, z wyrwanymi nozdrzami, i... bezterminowo. Albo, jeszcze lepiej, imaginuj sobie, że cię dzierżą w *ziemljanoj tiur'mie* (to wynalazek sołowieckich braci!), czyli w jamie w ziemi, wyłożonej cegłą i nakrytej drewnianą klapą, przywaloną kamieniami i gruntem, chleb i wodę spuszczają ci przez dziurę, srasz i szczysz pod siebie, aż pojmiesz, żeś „...jeno kał i pył". Dopiero na początku XIX wieku zbudowano dla więźniów oddzielny korpus, nie dlatego, by im ulżyć, lecz dlatego, by lżej było ich pilnować. Sergiej Maksimow, podróżnik ubiegłego stulecia, pisze: „Turmy ziemne (które Piotr I przedkładał nad inne) zamieniono specjalnymi kazamatami dla sekretnych więźniów, mieszczącymi się w podziemiach korpusu. Tam, na najniższym piętrze, w ślepych komorach, półtora arszyna w kwadracie, gdzie ani leżeć, ani siedzieć z wyciągniętymi nogami nie sposób, tam z łańcuchem na szyi i żelaznymi kulami na nogach, trzymano ważniejszych przestępców, skazanych na wieczne milczenie i ciągłe odosobnienie". Większość traciła rozum. Innych, nie tak ważnych, zaganiano do

czarnych robót monastyrskich, w tym i dzieci... 11 czerwca 1829 r. na Sołowki trafił 10-letni Iwanuszko – na 15 lat „ciężkich trudów pod najsroższym nadzorem". Niektórym po latach zdejmowano łańcuchy i pozwalano żyć w pokucie śród braci w celach.

Życie w pokucie – formuła turmy, bliska monastyrskiej. Nie dziw, że więzienie i klasztor tu się skomasowały, a mnisi wzięli na się obowiązki straży. Czystości pilnowali: wiary, obrzędu, obyczaju, etc. Stąd szczególna dbałość o milczenie więźniów, wszak dysydentów tu trzymali, przede wszystkim. Przeglądając spis *kołodnikow* (kajdaniarzy) z 1786 roku, zwróciłem uwagę, że prawie przy każdym stał dopisek, by nie dawać mu czerniła, papieru i innych przyborów do pisania. Tym zaś, którzy na głos myśli głosili, tym „...bez zbytecznych wyjaśnień i moralnych pouczeń kładli w poprzek ust pałkę z postronkami, jakich używają dla zwierząt, pojmanych żywcem, lub koniom w mordę pchają, aby te nie gryzły, i wyjmowali ją tylko wtedy, gdy jadło kajdaniarzom dawali, a słowa wypowiadane przez nich w tym czasie, zapisywali i odsyłali do tajnej kancelarii".

4.

Wśród dysydentów-kajdaniarzy byli zarówno wyznawcy starego obrzędu różnego *tołku*, jak i sekciarze rozmaitej maści: chłysty, skopcy, szełaputy, pryguny, bieguny, pierduny... i nie lada wiedzy potrzeba, by się w tym wszystkim połapać. Ot, pierduny, dla przykładu, sekta założona przez Gawriłowa, mnicha z Atosa, który nauczał, że to co jemy, żywi diabła, żyjącego w nas, i jako formę oczyszczenia zalecał rytualne pierdzenie połączone z modlitwą... co współczesny francuski historyk Ingerflom odczytuje jako relikt kultu Peruna, łączący pierdy z gromami!

Lub chłysty, czyli „...samoistny wyraz ruskiego ducha – jak czytamy w „Encyklopedycznym słowniku prawosławnym" – z jednej strony pod wpływem pogańskiej wiary naszych przodków, z drugiej pod naciskiem idei bogomilskich, rozprzestrzenionych u nas dzięki apokryficznej literaturze". Literatura ta – dodajmy – przyszła na Ruś wraz z chrześcijaństwem (ikony, księgi duchowne) z Orchidy, patriarchatu bułgarskiego, zdominowanego w onym czasie przez herezję manichejską (bogomilców), która stamtąd przeniknęła na Zachód pod postacią patarynów, katarów i albigensów, na Rusi natomiast wiekami się tliła w... monastyrach. Dopiero reforma Nikona, likwidując stare księgi, wywołała kontrakcję i wywiodła herezję z cel klasztornych na świat. Nierzadko przy tym dochodziło do rozlewu krwi, tudzież stosu. Sołowiecki monastyr jeszcze osiem lat trwał na straży starego obrzędu, oblegany wojskami carskimi... A i potem, po zwycięstwie reformy, klasztory bywały zarzewiem niejednej herezji, zwłaszcza chłystowskiej. Solidny Kutiepow, autor „Sekty chłystów i skopców", naliczył parę dziesiątków monastyrów, w tym kilkanaście moskiewskich, zarażonych chłystowszczyną w XVIII wieku. Przypomnę, że początek sekcie dał Daniło Filippow, który w 1631 potopił księgi cerkiewne w Wołdze i 12 przykazań ogłosił. Pierwsze z nich brzmiało: „Jam jest Bóg, zapowiedziany przez proroków, który zstąpił na ziemię, aby zbawiać ludzkie dusze. Nie będziesz miał innych bogów przede mną". „Boży ludzie" – tak nazywano chłystów – wierzyli, że Bóg się wciela w każdego z nas, jak onegdaj się zrodził w Jezusie Chrystusie – wystarczy *radiet'* i *krużit'*. (Chodzi o zbiorowy rutuał „zawirowań", wiodących do... odmiennych stanów świadomości, niekiedy halucynacji, epilepsji, itp.) Dla praktyk tych, często zakańczanych orgią, chłysty organizowali wspólnoty, tzw. „okręty". Ucząc, że seks to grzech, twierdzili, że bez grzechu nie ma pokuty, a bez pokuty – zbawienia, zatem pożycie małżeńskie, tające grzech, jest gorsze, niż on sam. W „okrętach" chłystów wszystko było wspólne: od mich do bab.

Współczesny filolog twierdzi, że chłystowski „okręt", w którym Bóg był współobecny przy rytuałach, a wierni jednogłośnie powtarzali te same teksty, krążyli w zamkniętej przestrzeni i razem przeżywali orgazm – to jedna z najmocniejszych metafor ludzkiej wspólnoty znanych antropologii i historii. Tradycyjna ruska *obszczina*, ze wspólnym polem, obrzędem i prawem, pozostawiała na uboczu rodzinę i sprawy seksu – kolektyw ich się nie tykał. Natomiast idee chłystów, cementując wspólnotę, pociągnęły eksperymenty z rodziną i płcią. Dla stabilizacji tego doświadczenia niezbędna jest wiara. Prawdziwy komunizm może być osiągnięty tylko we wspólnocie erotycznej i mistycznej.

5.

W 1772 we wsi Bogdanowka zaniepokojona policja zarejestrowała 13-tu mużyków „...bez jaj, podniesiono alarm, sprawca zbiegł...” – tak się zaczyna historia jednej z najdziwniejszych sekt w dziejach świata, sekty „białych gołębi”, w której ruski radykalizm znalazł najpełniejszy wyraz. Pojedyncze przypadki samokastracji z pobudek religijnych bywały i wcześniej, choćby kazus Orygenesa, i na Rusi można przypomnieć paru monachów-rzezańców śród Pieczerskiej braci, np. Jefrema, późniejszego metropolitę kijowskiego, czy inoka Mojsieja, którego... Polka otrzebiła w *Patieriku*. Lecz dopiero pod koniec XVIII stulecia w Rosji skopczestwo przyjęło formy sekty religijnej, wyłaniając się z chłystowskich „okrętów”, niby nowy zakon. Na czele stanął starzec Seliwanow, Bóg i Car w jednej osobie, bo się podawał zarazem i za wcielenie Pana Boga i za Jego Wysokość Piotra III, mieszając mistykę z polityką. Seliwanow głosił, że zbliża się Koniec Świata i starczy otrzebić 144 000 braci i sióstr, by Sąd Ostateczny nastąpił. Sąd się odbędzie w Moskwie pod przewodnictwem Seliwanowa, który do tego czasu zasiądzie na carskim tronie. Karać się będzie na *lepost'*, czyli za stosunki płciowe, grzech straszny, co zżera świat i robi z ludzi bydło, zamiast aniołów. Aby aniołem się stać, należy grzech odkupić, to znaczy... otrzebić się.

Gra słów w ruskim języku: *iskuplenije/oskoplenije* (odkupienie/otrzebienie) oddaje sens metafizyczny odkupienia grzechu pierworodnego przez rzezańców. Według ich nauk pierwsi ludzie byli bezpłciowi, tj. nie posiadali narządów płciowych. Za to mieli pełną swobodę, nie mogli tylko dotykać drzewa poznania. Za złamanie zakazu Bóg ich ciężko pokarał: na ciele Adama i Ewy pojawiły się organy, będące kopią drzewa poznania. Pień wyrósł jako prącie, jabłka – jako cycki. Tylko chirurgiczna interwencja, czyli obcięcie grzesznych członków, może zbawić człeka od grzechu pierworodnego. Operacje robiono rozżarzonym żelazem i nazywano „chrztem ogniowym”, „sadzaniem na białego konia”, niekiedy „pieczęcią”. Rozróżniano „małą pieczęć” – odcięcie jąder u mężczyzn, sutek u kobiet, lub „carską pieczęć” – oberżnięcie prącia u nasady, piersi „do samej kości”. Kobietom wyrzynano też wargi sromowe, co prowadziło do zrastania pochwy. Na starych policyjnych fotografiach (mam je przed sobą!) trudno rozróżnić śród gołych rzezańców, kto z nich jest kobietą, a kto mężczyzną. Zaiste, bezpłciowe anioły.

Nauki Seliwanowa znalazły posłuch. Rychło posypały się donosy. To tu, to tam, donoszono o nowych otrzebieniach. „Okręty” rzezańców powstawały, jak grzyby po deszczu... w guberni orłowskiej, kałużskiej, kurskiej, tulskiej, tambowskiej, moskiewskiej, petersburskiej. Trzebili się chłopi, żołnierze i kupcy, wiejskie kumoszki i mieszczki. Skoro się okazało, że styl życia trzebieńców, w tym abstynencja, wegetarianizm, sprzyjają robieniu pieniędzy. Bogate „okręty” przekupują policję, rozwijają biznes, mają wpływy na dworze. Starzec Seliwanow, po krótkiej zsyłce na Sybir, wraca triumfalnie do Petersburga, jest hołubiony w wyższych sferach, jak sto lat później inny starzec – Rasputin. Potem koniunktura spada, skopców prześladują, zsyłają, męczą. Seliwanowa zamknęli w Spaso-Jewfimijewskij monastyr w Suzdalu, tam trafił na... „okręt” naszego rodaka, o którym za chwilę. Mimo represji, sekta się rozwija i nowe „okręty” się rodzą w najbardziej nieprawdopodobnych miejscach: w garnizonie piechoty morskiej w Kronsztadzie, w 95. rocie na Kaukazie, w sołowieckich kazamatach... Tutaj też, na Sołowkach, można znaleźć ślady ostatnich trzebieńców – w archiwach SŁON-a.

Filolog zauważa: „Kastracja wiąże człowieka ze wspólnotą tak mocno, jak nie mogła tego zrobić jakakolwiek więź ekonomiczna, czy ideologiczna. Zależność od wspólnoty zawsze się rozbijała o siłę płci – miłości do jednostki nie do wspólnoty. Kastracja likwiduje ten problem. Kastracja zamyka dla partnera i otwiera dla kolektywu. Kastracja czyni komunizm możliwym, ba, niezbędnym”.

6.

O Polaku-skopcu, Józefie Jeleńskim, autorze teokratyczno-rzezańczej utopii, więzionym na Sołowkach w latach 1794-1801, wiemy niewiele, zwłaszcza – do Sołowek. Niektórzy pisali, że był szambelanem króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, inni twierdzili, że konszachtował z Kościusz-

ką, zaś jeszcze inni lekce go ważyli, jako „bezdomnego polskiego inteligenta, który próbował bez powodzenia zarobić tu pieniądze". Takoż w ocenie roli Jeleńskiego historycy się poróżnili: jedni ogłosili Polaka pierwszym ruskim rewolucjonistą, a jego traktaty „najwyższym osiągnięciem myśli postępowej XVIII wieku", drudzy orzekli, że mistyk i wariat. Przyjrzyjmy się zatem tym niewielu faktom, które znamy.

Józef Jeleński (1756-1813) pochodził ze zbiedniałej rodziny szlacheckiej, spod Mińska. Po śmierci rodziców sprzedał resztki posiadłości, pieniądze szybko stracił, po czym przyjechał do Petersburga. Co tu robił? Trudno powiedzieć. Jakieś spekulacje, handelek, karty... Być może spiskował... Bywało, że dwa dni nie jadł. W maju 1794 roku, na podstawie donosu kapitana Cybulskiego, Jeleńskiego aresztowano. Pośród papierów, skonfiskowanych w trakcie rewizji, znaleziono proklamację o zniesieniu pańszczyzny, wydaną w Krakowie. By uniknąć kary śmierci, Polak przeszedł na prawosławie, pod imieniem Aleksij, a następnie został zesłany na Sołowki, pod srogi nadzór. Tutaj (w celi) napisał swój słynny „Błagowiest", czyli „Dobrą nowinę", która ogłuszyła archimandryta Iona – tonem arogancji. Albowiem, ni mniej, ni więcej, Jeleński zażądał od carycy Katarzyny, by się zrzekła tronu, „...w przeciwnym razie cała Rosja skąpie się we krwi". Ciekawe, że „Błagowiest", łącząc postulaty polskich manifestów i pugaczewskich odezw, napisany był w stylu staroobrzędowej gramoty, z wyraźnie podkreśloną nutą mizoginii. Tutaj też, na Wyspach, Jeleński się wykastrował...

(Stop! Zatrzymajmy się na chwilę w tym miejscu. Różni badacze bowiem różnie próbowali odczytać ten gest. Np. Frumienkow, autor „Więźniów sołowieckiego monastyra", objaśniał czyn Jeleńskiego utratą rozsądku na wieść o upadku Powstania Kościuszkowskiego. Cóż, nikt dziś nie może na sto procent powiedzieć, co kierowało Jeleńskim. Być może, tym sposobem chciał się z c e l i - c i a ł a wydobyć. Być może skopcy, współwięźniowie, mu powiedzieli, że nasze ciało to t u r m a, z niej się wychodzi „na białym koniu". Później Polak pisał: „...i ręce mi się wydłużyły, i nogi zrobiły się wielkie, zatem cały zogromniałem i rozprzestrzeniłem się, jakby Pan Bóg pomieścił we mnie i niebo, i ziemię, i wszelkie stworzenie".)

Po śmierci Katarzyny, car Aleksander się zmiłował nad Jeleńskim. Ba, wedle rozkazu Jego Wysokości, Jeleńskiemu dano mieszkanie w ławrze Aleksandra Newskiego w Petersburgu, w pokojach metropolitalnych. W rosyjskiej stolicy nasz rodak bynajmniej nie próżnował: zbliżył się z najsłynniejszymi mistykami epoki – Aleksandrem Łabzinym, twórcą masońskiej loży „Umierający sfinks", Aleksandrem Golicynym, ministrem oświaty, oraz z Bogiem skopców, Seliwanowym, potem sam „posadził na białego konia" parę tuzinów ruskich ludzi, by w końcu stać się głównym teoretykiem sekty. Zaś w 1804 r. przekazał na ręce Nowosilcowa, carskiego zausznika, swe „Posłanie" – projekt zupełnej przebudowy (*pieriestrojki!*) Rosyjskiego Imperium. Dokument zaprawdę unikalny. Oto, w kilku słowach, jego sens:

Rosja, głosi Jeleński w „Posłaniu", jest krajem wybranym przez Nasz Kościół do rozpoczęcia Wielkiej Przemiany – stąd cały świat się przeobrazi. Przemianę należy zacząć do armii i floty: każdemu dowódcy jednostki wojskowej, lub okrętu, przydziela się proroka-skopca, głosiciela Słowa, i sekretnego monacha-skopca, komentatora Słowa, który ma decydować o operacjach bojowych, czuwać nad drylem, morale i... kastrować żołnierzy. Jeleński kładzie nacisk na system kontroli: sekretny monach kontroluje dowódcę wojskowego, prorok (obowiązkowo niepiśmienny!) kontroluje monacha, proroka – wyższy monach, którego z kolei kontroluje wyższy prorok i tak dalej... aż do Pierwszego monacha, czyli samego Jeleńskiego, który stoi na czele głównego sztabu armii rosyjskiej i komentuje Słowo Pana Naszego, Ojca i Syna i Ducha Świętego w Jednej Osobie, Konrada Seliwanowa, który żyje przy dworze Cara rosyjskiego. Zatem Porządek ten wprowadza się do miast i wsi i obejmuje nim całe Imperium. Wszystko to po to, by rzezać ich, rzezać ich, rzezać ich... Skopczestwo to „...ślub zakonny, autentyczna schizma, pieczęć Ducha Świętego, chrzest duchem i ogniem". Ludzkość – wedle Jeleńskiego – podzieli się na dwie grupy: skopców, czyli ludzi duchownych, którzy będą panować i resztę, ta ma pracować i rozmnażać się, pod baczną kontrolą tych pierwszych.

Filolog pisze: „To najbardziej totalitarny projekt ze wszystkich, jakie zna historia utopii. Jeleński bowiem proponował nie tylko przeobrażenie całego systemu władzy,

państwowej i duchowej: i nie tylko zamierzał zacząć rewolucję z armii i floty, by później ją rozprzestrzenić na wszystkie ministerstwa, gubernie i sioła; i nie tylko chciał zbudować reżym najsroższym ze znanych nam sposobów – poprzez osobistą kontrolę duchownych pasterzy, zorganizowanych hierarchicznie". Wszystko to było znane i wcześniej, wiele z tego próbowano zrealizować do Jeleńskiego, i po nim też. Lecz tylko w jego projekcie do polityki zewnętrznej, wewnętrznej i duchowej włączono politykę ciała, w samym radykalnym i nieodwracalnym jej wariancie – chirurgicznym. Idea otrzebienia – najpierw komisarzy, a potem, pod ich kontrolą, narodu – to utopia, która osiąga teoretyczny kres wszelkiego utopizmu. Nikt, oprócz Polaka Jeleńskiego, tak dosłownie nie rozszyfrował sekretu Utopii".

24 sierpnia 1804 r. Jeleńskiego zamknęli w Spaso-Jewfimijewskim monastyrze w Suzdalu, za „rozpowszechnianie skopczewskiej herezji". Lecz Polak i tam nie zaprzestał trzebić, ba, wraz z monaszką Pajsijej cały ośrodek sopców tam zorganizowali i rzezał ich, rzezał... aż do samej śmierci. Wiek później inny Polak, Dzierżyński, będzie próbował tu nową utopię zrealizować.

7.

Post scirptum. W maju 1905 r. w jednym z petersburskich domów odbyło się zebranie, na którym goście odprawili osobliwy obrzęd: najpierw siedzieli na podłodze, przy zgaszonym świetle, potem zaczęli „wirować" wokół dobrowolnej „ofiary", muzykanta S. (pięknego blond-Żyda, nieochrzczonego), którego „symbolicznie ukrzyżowano, przygważdżając mu ręce i nogi" i męczono, imitując mękę Pańską, wreszcie Mistrz ceremonii rozciął S. żyłę u nadgarstka i nakapał krew do kielicha, krew zmieszali z winem i pili, podając po kręgu. Na koniec wszyscy się całowali. Mistrzem tej ceremonii był poeta Wiaczesław Iwanow, a w zebraniu uczestniczył Bierdiajew z żoną, Remizow z żoną, Rozanow z pasierbicą, Fiodor Sołogub i inni twórcy tzw. „srebrnego wieku".

Mariusz WILK

Kronika rodzinna

ZAMIAST WSTĘPU

Spisywanie „kroniki rodzinnej" przeze mnie jest przedsięwzięciem wielce ryzykownym z paru powodów. Pierwszy to ten, że właśnie skończyłem 67 lat, następny zaś, że w roku 1987 przeszedłem operację „by pasów" uprzednio w sierpniu przeżywszy już (nie wykryty przedtem) zawał i wątpię trochę czy uda mi się kronikarską pracę wykonać do końca ze względu na fizyczne siły a także i dziwaczejącą pamięć. Dziwaczejącą – tzn. nie taką bym coś przekręcał lub zmyślał, lecz działającą na zasadzie „konika szachowego". O ile śmierć nie wywróci całej szachownicy, mam zamiar dziełko ukończyć, może nie tyle ku pamięci potomnym ile dlatego, że dzieje własne i całej rodziny są dosyć niezwykłe, ale nie w sensie wagi historii ogólnej, lecz historii ludzkiej, zwykłej, polskiej rodziny inteligenckiej zakorzenionej w historii niewoli narodowej XIX wieku, walki o niepodległość, oraz w tzw. dwudziestolecie, II wojnie światowej, w PRL. Jak skończę tę kronikę (o ile to się uda) może już będzie wiadomo jaka jest nowa Polska po 1989 roku.

STUDENCKIE LATA

Rok uniwersytecki 1950-1951 zaczynał się więc niewesoło, (sprawa Borowego) a jeszcze bardziej ponuro kończył. M.in. brakowało Jadzi i mnie pieniędzy na życie. W ciągu trzech lat studiów do zakończenia I stopnia (studia

wówczas wprowadzono dwustopniowe: – po pierwszym można było wykonywać zawód np. nauczycielski lub pomocniczo-naukowy – zrobienie magisterium i kontynuacja pracy naukowej zależały od dopuszczenia do stopnia II-go). Staraliśmy się dorabiać w rozmaity sposób. Dostaliśmy co prawda stypendia, które były niskie, ale pozwalały na jedzenie obiadów i drobne wydatki. Uczciliśmy ten fakt – pamiętam – razem z Włodkiem, w winiarni znajdującej się wtedy po lewej stronie kościoła Św. Krzyża (idąc ku Świętokrzyskiej). Wypróżniliśmy butelkę greckiego wina „Samos" – chyba robionego na rodzynkach, bo było piekielnie słodkie, ale „greckie". Obiady w uniwersyteckiej stołówce były koszmarne, zwłaszcza gdy podawano dorsze. („Jedzcie dorsze, g... gorsze" – brzmiała studencka maksyma). Albo latem roku 1950, albo 1951 (chyba 1950), ja dostałem za pośrednictwem wujka Władka, który zajmował jeszcze wysokie stanowiska w powstałym po wojnie Centralnym Urzędzie Pomiarów Kraju prace zlecone, które polegały na tym, że wymierzaliśmy, inwentaryzując, rodzaje ocalałych powierzchni ulic i placów Żoliborza. A więc znowu znalazłem się nieopodal „Obozu Czarniecczyków", funkcjonującego już jako szkoła i biegałem z taśmą obliczając (chyba razem z Włodkiem i jakimś technikiem z lupą) powierzchnię dziur po wybuchach pocisków w asfalcie, a także co z asfaltu ocalało. Mierzyliśmy też zachowane mimo używania do różnych celów bojowych płyty chodnikowe, obszar trawników, wytyczonych niegdyś ścieżek przez trawniki itp.

O wiele nudniejszą pracą (w końcu na Placu Inwalidów można było się też opalać), była wyszukana jakimiś chodami przez Jadzię praca w Ministerstwie Oświaty przy Al. Wojska Polskiego, dawniej Szucha. Otóż zostaliśmy zatrudnieni przy porządkowaniu centralnego katalogu zaopatrzenia bibliotek publicznych w całym kraju, które korzystały z „zakupu centralnego". To był taki polski, a właściwie polsko-gogolowski Orwell. „Centralnemu zakupowi" przyświecała myśl, by wszystkie biblioteki szkolne i publiczne, dawniej powszechne, były oczyszczone z materiałów i literatury reakcyjnej, burżuazyjnej, a zaopatrywane w ideowo budujące, kształtujące nową świadomość i klasową, i patriotyczno-ludową czytelników miast, miasteczek i wsi. Biblioteki

szkolne miały pion osobny, który podlegał tu bezpośredniej kontroli. Tak więc siedzieliśmy przed podłużnymi pudełkami z fiszkami, na których były wypisane tytuły książek i symbole terenowych księgozbiorów kraju. Wszystko jedno zresztą co było na tych fiszkach. Figurowały na nich wszystkie lektury obowiązkowe typu: „Traktory zdobędą wiosnę", „Popiół i diament" lub „W okopach Stalingradu" Niekrasowa, ale i „Tito-łańcuchowy pies kapitalizmu", lub inne pożyteczne materiały szkoleniowe jak: „Krwawy trup zza Pirenejów" czyli Gen. Franko. Są to obecnie łatwe żarty – takie wypisywanie bzdurnych elaboratów – ale do tego można by dodać humor samego funkcjonowania owego aparatu zaopatrzenia i – kontroli w stolicy sporego państwa nad tysiącami księgozbiorów od Bałtyku po Tatry i od Odry po Bug. W ślad za tymi kartotekami i ich np. niezbyt jasnym obliczem ideowym podążali jacyś niedobrze płatni kontrolerzy kuratoryjni a może i ze stolicy. Nam robienie dodatkowego bałaganu w tym wszystkim dawało jednak pewne dodatkowe zarobki uzupełniające uniwersyteckie stypendia. Tak to pracował wówczas mózg „aparatu przemocy" przejętego przez proletariackie państwo od burżuazyjnego.

Pamiętam też jak już w czerwcowym skwarze przygotowywaliśmy siebie nawzajem do egzaminów, przepytując w mieszkaniu na Raszyńskiej z materiału. Naprawdę nie mieliśmy już co jeść. Szczytem naszych osiągnięć kulinarnych i wisielczego humoru była tak zwana zupa mięsna na puszce po szynce wuja Kiełczewskiego. Był członkiem PZPR i musiał dostawać jakieś przydziały, bo znalazłem w kuchni metalową, dużą puszkę nie oskrobaną od wewnątrz dokładnie z mięsnej zawartości. Wpadliśmy na pomysł by ją wygotować, dodając parę ziemniaków. Było to jedzenie smaczne i nawet syte.

W tym samym mniej więcej czasie rozgrywała się historia dziejów życia Wujka Władka, poniekąd podobna do tego, co stało się z prof. Borowym.

Wujek w czasie wojny razem z paru innymi mierniczymi przysięgłymi i naukowcami geodetami opracowali organizację powojennej służby geodezyjnej na cały kraj, oraz strukturę i funkcję jej głównego urzędu w Warszawie. Brakowało podobnego prawodawstwa i organizacji przed 1939 rokiem i potrzeba jej była w kraju oczywista. Inżynierskie plany nagle

się zmaterializowały. Już pierwszy rząd powstały „za komuny" utworzył Centralny Urząd Pomiarów Kraju i sieć organizacyjno-administracyjną w terenie. Pismem z dnia 30 kwietnia 1946 r. Wujek Władek został przez samego premiera E. Osóbkę-Morawskiego mianowany Dyrektorem Biura Administracji Miernictwa w GUPK a niebawem, w roku 1948 (23 sierpnia) dodano mu jeszcze funkcję Dyrektora GUPK. Tak więc realizowano dawne marzenia i plany geodetów, a Władek przy tym pełnił wiele funkcji w różnych komisjach i komitetach związanych z tymi sprawami. I oto po paru latach 31 sierpnia 1951 roku Wujek otrzymuje pismo Prezesa GUPK, w którym czytamy: „wypowiadam Obywatelowi z dniem 31 sierpnia 1951 roku stosunek służbowy w GUPK z dniem 30 listopada 1951...". Pozwolono po tej nagłej dymisji pracować Władkowi w Centralnym Biurze Projektów Budownictwa Wiejskiego co było po prostu czysto wykonawczą czynnością. Został nawet kierownikiem działu. Ale i tam, już z powodu choroby wieńcowej, przestał w ogóle pracować. Zachowany w jego archiwum elektrokardiogram z 8 IX 1954 r. mówi o śladach „po przebytym zawale tylnej ściany serca".

Od Wujka wiem jeszcze, że gdy był dyrektorem w GUPK wezwał go Urząd Bezpieczeństwa i począł zarzucać współpracę z obcym wywiadem, gdyż według owego urzędu nie było rzeczą możliwą, by bez pomocy z zewnątrz, jakiegoś wywiadu, paru inżynierów i uczonych potrafiło zaplanować sieć geodezyjno-administracyjną w całym kraju wraz z warszawską centralą... „Kto dawał wam instrukcje – ha!..."

A więc metoda (i jej skutki) usuwanych, bezpartyjnych fachowców była taka sama na uniwersyteckiej polonistyce jak i w geodezji. Tyle, że wujek nie umarł po zwolnieniu na zawał (miał inny, śmiertelny ale już w roku...). Doczekał się roku 1956, oraz rządów Gomułki. Wtedy to nowy Prezes Centralnego Urzędu Geodezji i Kartografii z dniem 1 maja 1957 r. mianował wuja doradcą Prezesa Urzędu w randze ryczałtowego Starszego Radcy. Wujek wykładał poza tym na Politechnice, oraz opracowywał rozmaite podręczniki i ekspertyzy.

●

Jak się niebawem okazało, nie mogłem pozostawać na

UW. Ten sam los czekał Jadzię Dworak i Włodka Kołodziejskiego i wielu innych. Jednocześnie wiadomo było, że weszło w życie tzw. „prawo obowiązku pracy" według z góry planowanego jej przydziału przez odpowiedni urząd. Tak więc mogłem być już w lecie, po zdaniu egzaminów końcowych, wysłany np. na głuchą wieś białostocką czy koszalińską na okres 3 lat jako nauczyciel. Ratunkiem mogło być wcześniejsze znalezienie pracy. Mało tego, strata praw studenckich wpisywała mnie na listę poborowych, a mój rocznik (1930) był jeszcze w roku 1952 jesienią objęty poborem. Głuche wieści krążyły (potem sprawdzone przez życie), że takich jak ja „reakcjonistów" zazwyczaj wysyłano do pracy w kopalniach. Jednym słowem, perspektywy były katastrofalne, a ja po raz pierwszy zacząłem w życiu odczuwać „chorobę wrzodową", bo terror stalinowski plus owe wojskowe (nawet bez kopalni) perspektywy budziły we mnie okropne lęki i frustracje. Ratowałem się modlitwą.

Bo w tym miejscu warto też zanotować, że od czasów Szczecina zawsze byłem czytelnikiem *Tygodnika Powszechnego* i *Znaku*. *Tygodnik* wtedy był zresztą ogólnopolskim pismem inteligencko-studenckim, chociaż trudno go było zdobyć, bo miał bardzo ograniczony nakład i coraz silniej było widać na nim działanie cenzury. Z uporem też, mimo pewnych wątpliwości nie tyle na temat Boga, co kleru, chodziłem co niedziela do kościoła i na rekolekcje do Św. Anny, które głosił Prymas Wyszyński.

PRZYDZIAŁ PRACY

Od przydziału pracy gdzieś na prowincji uratowała mnie Jadzia Dworak. Okazało się mianowicie, że dyrektorem Biblioteki Narodowej jest Władysław Bieńkowski, wybitny komunista z grupy Gomułki. Gdy Gomułkę aresztowano „za odchylenia nacjonalistyczne" Bieńkowskiego jedynie odsunięto zupełnie na bok od życia politycznego. Wielkim paradoksem było to, że w owej Bibliotece Narodowej sekretarzem tzw. podstawowej komórki partyjnej PZPR był woźny, a Bieńkowski (z partii go nie usunięto) jako dyrektor narodowej książnicy był członkiem tego POP-u. Jadzia i ja

przedtem złożyliśmy podania o przyjęcie do pracy w ok. 10 wydawnictwach i instytucjach oświatowych, w których wszędzie je odrzucono. Na Bibliotekę Narodową pierwsza trafiła ona. Potem i ja stałem się „pomocniczym pracownikiem nauki" i od tej pory, pracując głównie w „Biurze Katalogowym" co było zasadą w naukowym bibliotekarstwie, kończyliśmy jednocześnie nasze studia, na co otrzymywało się dodatkowe (ustawowo) zwolnienia z liczby przepracowanych godzin.

Biblioteka Narodowa mieściła się wówczas w gmachu SGPiS (Szkoła Główna Planowania i Statystyki) naprzeciwko Więzienia Mokotowskiego na ul. Rakowieckiej.

Tak pod skrzydłem przedwojennego komunisty, potem ministra oświaty, a wreszcie wybitnego dysydenta ideologicznego, uratowaliśmy się od wyrzucenia z Warszawy. Pobór, który mnie obejmował, miał nastąpić dopiero jesienią. Tymczasem kuliśmy historię Wszechzwiązkowej Partii Bolszewików, czytaliśmy co się dało z normalnych książek, by jednak być wykształconymi Europejczykami, no i jeśli chodzi o mnie (w każdym razie na pewno w moim wypadku) „pożerałem" wprost tłumaczenia francuskich powieści katolickich m.in. Bernanosa. Przeczytałem też „Listy Nikodema" Jana Dobraczyńskiego, które zrobiły na mnie duże wrażenie, a w zbiorach macierzystej Biblioteki zaczytywałem się wydanymi przed wojną dziełami filozoficznymi Maritaina. Jednocześnie przygotowywaliśmy się do obowiązkowego egzaminu z historii filozofii. Nie wolno było posługiwać się częściowo już wydaną historią filozofii prof. Władysława Tatarkiewicza. Jej trzeci tom (współczesność) wydrukowano i natychmiast skonfiskowano. Leżał gdzieś w ukryciu. Obowiązywał jakiś skrypt powielaczowy napisany m.in. przez Kołakowskiego i innych wówczas pracowników „katedry filozofii", w którym obsesyjnie dzielono każdy system, okres rozwoju myśli kogokolwiek, od pierwszych filozofów greckich po współczesnych, na „idealistów" i „materialistów", zaś za kryterium postępu prawdy przyjmowano negatywny stosunek myśli, czy myśliciela do chrześcijaństwa, wiary w Boga. W tym wszystkim było brak i metodyki, i logiki, i prawdę mówiąc rzetelnej wiedzy. Jak w wypadku literatury tak i w tym ja ratowałem się jednak czytaniem ukrytego w Bibliotece

I i II tomu historii Tatarkiewicza, „Wyznaniami" św. Augustyna, a zwłaszcza „Myślami" Pascala. To był mój ulubieniec. W Bibliotece Uniwersyteckiej natrafiłem też na broszurę prof. Łempickiego, wydaną jeszcze przed wojną, pt. „Idea humanizmu", która mnie zafrapowała.

Egzamin z filozofii zapamiętałem na całe życie. Zdawałem go w jakiś upalny dzień na Krakowskim Przedmieściu w nastroju takim, że już mi jest absolutnie wszystko jedno czy zdam, czy nie zdam te oczywiste androny i co się ze mną potem stanie. Egzaminatorem był sam Leszek Kołakowski. Zadał mi pytanie „przekrojowe", o jakiś poznawczy program, czy ideę, by ją przedstawić w świetle kolejnych, historycznych okresów rozwoju filozofii. Uczyniłem to z niebywałym trudem czując, że plotę chyba coś „trzy po trzy", ale określeń „postępowy", „idealistyczny" itp. starałem się używać jak najczęściej. Umilkłem. Kołakowski patrzył na mnie z pewnym zdumieniem. – Czy zdaje sobie pan sprawę – rzekł – że znając nawet wiele faktów i nazwisk przedstawił mi pan „proces" rozwoju tematu, tak jak gdyby epoka średniowiecza poprzedzona została przez odrodzenie, przez humanizm? – Ja już nic na podstawie tego skryptu – położyłem przed nim owo arcydzieło UW – powiedzieć nie potrafię – odpowiedziałem. – On po prostu jest gwałtem na racjonalnym myśleniu. Niech Pan robi co Pan chce! – A kto był pierwszym człowiekiem Renesansu? – nagle zapytał mnie Kołakowski wcale wybuchem mym nie poruszony. – Św. Franciszek z Asyżu – odburknąłem prowokacyjnie. – Skąd to pan wziął? – Z Łempickiego „Idea Humanizmu" – odparłem. Siedział skamieniały z dziwną miną. – Zdał Pan – usłyszałem. (O dziwo chyba nawet na „4"). Jednak już wtedy było w Kołakowskim coś ludzkiego.

Ale nadszedł też wtedy termin Komisji Poborowej do Ludowego Wojska Polskiego. RKU (Rejonowa Komenda Uzupełnień) mieściła się na Pradze, nieopodal kościoła Św. Floriana. Po zgłoszeniu się tam zbadała mnie ponownie komisja lekarska, uzupełniono dane o studiach – i wydano mi tzw. „bilet" – czyli skierowanie do jakiejś jednostki. Nie mówiono do jakiej. Czekaliśmy na przydział w osobnym korytarzu. Byłem ostatni w kolejce. Wezwał mnie wreszcie starszawy oficer w randze majora i kazał siąść naprzeciw za

biurkiem. Dialog jaki między nami się wywiązał brzmiał – jak pomnę – mniej więcej następująco:

– To kim był wasz ojciec Skwarnicki? Napisaliście w ankiecie, że majorem piechoty Wojska Polskiego. To prawda?

W tym momencie dopiero, przerażony, przypomniałem sobie, że na pierwszej komisji poborowej w 1948 roku w Szczecinie postanowiłem w ankiecie wojskowej nie wypierać się ojca ze względów – że tak powiem – honorowych. W innych, wszystkich ankietach zawsze łgałem jak każdy. „Kopalnia" – pomyślałem z rozpaczą.

– A gdzie jest teraz wasz ojciec? – major patrzył na mnie spokojnym i beznamiętnym wzrokiem – i co wasz ojciec robił w czasie wojny?

– Bronił Warszawy – odparłem – potem był w oflagach, a teraz jest na emigracji w Chicago. Wbiłem jeszcze jeden gwóźdź do własnej trumny.

– Major coś tam jeszcze wertował w mojej teczce po czym powiedział – dajcie mi ten wasz „bilet", czyli skierowanie. – Przekreślił go, wyjął wypełnioną już i ostemplowaną nową „książeczkę wojskową", wbił tam pieczęć, złożył podpis i rzekł spokojnie – Spierdalaj synu do domu, bo my takich sukinsynów w Ludowej Armii nie potrzebujemy!

Po wyjściu z Komendy zobaczyłem, że wpisał mnie do rezerwy. Poszedłem do pobliskiego ZOO tak szczęśliwy, że do dziś dnia to pamiętam. Odnalazłem swoją ulubioną klatkę z małpami i tam nawzajem stroiliśmy do siebie miny. Czy ten starszawy oficer chciał mnie uratować ze względu na własną przynależność do czasów sprzed 1939 roku? Podejrzewam, że tak, bo to był cud. Opatrzność więc nade mną czuwała i sądzę, że Dobry Bóg, pewnie i Św. Franciszek od tej chwili kierowali już moimi krokami w zupełnie nie przewidzianym przeze mnie wówczas kierunku.

Wiosną tegoż 1952 roku na łamach *Tygodnika Powszechnego* rozgorzała dyskusja na temat współczesnej powieści katolickiej a jej źródłem było wydane w „Paxie" tłumaczenie przez Jacka Woźniakowskiego „Sedna sprawy" Grahama Greena. Chodziło o to, że w odróżnieniu od cukierkowatego stylu dewocyjnej grafomanii przedwojennej, tzw. „Literatury katolickiej", albo też dzieł chrześcijańskich zawsze „budujących" pojawiła się tzw. „czarna literatura" chrześcijańska, w której nie unikano wiwisekcji złych skłonności ludzkiej natury, grzesznych bohaterów itp. Nie dotyczyło to ani Malewskiej, ani Gołubiewa, Dobraczyńskiego, czy Zawieyskiego, którzy należeli do polskiej grupy chrześcijańskich pisarzy, uciekających tematycznie przed Urzędem Cenzury w historię lub mistykę. Sprawa „Sedna sprawy" była specjalnie jakoś drażliwa. Pewnego dnia, przeczytałem w bloku dyskusyjnym pisma, artykuł Zygmunta Marzysa nadesłany z Neuchâtel w Szwajcarii, aprobujący owo ukazywanie ciemnych stron człowieczeństwa przez Greena. Był to „mój Zygmunt", ten, z którym rozstałem się w Księżostanach w 1939 roku uciekając przed armią sowiecką na zachód wozem zaprzęgniętym w dwie leniwe, jak się potem okazało przybyłe z wojskiem z Polesia, szkapy.

Poczułem nagle wewnętrzny bunt przeciwko swojej sytuacji człowieka osaczonego nie tylko cenzurą, ale i zmaltretowanego ciągłym – prawdę mówiąc – strachem. Szedłem na polonistykę z niejasnym zamiarem bycia albo historykiem literatury, albo, gdyby się powiodło – człowiekiem pióra. I oto z płynącej mlekiem i miodem Szwajcarii pisze sobie „niefrasobliwie" bez potrzeby ukrywania swego nazwiska i imienia mój „brat chrzestny" Zygmuś. I wtedy „wypaliłem" nagle od ręki artykuł pt. „O optymizmie wiary" pod pseudonimem Jerzego Patkiewicza, no bo bez tego pseudonimu to bym chyba i do końcowych egzaminów nie dotrwał na I stopniu studiów. Dla Uniwersytetu *Tygodnik* był wręcz twierdzą wrogów ustroju. A może to tylko mi się tak zdawało. Zdzisław Najder czy Odrowąż Pieniążek pisywali już, chyba w jezuickim *Przeglądzie Powszechnym*, można było drukować w prasie „paxowskiej" ale to mi nie odpowiadało. A w ogóle to odkryłem, że potrafię pisać, bo mój artykuł „O optymizmie wiary" (który płynie ze słabości człowieka właśnie, ale nie ze zła. Słabość Krzyża jest siłą. Jednocześnie podkreślałem społeczną stronę zagadnienia grzechu), ów artykuł ukazał się natychmiast, w następnym numerze *Tygodnika Powszechnego*.

Wpadłem więc w euforię grafomanienia. Zacząłem zasypywać redakcję w Krakowie recenzjami o powieściach Dobraczyńskiego. Nie wiedziałem, że „Pax" i *Tygodnik* to dwa obozy sobie wrogie aczkolwiek jakoś tam po chrześcijańsku współegzystujące i brałem wszelkie publikacje „tygodni-

kowe" jako bardziej swoje, ale też dbające o literaturę piękną z „Pax"-u. Zresztą Pax miał wówczas absolutny monopol na publikowanie literatury i książek katolickich. Posyłałem kolejne elaboraty na ul. Wiślną, ale nic z tego nie wynikało.

Aż pewnego dnia, po południu, zadzwonił ktoś do mieszkania na Raszyńskiej i spytał ciotki czy tu mieszka Marek Skwarnicki? Otworzyłem drzwi. Stał przede mną miły, kędzierzawy brunet, który wyciągnął do mnie rękę i przedstawił się – Zygmunt Kubiak. Przychodzę do pana proszony o to przez redakcję *Tygodnika Powszechnego*, czy można z panem porozmawiać? Mam tu ze sobą nadesłane artykuły.

Jeszcze przedtem otrzymałem list podpisany przez sekretarza redakcji *TP* Jacka Woźniakowskiego, wyrażający zadowolenie z jakości skierowanego do druku, pierwszego mego artykuliszcza. Ale oto przyszedł do mnie Zygmunt Kubiak drukujący wszak pod nazwiskiem i którego szczególnie lubiłem czytać.

Tak rozpoczęła się moja zupełnie nowa, w przyszłości radykalnie nowa droga życiowa, tak jakby w dotychczasowej brakowało gwałtownych zmian i nieoczekiwanych wydarzeń. Ale to można ocenić dopiero z perspektywy obecnego, 1997 roku, a do niego czeka ewentualnego czytelnika tych wynurzeń i zapisków historycznych jeszcze bardzo długa i uciążliwa droga przez bardzo wiele stron. Oby to Czytelnik rodzimy lub obcy jakoś wytrzymał.

KOCHAJMY KSIĄŻKI

Jesienią 1952 roku byłem więc człowiekiem po studiach, mimo, że prawdziwych studiów nie skończyłem, bo mi tego zabroniono. Było to celowe uniemożliwienie robienia magisterium „nieprzyjaciołom ludu". Piszę nieprzyjaciołom, a nie wrogom, bo mam łagodny charakter i tak prawdę mówiąc to bezpośrednio spotykanych komunistów nie nienawidziłem. Starałem się nawet zrozumieć pod względem moralnym i ideowym. Bo to dopiero chyba po roku 1968 czy w latach 70-tych, tzw. „gierkowskich", nikt w ogóle nie mógł uwierzyć, że ktoś zapisuje się do PZPR nie dla kariery, albo

przez nikogo nie szantażowany. Nie mniej starano się uchronić polską młodzież i przede mną, i Jadzią. Siedzieliśmy więc nieopodal siebie w Biurze Katalogowym, katalogując napływające do książnicy narodowej książki. By to uczynić musieliśmy wykuć prawie na pamięć zasady przepisów katalogowania rozmaitych rodzajów druków ery nowożytnej, tzn. od 1800 roku, bo wcześniejsze należały do działu druków starych. W dodatku trzeba było też opanować wiedzę o rozmaitych rodzajach katalogów (alfabetycznych, działowych itp.) a także zasady robienia do każdej skatalogowanej pozycji odsyłaczy itp. itd. Po górnych i chmurnych marzeniach humanistycznych problemy różnic znaczeniowych w opisie bibliograficznym przecinka, kropki, czy dwukropka to była jednak mała katorga. Bo żeby to dotyczyło spisu konserw rybnych, a nawet jarzynowych (ryb nie lubię), no to byłoby głupstwo, ale tu chodziło o życie kultury ludzkiej bezustannie owocującej nowymi dziełami!

W tym miejscu znowu powołać się muszę na moją powieść z roku 1968 „Marcin", w której zwłaszcza rozdział „Kustosz" jest właściwie wiernym i nie ondulowanym literacko portretem mego przyszłego pryncypała bibliotecznego – o czym za chwilę. W tym miejscu dodam tylko, że z ulicy Raszyńskiej, także zimą, w Rakowiecką naprzeciw wielkiej, żelaznej bramy Więzienia Mokotowskiego, dochodziłem do pracy. Ilekroć szedłem tą trasą, zwłaszcza do domu, tylekroć przypominał mi się nasz pochód z dnia 21 sierpnia 1944 roku do Placu Narutowicza i dalej poprzez Pruszków do otchłani obozowej. I dzisiaj mi się to przypomina, chociaż komunikacyjnie wszystko tam jest przebudowane i Biblioteka jest przecież gdzie indziej, a nasze staranne kaligrafowanie „bibliotecznym druczkiem", atramentem na kartach katalogowych (to chyba jeszcze był okres maczania stalówek w kałamarzu?), zastąpiła elektronika.

Radością „katalożników" była wspólna przyjaźń wyrzuconych na społeczny margines (jak się tym głupcom wydawało), pomiotu starej, burżuazyjnej inteligencji. Jadzia, ja, jeszcze Marek Getter, cudowny łysy intelektualista, historyk, ale i starsze osoby (okazało się, że to gniazdo reakcji w dodatku było i klerykalne, bo z nami pracowały tzw. „ósemki", zaufane osoby Prymasa Wyszyńskiego), my wszyscy

stanowiliśmy jednak grupę ludzi solidnych i trwających w jakimś niewidocznym, wewnętrznym oporze przeciw wszystkiemu co działo się wówczas w Polsce. A że bibliotekarstwo, tak jak i muzealnictwo obfituje w dziwaków i wielu humanistycznych „nieudaczników", miało to też i swoje dobre strony. Pamiętam wysoką i ładną blondynkę z naszej „katalogowni", która pewnego dnia wstała od stołu, gdzie zastanawiała się czy postawić po tytule książki kropkę czy przecinek, złożyła ręce jak anioły w szopkach przy żłóbku i oświadczyła, że zaiste jest archanielicą i wyrusza do nieba. Przy wyjściu z Biblioteki czekało już na nią pogotowie ratunkowe, bo gdy jej przeszkadzano w schizofrenidalnym rozanieleniu wpadła w piekielną złość.

Ja do podobnego stanu nie doszedłem, ale pamiętam jak marzyliśmy z Getterem, że nagle wysypiemy na kupę wszystkie szuflady alfabetycznego katalogu, pomieszamy je ze sobą i dyrekcja będzie musiała zdobyć nowe fundusze by nas opłacić.

Byliśmy biedni, skromność naszych uposażeń postanowiłem uzupełnić w dosyć oryginalny sposób. Rzecz jasna nie wszedłem na drogę przestępczą, by kraść książki i je sprzedawać w antykwariatach – a mieliśmy niekiedy do czynienia z dziełami bezcennymi. Otóż znajomy powiedział mi, że w Zakładzie Zoologii UW brakuje kotów do doświadczeń, a za każdą sztukę dawano parę niezłych złotych. Podszkolony zostałem w chwytaniu bezdomnych zwierząt (w bibliotekach kotów zawsze jest sporo bo łapią myszy, a karmią je dobre panie), „na walerianę". Kot nie potrafi się oprzeć zapachowi waleriany i podchodzi tak blisko, że można go w mig wsadzić do worka i zawieźć na Krakowskie Przedmieście, gdzie nie pytając o pochodzenie zwierzęcia (były to wszak tzw. „dachowce") płacono sumkę należną pomocniczemu pracownikowi nauki, którego prof. Schaff przygotował do walki klas, ale w bibliotekach to nie wiadomo kto do jakiej klasy należy – poza personalną. Zginął jej niestety kot. (Przysięgam – że to nie moja sprawka). Oparła się ta historia o Dyrektora czyli o samego Władysława Bieńkowskiego. Postawiono mnie przed jego obliczem, a on mi uwierzył, że personalny kot to nie moje dzieło, aczkolwiek muszę coś dorobić do głodowej pensji i nie widzę nic zdrożnego w dostarczaniu nauce

surowca badawczego. Dostał paroksyzmu śmiechu.

Otrzymałem podwyżkę. Kot personalnej się znalazł. (Poszedł gdzieś „na kocice"). A ja otrzymałem propozycję przeniesienia mnie do pracy, której nikt nie chciał się właściwie na stałe podjąć, a ja ją oceniłem jako doprawdy życiową szansę. Chodziło o to, by być asystentem Kustosza Biblioteki Stanisława Piotra Koczorowskiego w Dziale Uzupełniania Zbiorów, pod dyrekcją pani Emilii dr. Kurdybachowej. Dziadek – tak go wszyscy nazywali – prawie zupełnie oślepł od całożyciowej pracy z książkami, nieraz w złych warunkach świetlnych. Miałem być jego oczyma. Dziadek był *ex*-dyrektorem i to długoletnim Biblioteki Polskiej w Paryżu i słynnym księgoznawcą, a także namiętnym bibliofilem.

Początek mojej pracy z Kustoszem Stanisławem Piotrem Koczorowskim jest trudny do ustalenia. Przypuszczam, że było to lato albo jesień 1952 roku. Do Zakładowej Organizacji Związkowej przy BN (Biblioteka Narodowa) – co poświadcza zachowana legitymacja – wstąpiłem 26 II 1952. Od marca płaciłem tam obowiązkowe składki, które kwitowała Jadwiga Kołodziejska (zachowałem legitymację). Z tego wniosek wypływa podwójny, że do Związku Zawodowego Pracowników Kultury (potem i sztuki) należeli wszyscy pracownicy obowiązkowo, bo m.in. niemożliwe było korzystanie wtedy bez tego z bezpłatnych wczasów pracowniczych itp. Poza tym nikomu do głowy nie przychodziło by do tych związków nie należeć. Dopiero potem, w roku 1958 pracując w *Tygodniku Powszechnym,* ze zdumieniem dowiedziałem się, że część naszej „starej gwardii" nie należała i nie należy do jakichkolwiek związków. Ale to już temat do rozważań na przyszłość, gdy kronika moja chronologicznie wkroczy w czasy krakowskie.

Tymczasem jest terror jak na przyzwoity stalinizm przystało, na zebrania związkowe tzw. codzienne „prasówki", czyli relacje „co nowego w *Trybunie Ludu*" przychodzi nawet mój kochany dziadek, bo obowiązuje ścisła dyscyplina pracy, więc galopuję nieraz tą swoją „popowstańczą" drogą krzyżową tam i z powrotem do pracy i domu, bo po godz. 8-ej rano listy zabiera personalna i trzeba się tłumaczyć na piśmie, czemu człowiek przyszedł 5 minut potem. Makabra. A do tego

wszystkiego ciągłe korekty kart katalogowych, bo zamiast kropki postawiłem przecinek, albo zapomniałem o odsyłaczu do nazwiska tłumacza dzieła.

Początkowo proszono mnie o współpracę z Koczorem (tak jednak będę go tu zwał, jak i wielu jego przyjaciół) na pewien czas. Dział Uzupełniania Zbiorów znajdował się na parterze, w pobliżu Gabinetu Dyrektora (czyli Bieńkowskiego). W półmroku kiszkowatej sali (budynek był „międzywojenny" więc miał i solidną podłogę, i okna, i drzwi), biurka stały naprzeciw siebie pod ścianami w dwóch rzędach. Koczor oczywiście miał swoje biurko pod oknem, a ja siedziałem obok niego, bokiem na krześle; dalej, w kierunku drzwi siedziała kierowniczka naszego działu, naprzeciw niej zaś bardzo piękna dziewczyna w moim mniej więcej wieku, która mnie niezwykle onieśmielała. Była protestantką – jak zapamiętałem z niewiadomej przyczyny. (Może tej, że nigdy w życiu nie znałem innych tak ładnych protestantek). Koczor miał wskutek zupełnej niemal ślepoty wyostrzony słuch i mawiał potem, kiedy już współpracowaliśmy kilka lat: „jak pan do koleżanki X mówi, to jak gdyby miód panu z ust płynął". Sam był znanym wśród bibliofilów tzw. „kobieciarzem", zwłaszcza w paryskich czasach. Być może. Zamiast tych uwag wytłumaczyć trzeba, dlaczego Koczor nadal pracował mimo swego kalectwa. Otóż był on człowiekiem niezastąpionym w dziale nabytków z powodu swojej – nie waham się tak to określić – gigantycznej wręcz znajomości nie tylko polskiej książki, nieomal od zarania jej dziejów, czyli inkunabułów, ale także grafiki książkowej, historycznej przemiany jej technik i to nie tylko w Polsce, lecz w całej Europie. Gdy do tego dodać równie niezwykłą pamięć historyczną, literacką i inne, zawsze związane z książką stosunki zarówno z czasów przedwojennych w kraju jak i we Francji, znajomość biegłą nie tylko francuskiego i angielskiego lecz niemieckiego, łaciny i greki – no to właściwie te cechy mego pryncypała wystarczą by uzmysłowić czemu był nadal niezbędny w BN i czemu po miesiącu z nim współpracy właściwie chciałem go opuścić czując się koszmarnym durniem, który pełni raczej funkcję charytatywną, a nie pomocniczo-naukową. Tym bardziej wskazane było moje odejście, że Koczor bez ustanku mnie merytorycznie nadzorował i złościła go moja niewiedza, nawet

literacka. A cóż mogłem wiedzieć po trzech latach komunistycznego, awangardowego literaturoznawstwa poza tym, co sam zdobyłem, wiedziony łaknieniem prawdziwej wiedzy i piękna?

Ale nie opuściłem Koczora. Pomyślałem bowiem, że to jest właściwie dla mnie jedyna szansa jakiejś kontynuacji zdobywania chociażby humanistycznego „obycia literackiego". Bo praca moja polegała na tym, że po godzinie 8-ej Koczor przyprowadzony z pobliskiej ulicy Madalińskiego, gdzie mieszkał, przez koleżanki z pracy, też zajmujące tam mieszkania, siadał, pytał jak spałem i czy już zupełnie się przebudziłem (to był jego typ żartów), po czym kładziono przed nami stos aktualnych periodyków bibliograficznych, głównie francuskich i angielskich czy niemieckich, które ja mu musiałem czytać pozycja po pozycji z działów interesujących BN. Przede wszystkim wyławialiśmy *polonica*, bo ich posiadanie było i jest obowiązkiem BN, a przy okazji czytałem i inne pozycje. Angielski jak tako znałem, niemiecki potrafiłem czytać biegle, ale problem był z francuskim. Jednak Koczor z cierpliwością, która mnie zdumiała, nauczył mnie czytać i po francusku, i po hiszpańsku. Tydzień po tygodniu poznawałem więc w czasach kompletnego zniewolenia umysłu w Polsce, pełnię ruchu wydawniczego w całej Europie. Żeby było dziwaczniej, w tych srogich czasach *polonica Kultury* paryskiej, czy jakiekolwiek inne, wyłowione przez Koczora, były zamawiane i BN mogła je przechowywać, oczywiście nikomu nie udostępniając. Czytałem po angielsku i niemiecku także bibliografie bieżące i katalogi firm wydawniczych z Zachodu, wraz z adnotacjami. Nawet rozumiejąc piąte przez dziesiąte teksty (czasem Koczora prosiłem by mi coś przetłumaczył – co robił chętnie), uczestniczyłem jak gdyby w jakimś osobliwym seminarium, kontynuując zabronione mi, uczelniane wykształcenie.

Ale codziennie też (praca obowiązywała w Polsce i w soboty) ok. godz. 11 ze swojej okropnie starej, skórzanej teczuszki, Koczor wyjmował buteleczkę, ćwiartkę po wódce, w której miał zaparzoną bardzo mocną i wonną kawę. Wszyscy jedli wtedy drugie śniadanie i pili herbatę zaś Dziadek, zawsze mówiąc – muszę sobie golnąć – łykał prosto z flaszki boski nektar kawowy.

Następnie opuszczaliśmy bibliotekę, udając się spacerem wzdłuż ul. Rakowieckiej, skąd (już nie pamiętam czy tramwajem jeszcze, czy autobusem) z ul. Puławskiej jechaliśmy do rogu Ordynackiej i Nowego Światu, a stamtąd znów spacerkiem szliśmy do Biblioteki Krasińskich na ul. Okólnik. Bibliotekę Krasińskich Niemcy spalili wraz z bezcennymi zbiorami, także rękopisów, m.in. Chopina. W roku 1952 gmach był już zadaszony i wysuszony. Służył jako olbrzymi magazyn książek, nie zewidencjonowanych jeszcze przez BN, przechwyconych z transportów, które te książki wywoziły w kierunku zachodnim, wraz z cofaniem się frontu niemieckiego, a także z przywiezionych tu jakimiś tajemniczymi szlakami części zbiorów czasopiśmiennych Uniwersytetu Wileńskiego. Tu też zwożono ocalałe tzw. „biblioteki podworskie" czyli cenne zbiory prywatne z majątków (i pałaców), z których wypędzono właścicieli, a ziemię rozparcelowano. Koczor, gdy jeszcze lepiej widział, sam wędrował po kraju ratując różne księgozbiory i opowiadał mi jak w jakiejś wsi kieleckiej odkrył „chodnik" zrobiony z oprawnych w skórzano-drewniane oprawy wielkich inkunabułów, czyli bezcennych druków – także krakowskich, czy w ogóle polskich z XV i XVI wieku.

Naszą rolą (i tylko nas dwóch, bo personelu do tego brakowało, a miejsca w magazynach na Rakowieckiej nie było, bo przecież BN nie miała własnej siedziby), była segregacja zwałów owych druków i książek wypełniających głównie piwnice Biblioteki Krasińskich, ale także i tych ułożonych na dole, na betonie, także na zachowanych po pożarze, paradnych schodach. Na piętrze było – pamiętam – sporo prymitywnie skleconych półek, gdzie znajdowałem głównie czasopisma i druki ulotne jakoś „repatriowane" z Wilna, czy też kresowych latyfundiów polskich, lecz tylko z północy. Z Królewcem włącznie. To była tajemnica. Królewiecki, niemiecki zbiór Kantowski (wszystko o Emanuelu Kancie i jego dzieła), też wyłonił się kiedyś nagle pod moimi rękami. Koczor nie posiadał się z radości. Gwizdnęli Ruskim! – zawołał. Koczor lubił – co niby nie licowało z jego wiekiem i urzędem – tak się wyrażać „po warszawsku". Widocznie coś wiedział o transporcie ze zrabowanymi w Königsbergu książkami, które w Olsztyńskiem Polacy przewekslowali na

inne tory kolejowe prowadzące do Warszawy.

Codziennie więc po przyjściu na Okólnik zabieraliśmy się do segregowania tzw. „zbiorów zabezpieczonych". Wśród nich nagle znalazłem dużą pryzmę, liczącą kilkaset egzemplarzy pierwszego Czytelnikowskiego wydania „Ocalenia" Czesława Miłosza. Nie wiedziałem nic o Miłoszu, poza tym, że to jakiś współczesny poeta. Po jego ucieczce w 1951 roku wszystkie wycofane z bibliotek szkolnych i pewnie powszechnych książki trafiły na Okólnik.

Pamiętam, że znalazłszy to zagadkowe skupisko nowych książek, zacząłem czytać na głos ostatni z wierszy tomu. Kustosz siedział nieopodal, zrobił sobie znowu przerwę by pociągnąć z „ćwiartki":

Co czynisz na gruzach katedry
Świętego Jana, poeto,
W ten ciepły, wiosenny dzień.
Co myślisz tutaj, gdzie wiatr
Od Wisły wiejąc rozwiewa
Czerwony pył rumowiska?...
Czytałem na gruzach Biblioteki Krasińskich.

– To Miłosz – odezwał się staruszek zwracając twarz w kierunku mojego głosu. Bo on sam przecież nic nie widział. – Kto to jest Miłosz? – spytałem. – Panie Marku, jest to jedyna książka jaką może pan bez wyrzutów sumienia wziąć sobie na własność z Biblioteki Narodowej. To nie będzie kradzież. A tę resztę – dodał – niech pan poszuka gdzieś jakiegoś zakamarka, upcha to wszystko i zasłoni, najlepiej zwałami starych czasopism z XIX wieku.

Ten egzemplarz „Ocalenia" opatrzony jest dziś odręczną dedykacją autora mieszkającego latem w Krakowie: „Drogiemu panu Markowi. Czesław Miłosz w Krakowie 16 X 92."

Habent sua fata libelli. Ludzie też.

W podziemiach „Okólnika" odkryliśmy jeszcze i komplet „Żagarów", i wspaniały, bibliofilski depozyt z 1939 roku pozostawiony na przechowanie w BN Michała Sokolnickiego. W nim, czy w podobnym depozycie, odkryłem kartkę rękopisu jednego z dramatów Słowackiego i kartkę rękopisu partytury Szopena. Znajdowały się tam zasypane kurzem w

piwnicach. Skąd? Dlaczego? Te znaleziska natychmiast wędrowały na Rakowiecką – poza „Żagarami", lub Miłoszem. Pamiętam też odkrycie w jednej z piwnic kilkuset egzemplarzy liczącego zbioru broszur rewolucyjnych, socjalistycznych, polskich, z okresu ok. 1905 roku. Zdumiewające było i to, że w starych różnych „Kalendarzach" o niebywałej wartości z kolorowymi miedziorytami i stalorytami np. ukazującymi fragmenty bitew napoleońskich Kustosz mówił nagle – niech pan sprawdzi jaka jest ilustracja miesiąca stycznia? – Ja mu ją opisywałem. A on na to – to było drugie wydanie, pierwsze było w mniejszym nakładzie i cenniejsze, i styczeń miał rycinę z polowaniem na wilki...

Chociaż więc patrzono na mnie trochę jak na dziwaka, ja już nie rozstawałem się z moim Dziadkiem. Ta praca stała się nową, przedziwną przygodą życiową. Tym bardziej, że po tym co Koczorowi opowiedziałem o Miłoszu i czego w międzyczasie dowiedziałem się od Kubiaka, który wciąż mnie teraz zapraszał w odwiedziny na ul. Żołkiewskiego na Pradze, gdzie mieszkał ze swoją matką (to Zygmunt mi pożyczył *Twórczość* z pierwodrukiem „Traktatu moralnego"), pewnego dnia Kustosz spytał mnie, czy poza pracą skłonny byłbym ze dwa razy w tygodniu przychodzić do niego by mu poczytać specjalne lektury książek i czasopism polskich, które są – co tu mówić – trefne. – Jeśli się pan nie boi? Bo ja już panu teraz zupełnie ufam i dlatego proponuję...

Zgodziłem się. To nie do wiary, ale Kustosz otrzymywał wtedy regularnie jakąś tajemniczą drogą wszystkie zeszyty miesięcznika, oraz wszystkie wydawnictwa paryskiej *Kultury*. I ja byłem jedynym jego lektorem. Na gwiazdkę roku niewiadomego, bo Kustosz co prawda pisał (kilka procent widzialności w rogu jednego oka) ale były to kulfony przypominające mieszankę notatek łacińskich na marginesach siedemnastowiecznych, czy wcześniejszych książek i pisma arabskiego, otrzymałem na Boże Narodzenie fotografię tak kochanego człowieka, bez którego chyba bym został na zawsze mętniakiem, pseudopolonistą – na całe życie. Kustosz pisał „Kochanemu Panu Koledze, Markowi Skwarnickiemu, anielskocierpliwemu współpracownikowi i współcierpiętnikowi, na pamiątkę trzyletniej już współpracy i z zachętą do dalszej SPKoczorowski". Ten podpis od połowy to już jest jakiś

zawijas. Zdjęcie to ukazało się po śmierci Dziadka jako ilustracja do mojej pośmiertnej noty w *Tygodniku Powszechnym* pt. „Śmierć bibliofila".

Praca w bibliotece toczyła się jeszcze kilka miesięcy dalej po staremu. Zupełnie nie wiedząc, co mnie w bliskiej przyszłości czeka, byłem ok. 4 dni służbowo z Koczorem w Krakowie jako gość Biblioteki Jagiellońskiej. Jej dyrektorem był Jan Baumgart. Chytrze uśmiechnięty Kustosz co dzień prowadzał mnie do dawnej siedziby Kossaków (do dziś stojącej Kossakówki), albo do domu wdowy po Mehofferze na ul. Krupniczą, gdzie chciał podkupić Jagiellonkę i zdobyć w obu wypadkach korespondencję po słynnych malarzach dla BN. Kraków był nadal zagłębiem bibliofilskim, którego nie naruszyła wojna. Tak więc poza (bo to ja byłem rękoma i oczyma Kustosza) przeglądaniem archiwaliów domowych Kossaków i Mehofferów, byliśmy goszczeni np. przez państwa Krzyżanowskich, właścicieli antykwariatu i wspaniałych zbiorów bibliofilskich. Goszczono nas także na Smoleńsku w secesyjnym gmachu szkoły „Rzemiosła Artystycznego". Tam Pan Witkiewicz wtajemniczał mnie w niemal masońskie struktury towarzystw bibliofilskich, „Loży Białego Kruka" (z myszką i bez myszki) i zacząłem podejrzewać, że Koczor być może był jej dawnym Wielkim Mistrzem.

Inny wyjazd o podobnym charakterze odbyliśmy do Wojewódzkiej Biblioteki Kieleckiej. Tam nie wiadomo było co zrobić z ukrytymi i nie opracowanymi bibliograficznie zbiorami ze wspaniałych bibliotek okolicznych dworów. Mieszkaliśmy – pamiętam – w hotelu na ulicy Sienkiewicza i nad ranem obudziło nas UB waląc w drzwi. Po ich otwarciu wylegitymowano nas i tyle... Nie wiadomo o co chodziło. Nie zapomnę jednak widoku małej i takiej jakiejś „krasnoludkowatej" postaci mego kochanego pryncypała, który stał przy łóżku w nocnej koszuli za kolana przed uzbrojonymi w automaty facetami. Już wtedy nocnych koszul się nie używało, więc wyglądał – jak to wszystko – groteskowo.

Nie było jednak groteskowe aresztowanie Ks. Kardynała Prymasa Wyszyńskiego na jesieni oraz zamknięcie *Tygodnika Powszechnego* i „Znaku" w Krakowie na wiosnę 1953 r. To znaczy *TP* przejął „Pax", a nieszczęsny redaktor Dobraczyński

zajął miejsce Turowicza. Nieszczęsny Dobraczyński – bo po co mu to było? O zmianie redakcji szeptem powiadomiła mnie kioskarka na Raszyńskiej. – Panie – syknęła gdy spytałem czy już ma *Tygodnik* (chowała go dla mnie) – to już nie jest nasz *Tygodnik*. Nie ma co czytać. A jeśli chodzi o aresztowanie Prymasa jesienią to tak się zdarzyło, że byłem na jego ostatnim kazaniu u Św. Anny przed tą nocą gdy go wywieźli. Mówił o godności osoby ludzkiej jako podmiotu życia społecznego a nie przedmiotu, z którym robi co chce dyktator albo autokrata. Mówił też o wartości pracy ludzkiej jako czymś specjalnie cennym dla życia osoby, a nie tylko jako „wartości dodatkowej", którą zabiera kapitalista, lub państwo. On się tak nie wyrażał i część tych myśli czerpię z późniejszych przemyśleń, czy też książki Prymasa „Sens pracy ludzkiej", którą recenzowałem na łamach *Tygodnika Powszechnego* w 1957 roku, co wywołało okropną wrzawę we wszelkich partyjnych pismach kraju. Dziś, w dziewiętnastym prawie roku pontyfikatu Jana Pawła II, gdy piszę te słowa, za mało zwraca się chyba uwagi na łączność (a może i wpływ) Wyszyńskiego na Wojtyłę właśnie w kwestiach społecznych.

A był to późny, ciepły wieczór. Miałem iść z kimś na randkę po tych rekolekcjach. Czy nie z Wiesią S., pracowniczką naszego Działu Uzupełnień Zbiorów, niezwykle romantyczną dziewczyną, która na zebraniach w BN recytowała z przejęciem to, co mówi Tatiana do Oniegina, patrząc wciąż na mnie. Ale mnie tego dnia bardziej pociągał Prymas bo szeptano, że jest w niebezpieczeństwie. Następnego dnia rano ta moja babka z budki „Ruchu" (państwowy koncern, monopolista dystrybucji całej prasy polskiej do 1989 r.) szepnęła do mnie przez uchyloną szybkę, – panie, w nocy aresztowano Prymasa.

A ja wtedy byłem pogrążony w swoistym buncie antykościelnym, czego sprawcą byli księża w kościele Św. Jakuba, do którego starałem się chadzać co niedzielę na msze. O tej właśnie porze roku miałem dziurawe buty, a nowych kupić nie mogłem i jesionkę miałem wiatrem podszytą. Tymczasem księża u Św. Jakuba uwzięli się wtedy by tłumaczyć na kazaniach ludziom zgubne skutki zbytniego pożądania dóbr doczesnych, pieniędzy i kariery. I wtedy

wymyśliłem sposób na to, by nie grzeszyć, klnąc w duchu na kazania, albo je w kółko krytykować (to takie nudne, inteligenckie zajęcie), lecz jakoś wypełnić tę część mszy św. zgodnie z jej przeznaczeniem. Wyjmowałem z kieszeni książeczkę z „Nowym Testamentem" i czytałem nie na wyrywki, lecz co niedzielę w czasie homilii po kolei: naprzód cztery Ewangelie, potem Dzieje Apostolskie, Listy i wreszcie Apokalipsę. Właśnie gdy ją kończyłem aresztowano Prymasa, już nie można było od dawna czytać *Tygodnika*. To chyba wtedy Kustosz mi podsunął jakieś fragmenty z Simone Weil.

Kubiaka odwiedzałem często i zajadle dyskutowaliśmy o polskiej sytuacji i o losie ludzkim. Ten człowiek tak jak i dziś zawsze roztaczał przedziwny urok swej osobowości, umysłowości, wiedzy i inteligencji. Starszy ode mnie o rok studiował jeszcze filologię starożytną według „dawnego systemu". Wcześnie stał się znany, bo pracował już przedtem w *Dziś i Jutro*, zanim „Pax" stał się wyraźną agenturą rządową służącą do poszerzenia rozłamu w Kościele polskim. Zresztą faszyzujące koncepcje Piaseckiego, narodowo-marksistowskie, wydawały mi się jakąś bzdurą (bo też nią były). Zygmunt rzecz jasna był po stronie „Traktatu moralnego" Miłosza, czytanego w kółko Homera i greckich poetów, których recytował z pamięci jak z nut, był wtedy wielbicielem Rimbauda, zatem i ja czytałem z przejęciem „Statek pijany", wreszcie cytował często Św. Augustyna, zwłaszcza „Wyznania". Proboszczem praskim na Kamionkach był ks. Eugeniusz Dąbrowski, niezwykle barwny ksiądz, tłumacz „Nowego Testamentu". Chwalił się tym, że w rozmowie (nie wiem kiedy to było – jeszcze przed 1950 rokiem chyba) rozmawiał z Piusem XII i powiedział mu, że wyda w języku polskim milion egzemplarzy Ewangelii i to w Polsce. Papież ironicznie odniósł się do jego marzeń. Tymczasem ks. Dąbrowski u kresu swego życia doczekał się milionowego egzemplarza swych tłumaczeń – w „Pax"-ie. Tak, współpracował z nim, a jednocześnie utrzymywał i podtrzymywał finansowo Zygmunta, dawszy mu m.in. do przekładu „Wyznania" Św. Augustyna. To ten przekład dziś, po dziesięcioleciach, nadal święci nie tylko literackie triumfy. Poza tym „Pan na Kamionkach" urządzał wspaniałe uczty dla takich drapichrustów intelektualnych jak my. I podtrzymywał wielu ludzi na

duchu. Potem nieraz spotykałem się z nim (wraz z innymi) w Krakowie, przy zastawionym suto stole.

W tym też okresie Zygmunt zawiózł mnie do Lasek pod Warszawą i zapoznał a panem Marylskim. Laski wraz ze swoim Zakładem dla Niewidomych, Matką Czacką i Panem Marylskim, już przed II wojną światową odgrywały – jak wiadomo – dużą rolę w formowaniu się światłego katolicyzmu, a może inaczej, światłych chrześcijan? „Odrodzenie" – cały ten ruch, pismo *Verbum*, rola w tym wszystkim ks. Stefana Wyszyńskiego, otwartość wobec wątpiących, szukających i zagubionych, których było i będzie zawsze wśród intelektualistów pełno, (zwłaszcza tych o liberalnym rodowodzie i tęsknocie za wiecznie w życiu nie zaspokojoną wolnością, pasją prawdy, piękna, ale i własnego znaczenia). Były też uroki ośrodka, do którego zawiózł mnie dobrze już tam znany Zygmunt. Wiele lat potem, gdy znalazłem się na jakimś wewnętrznym zakręcie, przyjęto mnie w Laskach na samotny tydzień rozmyślań. Pan Marylski żył jeszcze. Przyjechałem z Krakowa i nic nie robiłem innego tylko chodziłem na msze święte, spacerowałem po lesie i czytałem od deski do deski „Księgę Psalmów" w przekładzie Leopolda Staffa, skądinąd ulubionego poety wcześniejszej młodości. Jak lektura Ewangelii u św. Jakuba z przemarzniętymi, zimnymi nogami, tak Pan Bóg, Jahwe „Psalmów" pozwolił mi opuścić z kolei Laski spokojnie i wrócić do Krakowa do licznej, już wtedy własnej, rodziny. No i Kubiakowy Szekspir! Zagadkowa pasja rozplątywania przez Zygmunta psychiki Hamleta. Zanim to się Janowi Kottowi śniło i podbił on marksizującą Amerykę „Hamletem" upolitycznionym, już Zygmunt na Grochowie w pięćdziesiątych latach uświadamiał im jak czuły jest na dialektykę ludzkiej żądzy władzy Szekspir.

Marek SKWARNICKI

Wiersze

Adam Tadeusz BĄKOWSKI

ARRYTHMISTÓŁ

Stół tupie
wszystkimi czterema nogami.
Widać, że narowisty.
Statki dosiadają go statecznie.
Ale jak wierzgnie,
to będą spodki latające
po całym mieszkaniu.
Faluje grzywą obrusa.
„Gdyby zakopać mnie w ziemi –
myśli stół –
i gdybym wtedy wypuścił pędy,
byłyby to pędy drzewa,
nie pędy stołu.
Arrythmiston, arrythimston –
powtarza stół to słowo z zachwytem –
dzięki ci, Antyfoncie."
Pęcznieją w nim słoje jak żyły.
„Nie było ich, był las,
nie będzie ich, będzie las."
Wzdycha stół. Ech, czasy
kiedy mu było bezbo-
leśnie – gdzieżeście, czasy?
Kochamy nasz stół.
Siedzimy przy nim z poczuciem winy.

Adam Tadeusz BĄKOWSKI

Tadeusz CHABROWSKI

EREMITA

Mógłbym do dziś być eremitą,
w półkolu z gromnic krzyczeć że koniec
jest bliski, językiem rozżarzonym jak żelazo
chłostać grzeszników,
przypominać o mądrościach
zasłyszanych u manichejczyków,
wypłaszać z lasu wieprze opętane
przez diabły;
śmiałość, która towarzyszyła
moim pierwszym uczynkom
trwożyła sutanny, umiałem
przez wiele godzin roztrząsać ich błędy,
blady oddech Boga mroził im twarze.

Szybko jednak znudziłem się
darem rozniecania grozy,
podpalaniem cudzych koszul,
spisywaniem na cielęcej skórze nowych
przepowiedni;
Bóg jak koliber zagnieździł się
w moich płucach, sylabami z psalmów
próbuję rozśpiewać chore powietrze.

Tadeusz CHABROWSKI

Ryszard CZĘSTOCHOWSKI

NIGDY NAS NIE BYŁO

nie zauważyliście nawet że kiedyś tu byłem
jakby nigdy mnie nie było i tak samo z każdym
po odejściu tyle niby wielkich starań spełza

zawsze na niczym bo w istocie wiadomo nie ma
nic do zrobienia im więcej czegoś dokonasz
tym rozpaczliwsze twoje poczynania czas
skwituje wiatrem całą bogatą biografię
wywiewając za okno wprost w ognisko
zostawiając popiół

Ryszard CZĘSTOCHOWSKI

Stanisław DŁUSKI

PSALM DLA FRANCISZKA WITKO

I

Dlaczego zamykają dziadka Franciszka
w czarnej skrzyni, w tej nocy bez dna,
pytasz, moja córko, pięcioletnia *różo*
duchowna pochylona nad dołem, nad
studnią ziemi, do której wciąż sypią
popiół życia, w której śpią oczy, motyle
pamięci kruchej jak dłonie niesione do
przedszkola; taka widać wola Pana, niech
się święci Jego imię, niech się rodzą dni,
a ty rośnij, ja maleję, już rozmawiam z
uschniętą trawą, choć podlewają mnie
deszcze i poją słowa Księgi. Świat między
nami zamknięty w pudle razem z biedronką:
jej najcichsza śmierć i nasze miłości tak
pomylone, zostawiane na jutro, które nie
nadchodzi; płyniemy więc w łodzi, popękane
dzbany, pokalane cieniem obłoki, *ponad*
*o, ponad cierń**

II

Nowo narodzona dziewczynko, Sabino,
tobie oddaję pieśń, niegodny liścia pod-

* Paul Celan, „Psalm"

nieść z ziemi; dla ciebie te kwiaty bez łez
i zmarszczek, marchew i nać pietruszki
pachnące domowym rosołem, parującym
nad wspólnym stołem; tobie oddaję bociana
z bajki, który z miłości darował życie
żabie, zielonej babie na chudych nóżkach
i ten pejzaż za oknem baraku – ojczyzny,
siwizny Beskidu i czerwień późnej jesieni,
gdy bażanty wołają, *o, ponad cierń*; biegną
ludzie, strzelają sercem do kolorów, a my
tak spragnieni cichej stajenki, osiołka z pastuchem,
chuchamy zimie w nos, chowamy obolałe głowy
jak obole na ostatnią chwilę, chore ręce proszą o
modlitwę, pod poduszką chowamy się przed
życiem, które tańczy, śpiewa, krzyczy zgon,
o, ponad nasz dom

na Wigilię '97

Stanisław DŁUSKI

Tomasz HRYNACZ

REBELIE

Nie masz wyboru, dziś nie nastąpi
przewrót to nie to miasto. Nikt o
nikim nie zapomina. Czas jak zło
konieczne połyka ciało i myśli.

Dotąd nie złamano szyfru i nie
dotarto do miejsca, skąd mógłbym
wszystko oglądać bez pomyłek.
Wieczność jest w pamięci, tylko.
Nigdzie poza. Przylgnęły do chodnika
liść jak blacha nieba wgryza się w narzutę
piachu. Twój ruch. Decyduj: co wolisz?
Milczeć czy zachować grudkę życia?

ZAKOŃCZENIE

Nieprawda, dotąd niczego nie zakończyłem
Stare trwa, znienacka zwłaszcza. Co więc
jeszcze ukrywa ten cień w studni, w której
błądzą uśpione oczy zmarłych? Szaleństwo

świata musi biec. Przecież wiadomo. Wzgardzone
uczucia naruszą twój spokój i wkrótce się
sprawdzi, na ile przydatna jest ci odporność.
Niezawodna jak nagła burza, co sunie na oślep?

Zaledwie uszczerbek słońca pomieszczony
w oku. Przekrada się do wewnątrz, czyni
spustoszenie. W pokoju? Na ścianach? A

może raczej – w sercu? Przyznaj, jaki
wymyśliłaś podkop? Włóczka wiatru owija
plomby okien. Minie dzień, znów coś utracę.

Tomasz HRYNACZ

Janusz SZUBER

PIERWSZY WERS

Długie wieczory, kiedy dla oszczędności
Wyłączano całymi dzielnicami elektryczność
I w domu zapalało się lampę naftową:
Mosiężny pyszczek maszynki i filujący płomyk
Z podkręcanego knota, koronkowa galeryjka,
W której osadzone szkiełko i moje
Wpatrywanie się w jasność, żywą, pulsującą,

Parsknięcia spalanej materii, lekka
Przędza kopciu i historia stłuczonej umbry.
Mlecznozielonej z gufrowaną krezą,
Więc zapach nafty i smak korzennych
Pierników coraz wyraźniejsze *na przekór*
Śmierci z jej czarnym zegarem, ten
Brewiarz odmawiany w pokorze i wstydzie –
Przyjdź zdanie, połyskliwy lub chropawy,
Obojętne, pierwszy wersie, abym mógł
Zacząć teraz, kiedy pora kończyć.

Janusz SZUBER

Kraj

Jak kłopoty to na wojnę

1.

W Sejmie pełna mobilizacja. Wszystkie kluby zarządziły dyscyplinę głosowania. 453 posłów będzie rozstrzygać, ile ma być w Polsce województw. Rząd chce 12, SLD – 17, PSL – utrzymania stanu obecnego (49), a opozycja wewnątrz koalicji – 27. Od kilku tygodni ulice pod Sejmem nawiedzają manifestanci z różnych województw przewidzianych do likwidacji. Prezydent na spotkaniu z przywódcami koalicji i opozycji zadeklarował: – Porozumcie się państwo, ja zaakceptuję każde rozwiązanie pomiędzy 12 a 17... To było przed tygodniem, a teraz, w piątek 5 czerwca odbywają się nieoficjalne rozmowy ostatniej szansy. Tabuny dziennikarzy gnane coraz to nowymi pogłoskami biegną spod jednego gabinetu pod drugi. Wiadomo, że Leszek Miller w imieniu SLD zaproponował kompromis: 16 – tj. rządowe 12, plus Opole, Kielce, Zieloną Górę z Gorzowem, Bydgoszcz z Toruniem, ale bez Koszalina. To była wyjściowa propozycja do rozmów. Koalicja nie podchwyciła tej inicjatywy. Jej poseł, Mirosław Andrzej Styczeń, konserwatywny liberał z AWS, zgłosił był poprawkę do sprawozdania komisji, która od razu w 1 artykule ustawy określała liczbę województw na 12. Ta poprawka miała być więc głosowana w pierwszej kolejności, gdyż inne wnioski mniejszości, precyzujące liczbę województw, odnosiły się do artykułu 2, ustawy, w którym liczbę województw proponował także tekst rządowy, przyjęty przez większość w komisjach. *Post factum* posłowie koalicji określali posła Stycznia jako głuptaka i gorzej, również jego koledzy ze Stronnictwa Konserwatywno-Liberalnego, które-

mu przewodniczy. *Post factum* wszyscy dostrzegli, że jego manewr, wymuszający głosowanie w pierwszej kolejności wniosku, który by i tak przegłosowano, wraz z całą ustawą, po kolejnym odrzuceniu wniosków mniejszości – oznaczał, że koalicja nie chce dopuścić do ujawnienia rozbieżności we własnych szeregach. Tym samym jednak oznaczał też ryzyko otwartej kompromitacji. Przewodniczący SKL nie odznaczył się bystrością, ale kierownictwo koalicji i premier Buzek, którzy nie zmusili Stycznia do wycofania wniosku, objawili indolencję, nieumiejętność liczenia szans i arogancję. Chcieli też nade wszystko uniknąć rokowań z SLD. Najpewniej obawiali się, że gdyby ustawa została przyjęta dzięki porozumieniu z opozycją, to w całej opozycji wewnątrzkoalicyjnej by zawrzało: nie dość, że chodzą na pasku Balcerowicza, to jeszcze biorą sobie Millera do pomocy... Poprawka posła Stycznia padła 242 głosami przy 207 „za" i 4 wstrzymujących się. Przeciw „12" głosowało 38 posłów AWS, wstrzymało się 3; przeciw było też 7 unitów, 1 się wstrzymał. 49 posłów koalicji złamało dyscyplinę.

Potem już całe posiedzenie składało się z przerw zarządzanych na prośbę każdego kolejno klubu. Kluby radziły, a za kulisami toczyły się rozmowy. Teraz rozmawiać chciała koalicja, proponowała 15, ale SLD zhardział: 16 – to ostatnie słowo. Nie dał się przekonać nawet wizją ...wspólnej fotografii przywódców, co szczególnie wzburzyło prof. Osiatyńskiego z UW. Trzeba było głosować dalej. Do Sejmu przyjechał prawnik prezydenta, mecenas Kalisz, i powiadomił każdego, kto chciał słuchać, że prezydent popiera teraz, wobec braku porozumienia w Sejmie, tylko „17", a mniej – zawetuje. „Tak go zrozumiałem " – dodał Kalisz, zwany już Falandyszem Kwaśniewskiego. SLD, kiedy w głosowaniu padło „16", wycofał wszystkie dalsze wnioski. Został tylko tekst pierwotny: „12". Na kolejnej przerwie szefowie klubów koalicyjnych powiadomili posłów, że gdy tylko ustawa z „12" zostanie uchwalona, zwrócą się do klubów senackich o poprawienie 12 na 15. Kiedy obietnica ta została potwierdzona na plenum, Sejm przyjął ustawę, przy okazji reformując więc arytmetykę: sejmowe 12 równa się 15. Komisje senackie z wielkimi oporami zgodziły się zarekomendować tę zmianę plenum Senatu, 18 czerwca. Opór napotkało zwłaszcza utrzymanie województwa opolskiego, prezydent Kwaśniewski wyruszył w podróż po stolicach likwidowanych województw, również tych, które Senat miałby przywrócić.

W kancelarii prezydenta przygotowuje się już podobno jego własną inicjatywę ustawodawczą potrzebną dla odblokowania reformy administracyjnej po zawetowaniu obecnie debatowanego tekstu. Nikt wprawdzie nie sądzi, by to *veto* udało się obalić, ale stratedzy koalicji pocieszają dziennikarzy, że prezydent blefuje, a naprawdę nie będzie mógł wetować dla dwóch zaledwie województw różnicy. Wszelako *veto* dotyczyłoby w istocie generalnego układu stosunków pomiędzy koalicją i opozycją oraz roli prezydenta. Widać już, że koncepcje obu stron różnią się radykalnie. Kwaśniewski chce dla siebie roli rozjemcy prezydującego współpracy sił sejmowych w dziele reform, a koalicja traktuje opozycję jako wrogą konkurencję, prezydenta zaś jako symboliczną figurę odstawianą do kąta, żeby nie przeszkadzała. Dąży się do ograniczenia jego kompetencji, choć w nowej konstytucji zostały już zredukowane. Inicjatywy ustawodawcze Kwaśniewskiego są lekceważone, jak np. jego propozycje lustracyjne i to na rzecz projektu kreującego polski Urząd Gaucka, co prezydent musi odrzucić. Art. 134 Konstytucji o sprawowaniu zwierzchnictwa nad siłami zbrojnymi min. Onyszkiewicz proponuje sprowadzić do czysto symbolicznego zapisu... itd. Przez współpracę z prezydentem gabinet Buzka rozumie najwyraźniej tyle tylko, że prezydent nie wetuje rządowych ustaw. Wszelkie ustępstwa z własnej strony traktowane są incydentalnie, od jednej zażegnanej groźby *veta* do następnej, i potem zapominane. Tak się stało już przy poprzedniej kontrowersji, o odroczenie wyborów samorządowych. Innymi słowy, i to jest niewątpliwie przemyślana strategia, o której autorstwo podejrzewany jest min. Walendziak, patron pampersów, podtrzymuje się stan permanentnego skłócenia z prezydentem, zapewne aby móc go przedstawiać jako źródło konfliktów i blokadę reform. Jak dotąd, w opinii publicznej strategia ta nie skutkuje, Kwaśniewski zachowuje i nawet umacnia swe doskonałe notowania. No, ale kadencja prezydencka minęła dopiero półmetek.

Każda strategia może być dobra, jeśli ma się odpowiednie do niej siły. Koalicja sił tych nie ma i nawet ma ich coraz mniej.

2.

Z klubu AWS usunięci zostali posłowie – Adam Słomka (KPN) i Jan Łopuszański (Radio Maryja), za nimi wychodzą inni i ten ruch kadrowy jeszcze się nie skończył. Oblicza się, że poza klubem znajdzie się ostatecznie 15-25 posłów AWS. Unia Wolności chce uniknąć tak ostrych represji i może się jej to udać, ponieważ poza Jackiem Kuroniem nie ma w klubie UW nikogo, kto kwestionowałby to, na czym Unii naprawdę zależy: program Balcerowicza.

Wnioskom o ekspulsję niesfornej dwójki z AWS przeciwstawiło się prawie 70 posłów, ponad jedna trzecia klubu. Marian Krzaklewski też bardzo się opierał. Przywódca AWS boi się dokładnie tego samego, na co liczy opozycja: rozłamu. I to takiego rozłamu, który może doprowadzić do wykreowania po prawej stronie politycznego spektrum liczącej się siły, wolnej od zahamowań koalicyjnych, idącej na całość... Powstanie takiej siły postawiłoby pod znakiem zapytania możliwość kontynuowania przez AWS obecnej polityki sojuszu z UW i ulegania ministrowi finansów. Wtedy jednak liberalno-konserwatywna frakcja AWS poszłaby za unitami i Unia Wolności okazałaby się jedynym trzymającym się na nogach partnerem dotychczasowej koalicji. Ale już bez rządu, lub w mniejszościowym rządzie na łasce opozycji. Nie mówiąc już o tym, że AWS jest głównym Krzaklewskiego tytułem do chwały i szansą na prezydenturę.

Niektórzy dziennikarze wyspecjalizowani w doradzaniu politykom zajęli się już przyszłością przywódcy AWS. Wszyscy radzą mu, żeby przestał się wlec za wydarzeniami. Maciej Łętowski proponuje mu odsunięcie Buzka i zajęcie miejsca u steru: nie czas trzymać się z tyłu. Janusz A. Majcherek radzi Krzaklewskiemu, żeby pozbył się skrajnej prawicy – „politycznych radykałów, ekstremistów, fanatyków, obsesjonatów, fundamentalistów, awanturników" – nawet mimo własnych fundamentalistycznych skłonności i zauroczenia ojcem Rydzykiem. Majcherek wnioskuje na koniec, że jeśli rząd Buzka odniesie sukces, „czyli zdoła zrealizować zaplanowany przez siebie program reform, to niekoniecznie poprawi to perspektywy politycznej kariery Mariana Krzaklewskiego, który nie tylko w skład tego rządu nie wchodzi, ale niekiedy się

wyraźnie w stosunku do niego dystansuje, nie będzie więc mógł bezpośrednio dyskontować jego osiągnięć. Jeżeli jednak koalicja się rozpadnie albo rząd zazna spektakularnej porażki, do czego przyczynić się mogą, a nawet chcą, niektórzy byli i aktualni członkowie AWS, to kariera Krzaklewskiego się załamie..." Doradcy wychodzą widocznie z założenia, że Marian Krzaklewski ma jeszcze wolną rękę i że w szczególności zaplecze związkowe bezwzględnie go popiera. To jednak już nie jest prawdą i w miarę jak rządowi będą się „udawały" kolejne reformy, może się stawać coraz od prawdy dalsze. Program modernizacji Polski, aby przyjąć to najkrótsze, miłe rządowi określenie, budzi coraz więcej wątpliwości Polaków.

Prof. Tadeusz Kowalik w bardzo godnym polecenia artykule pt. „Spór o polski ład ekonomiczny (we wznowionym *Przeglądzie Społecznym* nr 1-2, maj–czerwiec 1998) stawia, jako zasadniczą, tezę, że „wprawdzie Polska straciła w roku 1989 niepowtarzalną co do skali szansę samodzielnego kształtowania ustroju społeczno-ekonomicznego, nadal jednak stoi przed takim wyborem, choć ma obecnie znacznie węższy margines swobody niż przed prawie dziesięcioma laty". „Wybór" jest tu oczywiście metaforą, nie chodzi o wybór systemu zaprojektowanego w gabinecie, ale o „idee kierunkowe" w rozumieniu Stefana Czarnowskiego, idee „które nadawałyby właśnie kierunkowy tylko sens działaniom głównych sił politycznych i społecznych, w tym także rządowych" w zakresie zmian instytucjonalnych i organizacyjnych i, w pewnej mierze, w polityce gospodarczej. Siły społeczne, które, zdaniem Kowalika, zadecydują o zmianach systemowych, są słabo jeszcze ukształtowane i słabo... wykształcone. Nie znamy więc konkretnych zarysów systemu, do którego zmierzamy („kapitalizm" jest to mega system, o wielu wariantach) i nic w tym zaskakującego, wszystkie przekształcenia systemowe były najpierw, jak *New Deal* czy szwedzkie państwo dobrobytu, pragmatyczną reakcją na sytuacje kryzysowe. Teorie pojawiły się poźniej.

Zdaniem Kowalika, również nasz akces do Unii Europejskiej, jak w ogóle włączenie się w światowy rynek, nie przesądzają o konkretnych wyborach idei kierunkowych dla Polski. Wbrew naiwnej publicystyce, w Unii Europejskiej wcale się jeszcze nie dokonał wybór modelu neoamerykańskiego

(Michel Albert, „Kapitalizm kontra kapitalizm") na niekorzyść wariantów europejskich, niemieckiego czy francuskiego. Podobnie zdecydowanie przeceniany jest wpływ globalizacji rynku pieniężnokapitałowego na całość gospodarki. Krótko mówiąc, Tadeusz Kowalik polemizuje z myśleniem, które współkształtują w Polsce politycy, profesorowie ekonomii i dziennikarze, i które zakłada, że kierunek reform jest dany, nieuchronnie wyznaczany, a do dyskusji są tylko szczegóły techniczne i kalendarze implementacji.

3.

Opisane na wstępie awantury o liczbę województw, szeroko rozgłaszane przez media, przy zupełnym prawie milczeniu na temat powiatów, ilustrują jak beznadziejnie prymitywne są u nas tzw. dyskusje publiczne. Wprowadzenie powiatów jest właściwym jądrem reformy. Nie było o tym dyskusji, ponieważ szeroka opinia nie orientuje się właściwie, ani co władze tych powiatów będą robić, ani za ile. Min. Kulesza i zwolennicy jego pomysłu zapewniali tylko, że wszystko „obliczyli", że to prawie nic nie będzie kosztować (80 mln zł, mówił Kulesza, ale teraz już przedstawiciele władz „dolicytowali" się do 1 miliarda... „na wejście"). Nigdzie nie można się było dowiedzieć, ilu w powiatach będzie urzędników, radnych i ekspertów, a także ilu, jeśli w ogóle, zredukuje się ich w stolicy i województwach. Poza PSL i pozbawioną głosu Unią Pracy, nikt się z klasy politycznej o to nie dopytywał, ponieważ wszystkie partie liczą na zdobycie w nowych powiatach nowej bazy politycznej, nowych posad i nowych klientów. Zwykły obywatel miewa czasem interesy w gminie. O tym, czym lepszy lub gorszy jest szpital „samorządowy" pod zarządem powiatu, dopiero się przekona po reformie służby zdrowia. To samo ze szkołą średnią. O województwa natomiast wybuchła awantura, ponieważ tutaj szło o degradację, przynajmniej nominalną, wielu ośrodków i ubytek stanowisk. Nadto województwa przedstawiane jako regiony i wyposażone w misję „horyzontalnej współpracy europejskiej" wzbudziły nieufność prawicy, zwłaszcza ZChN, który wierzy w państwo mocne, scentralizowane, nie zaś jakąś „landyzację".

Projektodawcy reformy administracyjnej twierdzą najchętniej, że rozszerzając zakresy gestii samorządowej, zwiększy ona zarazem aktywność służb publicznych (zdrowie, oświata). W istocie jednak, jeśli np. potężne państwo od 20 lat, poprzez różne ustroje, usprawnia i nie może usprawnić służby zdrowia, to wydaje się wątpliwe, by przez gęstwinę *vested interests* zdołali się przebić kasa chorych i jej klient, szpital powiatowy. Jest raczej prawdopodobne, że mając możność ograniczenia świadczeń do ustawowo zagwarantowanego minimum, a nie mając pieniędzy – pozostaną przy tym minimum. Innymi słowy, państwo powinno najpierw usprawnić służbę zdrowia, a potem ją rozparcelować, nie zaś odwrotnie (czyli reformę administracji można było robić na końcu, nie na początku).

Podobnie jest, *mutatis mutandis*, z reformą oświaty.

Prostym wyjaśnieniem, dlaczego tak się dzieje, dlaczego rządowi tak spieszno do przekazania w teren zobowiązań socjalnych – są finanse. Pierwszy projekt budżetu na rok 1999 zakłada redukcję wydatków o 1% w wyrażeniu realnym, przy ponad 6% prognozowanym wzroście produktu krajowego brutto. Ale i ten 1% myli, bo w budżecie szacuje się, że ok. 10% wydatków przeznaczy się na realizację inicjowanych teraz reform. Znaczna część tych nakładów – np. dopłaty na uruchomienie kas chorych – będzie odjęta z pozycji budżetu socjalnego. W rezultacie, mimo że rząd chce reformować i administrację, i system ubezpieczeń, i służbę zdrowia, i oświatę – to pieniędzy na te wszystkie działy będzie mniej. Samorządność miałaby zapełnić dziurę swą zapobiegliwością. Ale tymczasem wyrównywać braki będzie podopieczny służb socjalnych, kupując za własne pieniądze dodatkowe usługi zdrowotne, dodatkowe świadczenia oświatowe i dodatkowe zabezpieczenia emerytalne. Szczególnie za te ostatnie przeciętny Polak zapłaci bardzo dużo, choć nie od razu się zorientuje, co się dzieje: dopiero w 2015, kiedy wypłacone będą pierwsze emerytury z nowego systemu, okaże się, że bez III filaru (dodatkowe ubezpieczenia prywatne) emerytury pozostały daleko w tyle za płacami, a przeciętny polski staruszek nie bardzo ma co włożyć na ząb, choć może to i dobrze, bo na zęby również go nie będzie stać. To się nazywa zachęta do oszczędzania w III filarze...

Rząd zamierza również przyspieszyć deregulację resztek

kontroli cen, zwłaszcza czynszów (w obowiązującej ustawie miało to nastąpić 1 stycznia 2005 r.). Unia Właścicieli Nieruchomości już nawet nie czeka na rząd i zapowiada podwyżki, co najmniej podwojenie stawek, od 1 września. Na rynku brakuje przynajmniej 1 miliona mieszkań (tyle małżeństw już teraz mieszka niesamodzielnie), a przynajmniej 2 milionów, aby mógł to być rynek zrównoważony. Trudno nawet wyliczyć, ile miałyby wynosić czynsze, by budownictwo mieszkaniowe stało się opłacalną inwestycją. W Europie zachodniej, w RFN czy we Francji, w okresie likwidowania deficytu mieszkań, władze publiczne finansowały do 70% budownictwa, bardzo wtedy intensywnego, w Polsce nie finansują niemal nic a budownictwo mieszkaniowe (ok. 40 tys. jednostek mieszkaniowych rocznie) przeznaczone jest wyłącznie dla ludzi bogatych i bardzo zamożnych i finansowane ze środków własnych oraz drogich kredytów bankowych*.

Wszystko, co napisałem, nie oznacza, że reformy i polityka gospodarcza Balcerowicza są nieracjonalne. Oznacza tylko, że rząd polski obiera coraz wyraźniej kierunek na neoamerykański wariant kapitalizmu (wg terminologii Kowalika). Zazwyczaj charakteryzuje się ten wariant jako maksymalną redukcję państwa opiekuńczego, które 30 lat temu było normą wszędzie na Zachodzie. Nie sposób jednak nie zauważyć też, że wariant neoamerykański eksponuje otwarcie klasowy charakter systemu i pretenduje do roli dominującej, „właściwego wzorca kapitalizmu". Wierne naśladowanie tego wzorca jest nagradzane zaufaniem Stanów Zjednoczonych, choć nie ma przecież żadnego racjonalnego *iunctim* pomiędzy imitowaniem rozwiązań wewnątrzsystemowych a wiernością sojuszniczą.

Ten czynnik zagraniczny wpływa coraz wyraźniej na zachowania polskich polityków. Ma zwłaszcza szczególne znaczenie dla spójności koalicji UW-AWS. Wpływ USA, czy raczej znaczenie neoamerykańskiego wzorca kapitalizmu, którego Balcerowicz jest uznanym rzecznikiem, paraliżuje w dużej mierze licznych na prawicy krytyków „konsumpcyjnej

* Załączam dokumenty powstającego wreszcie ruchu społecznego ochrony lokatorów. Jest to zaiste krzyk rozpaczy.

cywilizacji", „zachodniego hedonizmu", „kosmopolitycznych spekulantów" i temu podobnych zagrożeń prawdziwej polskości. Nawet Radio Maryja zmuszone jest kamuflować swe ataki: tam, gdzie autorzy świetnie wiedzą, iż chodzi o Amerykę, mówią że chodzi o Unię Europejską, która w ten sposób zbiera gromy za wszystko – Niemców, Francuzów, Żydów i Amerykanów. Tylko skrajna prawica prorosyjska nazywana w Warszawie nowymi panslawistami – jej znaczenie chętnie wyolbrzymiają niektórzy autorzy bliscy Unii Wolności – bluzga czasem otwarcie przeciw Ameryce, międzynarodowym instytucjom finansowym, zwłaszcza MFW, oraz NATO.

Większość AWS akceptuje prymat wzorca amerykańskiego podobnie jak Unia Wolności i wobec tego wszelka z tej strony krytyka „programu Balcerowicza" traci podstawę logiczną i staje się schizofreniczna*. Publicyści ze szkoły wicepremiera wykorzystują tę słabość bez żenady: krytycy Balcerowicza są przedstawiani jako ludzie pozbawieni umiejętności logicznego myślenia.

Czasy, kiedy prawica OKP powołując się na specjalne związki z USA „demaskowała" ugodowców zza Okrągłego Stołu, minęły, zdawałoby się, bezpowrotnie. Ale to może być mylne wrażenie.

Ponieważ akces do NATO poprzedzi, i to o dobrych kilka lat, przyjęcie nas do Unii Europejskiej, a NATO jest chętnie przedstawiane jako domena wpływu Ameryki, nasza „prawdziwa" prawica odzyskuje jakieś pole do starań o szczególne łaski Waszyngtonu. Choć nie całkiem ortodoksyjna co do modelu społeczno-gospodarczego, „prawdziwa" prawica afiszuje się w roli najwierniejszego z wiernych sojuszników wojskowych USA.

W *Rzeczypospolitej* z 13-14 czerwca ukazał się np. kuriozalny artykuł Grzegorza Kostrzewy Zorbasa. Kostrzewa Zorbas postuluje wysłanie do Kosowa „znaczących sił polskich – na przykład 6 Brygady Desantowo-Szturmowej, elementów powstającej 25 Dywizji Kawalerii Powietrznej oraz 49 Pułku Śmigłowców Bojowych (uzbrojony w „latające

* Parlamentarzyści i radni AWS dopominają się zaciekle o każdą prywatyzację i reprywatyzację.

czołgi" Mi 24) do działań w głębi terytorium Serbii"... Kostrzewy Zorbasa nie zadowoli przy tym ekspedycja w ramach operacji ONZ: „dopiero udział w operacji czysto północnoatlantyckiej oznaczałby ostateczne przekroczenie progów Zachodu". Od początku istnienia Trzeciej Rzeczypospolitej rozlegają się głosy – także w kręgach wojskowych – że Polska powinna z uwagi na jej potencjał i położenie odgrywać rolę regionalnego lidera w Europie Środkowo-Wschodniej i jedną z czołowych ról w Europie i w całym NATO. Kosowo może przyspieszyć test naszej woli i zdolności osiągania tak ambitnych celów. Przyjęcie roli jednego z liderów NATO służyłoby nie zaspokojeniu narodowych ambicji a promowaniu realnych i konkretnych interesów Polski w Europie i na świecie". Kostrzewa Zorbas wyraża mianowicie przekonanie, że wobec Polski „biorącej znaczący udział w interwencjach NATO" – „nie do pomyślenia" byłyby zapisy w zmodyfikowym traktacie o siłach konwencjonalnych w Europie (CFE) negocjowanym w Wiedniu, ograniczające stacjonowanie sił Sojuszu na terytorium RP, jak tego podobno chcą Niemcy i Francuzi.

Tyle Kostrzewa Zorbas, którego redakcja tak oto przedstawia: „Koordynator programu bezpieczeństwa międzynarodowego w Centrum Stosunków Międzynarodowych, uzyskał doktorat ze strategii na Johns Hopkins University School of Advanced International Studies w Waszyngtonie i ukończył studia podyplomowe w dziedzinie bezpieczeństwa narodowego na Georgetown University, także w Waszyngtonie". Poprzednio, kariera dyplomatyczna utytułowanego stratega w MSZ zakończyła się, niestety, niepowodzeniem. Na Szucha żartowano, że jeszcze trochę Grzesio pourzęduje, a będziemy mieli wojnę na Wschodzie.

Teraz znowu Onyszkiewicz przeszkadza: powiada, że na ekspedycję do Kosowa nie mamy po prostu pieniędzy.

„Oto jak nas, biednych ludzi,
Rzeczywistość ze snu budzi".

(Boy)

Warszawa, 15 czerwca 1998

Krzysztof WOLICKI

Warszawa, dn. 18 maja 1998 r.

POROZUMIENIE W OBRONIE PRAWA DO MIESZKANIA

My, niżej podpisani, sygnatariusze Porozumienia stwierdzamy, iż naszym wspólnym celem jest

dostosowanie poziomu prawnej ochrony lokatorów do realiów społecznych, standardów europejskich oraz rozwój budownictwa mieszkaniowego dostępnego dla rodzin o niskich i średnich dochodach.

Za najważniejsze i najpilniejsze uważamy dziś:

- *ochronę przed eksmisją na bruk najsłabszych członków społeczeństwa,*
- *wprowadzenie zakazu sprzedaży komunalnych lokali mieszkalnych wraz z zajmującymi je lokatorami.*
- *rozszerzenie kręgu osób uprawnionych od dodatków mieszkaniowych,*
- *przesunięcie terminu uwolnienia czynszów z 2004 do 2010 r.*

Dla osiągnięcia poprawy sytuacji w tym zakresie prowadzić będziemy wspólnie:

Obywatelską Inicjatywę Ustawodawczą „Najemca nie jest rzeczą"

zmierzającą, na podstawie art. 118 ust. 2 Konstytucji RP, do przedstawienia Sejmowi RP projektu ustawy:

O zmianie ustawy, o najmie lokali mieszkalnych i dodatkach mieszkaniowych, prawo spółdzielcze, o własności lokali oraz o gospodarce nieruchomościami.

Dla skutecznego przeprowadzenia działań koniecznych dla doprowadzenia do zmian wadliwego prawa powołujemy dziś:

Społeczny Komitet Poparcia dla Obywatelskiej Inicjatywy Ustawodawczej „Najemca nie jest rzeczą".

W skład Komitetu wchodzą wszyscy Sygnatariusze niniejszego Porozumienia.

Do działania w ramach Komitetu lub wspólnie z nim Sygnatariusze zapraszają wszystkie osoby i organizacje, które akceptują cel niniejszego Porozumienia.

Na koordynatora akcji „Najemca nie jest rzeczą" powołujemy Beatę Świerczyńską.

Sygnatariusze Porozumienia:
Unia Pracy, Polskie Zrzeszenie Lokatorów, Polska Unia Lokatorów, Ogólnopolski Ruch Obrony Interesów Lokatorów, Centrum Wychodzenia z Bezdomności – MONAR, Związek Stowarzyszeń – Krajowe Przedstawicielstwo Emerytów i Rencistów, Społeczny Ruch Obrony Bezdomnych, Ogólnopolski Ruch Mieszkaniowy, Polska Partia Socjalistyczna.

Kartki ze skażonej strefy

Ledwie napisałam (w poprzednich „Kartkach"), że premier Buzek powinien zrezygnować ze swojego rzecznika prasowego, bo wybór niefortunny – i już nie ma Tywonka! Ale Tomasz Tywonek opuściwszy Radę Ministrów odjechał limuzyną, żeby objąć stokroć intratniejszą posadę, mianowicie, członka Zarządu Telekomunikacji Polskiej SA (według tygodnika *Polityka* – firmy najbogatszej w Polsce), mającej stanąć niebawem do prywatyzacji.

Pytanie powstaje – jak się to dzieje, że taki gość, wielomówne, aczkolwiek niezbyt rozgarnięte i niedouczone młode chłopisko, prosto z polityki przesiada się tam, gdzie potrzebny jest wyjątkowo doświadczony fachowiec?

Tywonek nie ma absolutnie świadomości, że nie sprawdził się jako rzecznik. Przeciwnie, cechuje go doskonałe samopoczucie. W wywiadach daje do zrozumienia, że jedynie z obowiązku obywatelskiego zgodził się w pierwszych chwilach trochę porzecznikować premierowi, ale właściwie umiejętności, wiedza i ambicja kierują go na inne pozycje. Jest to zresztą typowa postawa polityków najmłodszej generacji. Pewność siebie i zero wątpliwości, czy jest się na właściwym miejscu.

Jak się to dzieje, że osoba, z której ust nie schodzi słowo „moralność", czyli pani marszałek Senatu, profesor Alicja Grześkowiak z Torunia, wraz z ośmioma senatorami, udaje się na wycieczkę do Australii? Nie w ramach urlopu, ale służbowo, nie bacząc na okres gorących prac parlamentarnych. Ja rozumiem, podróże kształcą, ale że akurat jedzie się tam, gdzie nia ma senatu, i teraz, kiedy budżet nie może opędzić najpilniejszych wydatków. Podróży parlamentarzystów musi być dużo, skoro aż zdenerwowały Mariana Krzaklewskiego do tego stopnia, że zarządził, iż każda wycieczka posła czy senatora AWS-u ma uzyskać jego akceptację.

Jak się to dzieje, że na Wiśle, grodzącej Wschód od Zachodu, na której i tak mostów skąpo, naraz zamyka się dwa mosty po obu stronach maksymalnie zakorkowanej Warszawy – w Górze Kalwarii i w Płocku? W Płocku sfuszerowano remont generalny przed trzema laty; wykonawca powinien odpowiadać przed sądem, ale nie odpowiada. Niemoc wymiaru sprawiedliwości tłumaczy się wyrażeniem, które weszło w język obiegowy: „mała szkodliwość społeczna". Ukradniesz rower, auto, rozbijesz kiosk, dasz komuś w mordę, sknocisz zleconą pracę, nic ci za to nie będzie: mała szkodliwość społeczna. No i teraz jadąc przez Polskę na wskroś, musisz porządnie zboczyć na południe, do mostu w Annopolu, albo na północ – do mostu we Włocławku.

Do I Programu Polskiego Radia zadzwoniła przerażona kobieta opowiadając, że jednego dnia pobito jej syna, wobec tego zapisał się na dżudo, następnego – męża: kupił sobie pistolet gazowy, zaraz potem napadnięto jej starego ojca, wtedy ona sprawiła sobie kuszę. W programie brał udział prezydent Warszawy, Marcin Święcicki, uśmiechając się cały czas podczas tej relacji, jakby opowiadano dowcip. Jego końcowa konkluzja brzmiała: „nie wiem, czy posiadanie kuszy jest legalne"...

Jak to się dzieje, że Warszawa, mając 630 radnych, których każdy mieszkaniec może z całą odpowiedzialnością nazwać „bezradnymi", ale za to genialnie zaradnymi dla siebie – toleruje ten stan rzeczy bez żadnej reakcji? Metropolia, obrastając w bankowe drapacze, *de facto* staje się przykładowym miastem rozbojów, kradzieży i bałaganu – a my nic.

Jak się to dzieje, że szpitale z reguły obdarzają każdego

pacjenta dodatkowym prezentem w postaci wszczepienia wirusa żółtaczki – a my nic?

Jak się to dzieje, że górnicy na słowo „restrukturyzacja" dostają białej gorączki, i mimo królewskich odpraw i zabezpieczeń, o jakich nie śniłoby się innym grupom zawodowym – słyszeć nie chcą o zamykaniu nierentownych kopalń? Na wszelkie propozycje innego ułożenia sobie życia mają wyzwiska, z których najłagodniejsze brzmi: „AWS Brukseli pies".

Pytania, które stawiam – a można by je mnożyć w nieskończoność – są oczywiście ściśle retoryczne. Wiem, dlaczego tak się dzieje. Po prostu, społeczeństwo nie w pełni rozumie, o co chodzi. Klasa rządząca nie pofatygowała się, żeby przez blisko dziesięć lat rzetelnie wytłumaczyć nam cele swoich działań; wypadki i wpadki, jakie mieli po drodze, zmiany i zwroty... Nigdy nas nie przeproszono za błąd i nie zadośćuczyniono za szkodę. Nie poproszono nas też do rady, choć ustawicznie brzmi w mediach słowo „konsultacje". Nie są to jednak konsultacje, tylko laudacje. Ustawicznie każda pliszka swój ogonek chwali.

Początkowo byliśmy dobrej myśli – wstrząs przemian ustrojowych, to musi boleć, trzeba przecierpieć; cierpliwości, nie od razu Kraków zbudowano, to przejdzie. Nie przeszło. Potem mówiliśmy: „my na stracenie. Dopiero nasze dzieci będą inne, lepsze". Przyszły dzieci i pokazały, że są gorsze. Przy ich bezwstydnych apetytach konsumpcyjnych starsze pokolenie wydaje się być purytańsko skromne. Pogodziłam się z myślą, że ja poprawy nie doczekam; teraz obawiam się, że i wnuki nie doczekają.

Co się z nami stało? Młodzi politycy zgarniają forsę jak mafiozi gangów, tylko że w blasku legalności. Robotnicy zatykają uszy. Nie chcą słuchać, nie chcą negocjować. Minister czy dyrektor to w ich pojęciu jedynie ktoś działający ich kosztem dla swego dobra. Rodzi się więc im w głowach idiotyczna myśl, żeby zarządzanie produkcją przerzucić na związki zawodowe. Rząd ma tylko płacić, skoro sam sobie płaci bajońskie sumy – niech się więc podzieli.

Trybuna, organ SdRP, rozpisuje się, że w PRL-u, to dopiero robotnicy mieli dobrze! Zapominając nie tylko o pustych półkach, na których nic, prócz cebuli, ptiberów i

wódki nie było, ale również o udowodnionym fakcie nienawiści ówczesnych robotników do komunistycznej władzy. Bo choć wielkie zakłady miały własne domy wczasowe, a żony górników na Kartę Górniczą kupowały lepsze ochłapy mięsa niż naród, to jednak nienawidziły komunizmu.

– Tam jest biologiczna nienawiść do partii – relacjonował w mojej redakcji podminowany kolega, który latem 1980 roku łowił ryby ze stoczniowcami w ich ośrodku w Szwajcarii Kaszubskiej – oni się już nie krępują...

Nie krępowali się też uprzywilejowani górnicy. Jak trzasnęło w sierpniu '80, Solidarność górnicza stanowiła jedną z najsilniejszych grup protestu.

– Nie da się dłużej żyć na klęczkach – mówili – i żyć w bezsensie.

W bezsensie gospodarczym, który trafnie rozpoznawali na własnym podwórku, i z którego wysnuwali właściwe wnioski ogólne. Władza chciała z nich zrobić wieczne dzieci, „prolesów" – nie wyszło.

Co się więc, na Boga, stało z tymi, zdawało się, mądrymi i moralnymi ludźmi?! Niektórzy takimi pozostali i zeszli w cień życia, ale większość, w mniejszym lub większym stopniu, zeszmaciła się, gdy tylko poczuła węchem władzę. Przesunęli punkt ciężkości z dobra publicznego na dobro własne.

Kiedy Teresa Torańska pisała swoją książkę, istniała jakościowa różnica między „onymi" a „nami". Rozumiały to dobrze obie strony. „Oni" byli to ci żarłoczni, zawłaszczający bezwstydnie postaw sukna Rzeczpospolitej dla siebie, „my" chcieliśmy jej dobra. Ale jak przyszłość pokazała – mieliśmy zbyt dobre mniemanie o sobie. Nie potrwało długo, jak wszyscyśmy się ujednolicili. Obojętnie, kto rządzi, postkomuna czy postsolidarność, niezależnie od deklaracji, obietnic i krzyków – nic nie zostało zrobione, żeby kraj został zreformowany porządnie i szybko. Rozwarły się jedynie nożyce między biedą a bogactwem. Nożyce te, wiem, rozwarte są wszędzie na świecie. Ale władza jest po to, żeby baczyć, iżby się nie rozerwały na dwoje. Bo wtedy dochodzi do rewolucji.

Polska jest nadal krajem fatalnie rządzonym. Rosną podatki, bo musimy utrzymywać wielkie, nierentowne,

państwowe gałęzie przemysłu, ponieważ rządzący boją się rozruchów; rosną ceny absolutnie wszystkiego, od żywności poprzez odzież, po koleje; niebezpiecznie po drogach i po domach. Zmienia się tylko styl noszenia się władzy.

Przykład: Jan Maria Rokita. Obiecujący młodziutki poseł w Sejmie Kontraktowym, dziś arogant, żeby nie użyć krótszego a mocniejszego słowa. Podaję jego nazwisko jako wyjątkowo zasmucające, ale podobne zachowanie nie należy do wyjątków, raczej stanowi normę.

Toteż nie dziwi fakt, że na spotkaniu z Teresą Torańską w związku ze wznowieniem jej książki „Oni", mniej interesowano się „onymi" historycznymi; głosy z sali wskazywały raczej na klasę obecnie rządzącą jako na naszych nowych „onych".

Piszę to ze wściekłością tym większą, bom sama pełna winy. Nieodrodna córa społeczeństwa, które krytykuję. Nie interesuję się najbliższą komórką, na jaką mogłabym mieć wpływ – samorządem osiedlowym. Nie chodzę na zebrania, ignoruję ogłoszenia i propozycje, nie znam i nie zgłaszam kandydatów. A od tego wszystko się zaczyna.

●

Kiedy chowałam matkę na Wólce Węglowej w początkach stanu wojennego, w styczniu 1982 roku, była to pustynia, po której hulały wiatry Równiny Środkowoeuropejskiej. Wielkie pole na północnych obrzeżach stolicy, na tyłach Huty „Warszawa", obecnie „Luccini", poprzecinane słupami wysokiego napięcia. Cmentarzysko pomyślane na przyszłe stulecie rozrastającego się miasta. Bo stare i nowe Powązki oraz Bródno na praskim brzegu Wisły już „pękały w szwach".

Przykra była ta wczesna Wólka, podobna raczej do gigantycznego przemysłowego wysypiska niż do normalnego cmentarza, tchnącego w każdej tradycji swoistą melancholią.

Zaraz za główną bramą stał paskudny budynek pogrzebowy, podobny do krematorium, ale krematorium w nim nie było. (Do niedawna jedyne krematorium w Polsce istniało w Poznaniu, do przedwojnia). Potem szło się i szło wśród równie paskudnych, ciężkich lastrykowych nagrobków, kruszących się po każdej zimie, aż do swojego grobu. Naszym punktem orientacyjnym było drzewo, rzadkość wśród tego rumowiska – szliśmy „na drzewo".

I nagle, tak jakoś niepostrzeżenie, wszystko na Wólce zaczęło się zmieniać. Przede wszystkim wichury nasiały tu wielkich chwastów. Nieproszone burzany obsiadły groby, rosnąc niebotycznie i kwitnąc od wiosny do jesieni. Gdy od ziemi zaczęły odbijać w górę nowe drzewa, okazało się, że Wólka została pomyślana z planem, i to dobrym. W pełni ukazały się oczom kwatery płażących się iglaków i strzelistych, przycinanych kulisto klonów, ustawionych w geometrycznym porządku, prosto jak z obrazów Buffeta. Po prostu wielki park w stylu angielsko-francusko-mazowieckim.

Polacy są narodem czczącym zmarłych jak chyba żaden inny na świecie. W Zaduszki przez bramy cmentarne nie sposób się przecisnąć. Przez pierwsze dwa dni listopada Warszawa żyje pod znakiem Święta Zmarłych. Rozkład autobusów zostaje zmieniony – krążą między cmentarzami, kilometry ulic wokół cmentarzy zamieniają się w parkingi, doglądane przez drużyny harcerzy. Wieczorem nad Polską bije w niebo łuna od palących się zniczy.

Dzieje się tak nie tylko raz w roku. Zwyczajem stało się nawiedzanie grobów w Boże Narodzenie, Wielkanoc i imieniny zmarłego. Ludzie przychodzą z kwiatami (niestety, coraz częściej sztucznymi), motykami, grabiami, sadzonkami, wodą w butelkach, szmatami i detergentami. Myją, pucują, sadzą. Na grobach zmarłych wyzwala się wielka kreatywność żyjących. Rozsypujące się lastryko zastąpiły piaskowce i marmury, świadcząc mimo wszystko o bogaceniu się społeczeństwa. Ludzie obsadzają groby tujami, pnącą się różą i malwami, zmieniając w ten sposób perspektywę i widoki. Nie mogę już, idąc na grób mamy, orientować się na „nasze drzewo", bo zmalało w porównaniu z tym, co tu wyrosło. Wólka przypomina krajobraz iwaszkiewiczowski z „Młyna nad Utratą", miejsca zresztą nieodległego.

Reprezentacyjne kwatery na Wólce zostały od początku zarezerwowane dla partyjnych dygnitarzy średniego szczebla (tych najważniejszych chowa się na Powązkach Wojskowych, o ironio, obok grobów powstańców warszawskich.) I oto pewnego dnia zauważyliśmy, że na Wólce stała się rzecz

dziwna: na grobach zostały starannie pozbijane młotkiem, wyryte uprzednio słowa „towarzysz" bądź „towarzyszka". Zastąpiono je literkami „świętej pamięci". Przepatrzyliśmy z mężem grób po grobie – „towarzysze" prawie zniknęli. Dlaczego? Przecież ich żywi pogrobowcy świetnie się mają w zmodyfikowanej, co prawda, ale bliskiej formacji ojców. Modyfikacja polega wszakże na wyrzeczeniu się symboli. Piękne w swojej istocie, świadczące o braterstwie ludzkim, słowo „towarzysz", zostało tak zeszmacone przez komunizm, że członkowie SdRP unikają go jak zarazy. Nikt go nie wymówi. (Już prędzej można go usłyszeć wśród „antytowarzyszy", żartobliwie.) Mam na to jedno wytłumaczenie: oportunizm zza grobu.

A krematorium już na Wólce jest. Można się spalić, jeśli wola.

●

Polska krajem ludzi nie czytających! Taki transparent można by wywiesić nad naszym krajem. Im kto młodszy, tym trudniej sięgnąć mu po książkę. Lekturę szkolną zastępują coraz to lepsze bryki, filmy i internet. W okolicach matur krąży obficie „humor zeszytów szkolnych", wskazując na rosnącą ignorancję młodzieży. Absolwentka prywatnej szkoły dziennikarskiej nie potrafiła odpowiedzieć, kto to: Gandhi, Chomeini i Che Guevara. Uliczne ankiety i nieświadome lapsusy spikerów telewizyjnych potwierdzają fakt, że to, co stanowiło o przynależności do warstwy inteligencji – ogłada humanistyczna – jest u nas równa zeru.

Więc czemu na doroczne Międzynarodowe Targi Książki w warszawskim Pałacu Kultury pędzą dzikie tłumy? 17 maja br. po bilet trzeba było stać w kolejce godzinę, a to, co się działo wewnątrz, przechodziło wszelkie wyobrażenie. Człowiek na człowieku. Wokół najcudowniejszy polski czas, wymarzony na majówkę za miastem, a tu w ścisku i duchocie, rodziny z dziećmi, zakochane parki, starzy i młodzi pędzą w mury po książki.

W tym roku pobito wszystkie dotychczasowe rekordy Targów odbywanych od 43 lat. Frekwencja wyniosła 45 tys. osób, wystawców było 809. Przybyło 138 pisarzy pierwszej światowej ligi.

Polacy są paradoksalni.

●

Tygodnik Powszechny i Fundacja Edukacja dla Demokracji Wiktora Kulerskiego zostały laureatami Nagrody na rzecz Rozwoju Demokracji i Społeczeństw Obywatelskich. Nagrodą było po dwadzieścia tysięcy dolarów ufundowanych wspólnie przez Unię Europejską i USA. Wręczali ją ambasadorowie Ameryki i Anglii w Warszawie, Daniel Fried i Christopher Hum. Obaj młodzi, obaj świetnie mówiący po polsku. O Friedzie mówi się, że ma kręćka na temat Polski, więc zrozumiałe, że zna język. Ale Hum? – Cóż panu przyjdzie z polszczyzny za cztery lata? – spytałam. Odpowiedział: – Kto wie?

Pieniążki, choć znowu nie za duże, *Tygodnikowi Powszechnemu* przydadzą się, jak znalazł, na modernizację stareńkiego sprzętu. A co do Fundacji Kulerskiego, to działając od dziesięciu lat eksportuje obecnie demokrację na Białoruś, na Ukrainę, do Kirgizji i na Litwę. Kulerski przyznaje, że wchodząc z działalnością na Litwę, spotykał się z nieufnością a nawet oporem Litwinów, usprawiedliwionym przez dawne animozje. Dlatego największą satysfakcję sprawił mu fragment listu Litwinów do Amerykanów, który pozwolił sobie przytoczyć. Litwini napisali: „Dziękujemy wam za pieniądze i prosimy o więcej Polaków".

22 maja 1998

Ewa BERBERYUSZ

Z ukosa

Pisanie do *Kultury,* a też czasami komentowanie politycznego tygodnia w jednym z programów radia, skazuje mnie by pilnie śledzić wydarzenia na naszej scenie politycznej. Znam surowsze wyroki, ale doprawdy nie jest mi lekko. To przywilej artysty i dziennikarza, że robiąc z nieszczęścia temat, zabiera mu wagę. A można też powiedzieć, że polującym na tematy, Polska dostarcza nieustannie wspaniałych okazów zwierzyny, zdarzają się twory zdumiewające. Ale ja mam już dosyć kpienia i narzekania. Kto wie, czy surowo egzekwowany zakaz narzekania, połączony z nakazem uśmiechania się, nie byłby w Polsce najbardziej radykalną reformą.

Skąd dzisiaj można czerpać optymizm? Życie gospodarcze Polski w istotnej mierze uniezależniło się od polityków. Robią nieustanne postępy w kompromitowaniu siebie, a Polska jednak się rozwija. To widać. Ale odczuwa postęp jedynie część Polaków, miliony mają poczucie, że przegrało, wielu po prostu nie daje sobie rady. To oni kwestionują sens obecnego kształtu naszej demokracji, czasami kwestionują demokrację w ogóle, a nawet tęsknią za PRL-em. Lecz zadowoleni też odwrócili się od polityki plecami, czasami tylko rzucą na nią pogardliwym okiem.

Pospolite ruszenie prawicy szło do władzy z rozwiniętymi sztandarami moralnymi, a teraz na ringu własnego ugrupowania okładają się drzewcami, a zerwanym płótnem ocierają pokrwawione nosy. Wiele nosów padło ofiarą sporów o liczbę województw. Ale do tej „wojny domowej" jeszcze wrócimy. Każdy tydzień przynosi jakieś groteskowe zdarzenia. Na przykład, minister Wiesław Walendziak rzuca cień na swojego AWS-owskiego i prawicowego brata, wicepremiera Tomaszewskiego. Cień szpiclowski, a trudno o gorszy. O tym konflikcie wiedziano od dawna, ale kto się spodziewał takiej formy?

Inne kurioza? Proszę bardzo. Oto minister edukacji Mirosław Handke oświadcza: „nie wierzę w neutralność światopoglądową szkoły [...] Dyrektor Walczak z jego ministerstwa wyjaśnia: „szkoła powinna być określona". Rozwija ową myśl – chodzi mu o to, by szkoły określiły się jako laickie i katolickie. Po burzy w prasie, ministerstwo wyjaśnia, że to był tylko próbny test. Myślę, że minister edukacji może wierzyć, lub nie, w duchy, w UFO, być buddystą, katolikiem, albo laikiem. Jedno jest pewne: powinien wierzyć właśnie w to, w co, jak twierdzi, wierzyć nie potrafi, czyli w „neutralność światopoglądową szkoły". Jeśli nie wierzy w taką szkołę, to może zostać kaznodzieją lub księgowym, a nie ministrem demokratycznego europejskiego kraju.

Dowiadujemy się nagle, że senacka Komisja Kultury oświadcza, że radio i telewizja:„ muszą zapewnić respektowanie polskiej racji stanu i wartości chrześcijańskich we wszystkich mediach elektronicznych, publicznych i prywatnych". To jest na razie projekt. Jeśli stanie się ustawą, to ciekawe jak należy ów święty nakaz wcielać w życie. Rozumiem i jestem za tym, by media kierowały się zasadą dobrego smaku, nie szczuły, nie uczyły nienawiści, przemocy itd. Jak jednak nakreślić te granice i czemu mają to być właśnie chrześcijańskie granice? Do najważniejszych przykazań należy: „nie zabijaj". Gdyby tu być konsekwentnym, a bez konsekwencji, lepiej nie nadużywać imienia Bożego, to czy po ustawie będzie wolno pokazać film, gdzie człowiek zabija człowieka i nie ponosi za to kary? A to jest niemal w każdym filmie. Można wszędzie wieszać krzyże, nie tylko w szkołach, co się praktykuje coraz powszechniej i budzi konflikty, można je też stawiać na rogu każdej ulicy. Pytanie, po co deprecjonować ten piękny symbol, im go będzie więcej, tym mniej będzie znaczył.

Nie tylko duszą, a też żołądkiem zajęła się Konferencja Episkopatu Polski obradująca w Pelpinie. Wzrusza, że biskupi, chociaż z zastrzeżeniami i z lękiem optują za wejściem Polski do Europejskiej Unii. „Nie jest to dobre, ale nie ma rady". Przy okazji wiele czasu poświęcono desakralizacji niedzieli. To, wedle biskupów, narastający problem społeczny i zagrożenie dla prawidłowego rozwoju człowieka, że tak wiele placówek usługowych otwartych jest w niedzielę. Arcybiskup Zimoń podkreślił, że konieczna jest w Polsce pilna odnowa świadomości sakralnego sensu niedzieli.

Pełnomocnik rządu do spraw rodziny Kazimierz Kapera, nie jest nową osobą w prawicowo-narodowym gabinecie osobliwości. Jego „Raport o sytuacji polskich rodzin" jest wzruszającym dokumentem zaściankowej, kołtuńskiej mentalności. Atakuje np. niezwykle pożyteczną i skuteczną akcję „zatrzymać przemoc" (chodzi o przemoc w rodzinie), określa ją jako szkodliwą, „bo narusza wizerunek polskiego mężczyzny i straszy kobietę małżeństwem". To jest stek nonsensów, których codziennie można sobie posłuchać w Radiu Maryja. Ale martwi mnie, że *Gazeta Wyborcza* publikuje relację z tego raportu na pierwszej stronie, jako wiadomość o wielkiej katastrofie, gdy dopiero na stronie trzeciej są komentarze oraz informacje o piątkowym głosowaniu do parlamentu w sprawie ilości województw. Jest tu jakieś dramatyczne informacyjne zachwianie proporcji, śmiertelny lęk *Gazety* przed narodowo-katolicką Polską. Dzielę ten niepokój, ale szkodliwa jest panika *Gazety*. Brakuje nam środka, też w komentowaniu i w ujawnianiu polskich idiotyzmów. Zgodnie z oczekiwaniami, po wejściu AWS-u do władzy, problem zaściankowego narodowo-katolickiego gorsetu jest i narasta. Ale daleko nam jeszcze do państwa wyznaniowego, choć poczyniono już w tę stronę pewne kroki. Jestem jednak więcej niż spokojny. Należy te wysiłki ujawniać i je śledzić, ale nadal przeważa w Polsce zdrowy rozsądek. I nie traćmy z oczu faktu, że rodzi się nowa cywilizacja – może groźna, może z chorą duszą, nie wiem. Jestem jednak pewien, że myślenie w stylu Radia Maryja znajdzie się wkrótce tam gdzie jest jego miejsce, na orientalnym marginesie. Póki co, zyskują ugrupowania, które opowiadają się za państwem światopoglądowo neutralnym, czyli przede wszystkim SLD. A jednego tym narodowym palantom nie daruję – jeśli zmuszą mnie do głosowania na postkomunistów. SLD to banda cyników, ale cynicy w państwie demokratycznym nie są groźni, bo są pragmatyczni. Demokracja karmi się pragmatyzmem. Cynicy groźni bywają w systemach totalitarnych, są ich podporą a czasami nawet stają się oprawcami. Natomiast demokracji zagrażają tylko nawiedzeni ideolodzy.

Unia Europejska nie przekaże Polsce 34 milionów ECU bezzwrotnego funduszu pomocy, bo nasze projekty były przygotowane po łebkach i na ostatnią chwilę. Odpowiedzialny za to jest minister Ryszard Czarnecki, niegdyś prezes ZChN-u, który był przeciwnikiem integracji Polski z Zachodnią Europą. Zdumiewający pomysł by do Europy wprowadzał nas człowiek, który ma do Europy stosunek, powiedzmy łaskawie, skomplikowany. Czy to był niebywały spryt premiera, by tak właśnie skorumpować Czarneckiego i całą jego formację, czyli zmuszając ich by to oni zajęli się integracją Polski? Częściowo to się chyba udało, ale cena, czy nie za wysoka? Czarnecki był w nieustannym konflikcie z Balcerowiczem i po prostu spartolił robotę. Jako że partolimy wszędzie tak wiele, nie dam głowy, że ktoś inny by tego też nie popsuł. Gorzej, że minister i cała narodowa prawica, od razu uruchamia myślenie spiskowe. „Unia Europejska chce nas zepchnąć do rogu" – mówi minister. Padliśmy więc ofiarą spisku. Słychać głosy, że Czarnecki zbytnio dbał o interes Polski, a Unia chciała nam narzucić swój model, nie katolicki, liberalny, no i teraz próbują go wykończyć, a Polsce nie dać forsy. W tym spisku maczała palce Unia Wolności. Narodowa prawica i jej minister bronią polskiej niepodległości, a siły liberalne, Unia Wolności, sprzedają Polskę chorej na syfilis Europie. Oto wizja narodowo-prawicowa. Jedno jest pewne, jak w solidnym banku, straciliśmy 34 mln ECU, a zyskaliśmy w Brukseli opinię kraju, który nie jest przygotowany by w roku dwutysięcznym wejść do Unii.

Zmagania w Sejmie, gdzie głosowano liczbę przyszłych 12 województw, trwały przez cały dzień. I wyglądało, że to się skończy katastrofą dla koalicji. Cudem udało się przegłosować pożądaną dwunastkę. Ale nazajutrz okazało się, że umówiono się, że Senat wkrótce przegłosuje i doda trzy następne województwa. Zupełnie kuriozalna sytuacja. Pewien polityk Sojuszu Lewicy miał powiedzieć pokazując na wyniki głosowania: „Niech s... w krzaki". Nie byłaby to głupia propozycja, gdyby nie fakt, że oni sami chcą wyjść z krzaków i zająć miejsce AWS-u. Więc kto? Jest pustka w środku. Bo nawet jeśli Unia Wolności wypełznie z łóżka, gdzie jest z AWS-em i do centrum się doczołga, to czy nie będzie w żałosnym stanie?

Wielka reforma państwa miała być legitymacją, sztan-

darem, głównym celem nowej władzy. A rząd miał być rządem wielkiego przełomu, a stał się rządem przełamywania kryzysów we własnym łonie. Należy pochwalić grupę osób z AWS-u za determinację z jaką forsują 12 województw, ale konflikty rozgorzały ponad partiami i politycznymi podziałami. A wcale niemała część elektoratu AWS-u nie popiera reformy w tym kształcie. Kompromituje się SLD, bo upierając się przy większej liczbie województw, myśli tylko o przyszłych wyborach. A gdzie w tym jest Polska? Jest na ustach wszystkich, ale jak skorupa wyjedzonego owocu.

Uderza, jak szybko nowa władza zrobiła wszystko, by przekonać wszystkich, że niczym nie różni się od swoich poprzedników politycznych: w nepotyzmie, w załatwianiu własnych interesów. Doprawdy trudno znaleźć człowieka w Polsce, może oprócz grupki intelektualistów, których zawodem jest komplikowanie świata, którzy by nie byli pewni, że każdy polityk, z lewa czy z prawa, to krętacz, który myśli tylko o swoim prywatnym interesie. Ludzie mówią o tym w podobny sposób, jak podczas czerwcowych upałów nieznajomi wymieniali się narzekaniem, że duchota jest nie do wytrzymania.

Nasza społeczność znieczula się na korupcję na górze. Na dole, wiadomo, korupcja była wpisana w codzienność PRL-u, wiele z tego przybrało potem kapitalistyczne postacie. Dlatego, nie robi już wrażenia, gdy mass media ujawniają nawet bardzo widowiskowe przykłady wykorzystywania funkcji ministerialnych dla osobistych korzyści, jak to jest choćby w przypadku Jacka Janiszewskiego, ministra rolnictwa. Ale myślę, że gdziekolwiek dziennikarze wbiją łopatę, to wykopią jeśli nie wielką aferę, to skorupy z potłuczonego dobra wspólnego. W Ameryce Łacińskiej jest o wiele gorzej, a być może nawet gorzej jest we Włoszech, więc na razie nie ma powodu by drzeć szaty. Ale krzyczeć trzeba.

Spotykam na ulicy W. Jedna z wielkich postaci stanu wojennego, stworzył podziemne radio. W czasach wolności był czas jakiś ministrem. Mówi, że ani myśli wracać do polityki. Niedawno zwiedzał służbowo naszą prowincję, opowiada, że na poziomie gminy widzi ten sam mechanizm, który obserwujemy w centrum. Koteryjność, nepotyzm, nie

liczą się kompetencje, wszyscy wydzierają skrawki sukna dla siebie. Mówi: „Już nie ma na kogo zwalać winy. Kiedyś zwaliśmy na brak wolności, na komunistów... Teraz już widać jak na dłoni, że jesteśmy okropnym społeczeństwem".

Andrzej Wajda, który nadal rozpaczliwie szuka aktorki do roli Zosi w „Panu Tadeuszu" mówi w wywiadzie dla *Polityki*: „Polacy, to są straszni ludzie" – a potwierdzenie odnajduje nawet w „Panu Tadeuszu". Rozmawiałem z Wajdą w przeddzień rozpoczęcia zdjęć. Przed laty serdecznie odradzałem mu kręcenie tego filmu. Mickiewicz rąbał w języku, jak rzeźbi się schody w marmurze. Zachowany w filmie język poety, potężny rym, będzie wielkim wrogiem obrazu. Wajda jest dzisiaj świadom wszystkich zagrożeń. A ów film: czy to Jego wielka odwaga, czy bezgraniczna desperacja? W końcu ten reżyser od lat miota się szukając tematu i nie może stworzyć dzieła. Natomiast mówi coraz lepiej, niemal każde zdanie, które wypowiada publicznie na temat sztuki czy polityki, ma walor intelektualny, jest plastyczne i uwodzi swoim wdziękiem. Doprawdy, dziwna sytuacja. I chyba ma rację Wajda, gdy mówi, że problem z zagubieniem filmu zaczyna się w świecie literatury, która nie potrafi opisać naszej rzeczywistości. Mam dla niego bardzo wiele podziwu i sympatii, więc chociaż tak gorąco odradzałem „Pana Tadeusza", to teraz mu kibicuję.

A co do okropnych Polaków, to sam wygłaszałem na łamach *Kultury* tyle skrajnych opinii, ale teraz skrajne opinie mnie drażnią. Czy rzeczywiście jesteśmy okropnym społeczeństwem? Pokaleczonym, tak. I bardzo zniszczonym, spore fragmenty społecznej tkanki są nadgniłe. Aż się prosi by wziąć nóż i kawały tej tkanki wykrawać. W chwili słabości mam wizję samochodu śmieciarki, który krąży ulicami miasta, pożera śmieci, a przy okazji wszystkich moich okolicznych pijaków, którzy sikają, rzygają i godzinami pod moim oknem wydalają słowa, miliony nietrzeźwych słów splecionych wokół przekleństw. To ludzie straceni, na dodatek procesy gnilne nie pozbawiły ich narządów płodzenia dzieci, więc ten drobiazg plącze się między pijanymi kończynami, by wkrótce podążyć drogą swoich płodzicieli. Są w Polsce takie zdegenerowane osady, wsie, dzielnice miast.

Kiedy jadę z grupą artystów do Przemyśla, okazuje się, jak wielu wśród nich nadużywa alkoholu, są też wytrawni zawodowcy. Ich kondycja bywa doprawdy imponująca. Upieram się, że niedoceniony jest wpływ alkoholizmu na wszystkie dziedziny naszego życia, od sztuki, polityki do gospodarki.

W Przemyślu ma miejsce szereg spotkań literackich, m.in. związanych z Mickiewiczem. Ciekawe, czy ten Mickiewiczowski rok nie zamęczy Polaków na śmierć wieszczem? W Przemyślu jest dla literatury duża i ciepła młoda publiczność, kolejny dowód, że poezja, która zaczęła więdnąć w blasku wolności, znajduje swoje nisze i oazy. Najciekawsze i najbardziej budujące są jak zwykle spotkania z młodzieżą szkół średnich, ponieważ uderza mnie ich otwartość i liberalne myślenie. Mam też poczucie, że chociaż są tak niechętni wszelkim autorytetom, bardzo potrzebują, by ktoś podał im rękę. Faktem jest ich przekora, niechęć do działań grupowych, ale też ukryty niepokój samotności, boli ich brak odpowiedzi na podstawowe pytania. Jest tu pewna sprzeczność, ale nie jest ona zagadką. Ta sprzeczność leży w ludzkiej kondycji. I jest wpisana w nasz współczesny świat, który tracąc niewinność, utracił spokój pewności.

W Przemyślu byłem ostatnio wczoraj, czyli lat temu... nie do wiary, niemal dwadzieścia. Coraz częściej, co było wczoraj wydaje mi się, że było lat temu dwadzieścia i na odwrót. W maju moja licealna klasa spotkała się po – Jezus Maria! – 30 latach! Kilka osób przybyło spoza Polski, są emigrantami. Na razie nie mam słów, by to opisać. Była też nauczycielka, kiedyś triumfująca i groźna, a teraz jak zasuszony owad w gablocie. Kiedy Basia, która jest zawodowym fotografem, robi nam wspólne zdjęcie, mam wrażenie, że to Pan Bóg swoim fleszem na chwilę przeszywa nasze twarze błyskawicą. A potem dawne oblicza nakładają się na obecne i toczą ze sobą metafizyczną grę.

Tę samą grę z czasem czuję w Przemyślu. Byłem tam dwa razy, bodaj w 77 i 78 roku. Nie pamiętam prawie nic, ale czasami jakieś miejsce w nagłym błysku się odsłania w pamięci. Za pierwszym razem jechałem do Przemyśla jako dziennikarz pisma, z którego wkrótce miano mnie wyrzucić, bo udając się w tak zwany teren mówiłem rzeczy, od których mógł upaść ustrój, a też, o zgrozo, kolportowałem książki

drugiego obiegu. Pamiętam, w Przemyślu, jakieś małe konspiracyjne spotkania – oto zaczynał się czas wielkiej zabawy w drugi obieg. Pytam o kilka osób, które zapamiętała moja dziurawa pamięć. Wielu stało się biznesmenami, myślą tylko i wyłącznie o sprawach materialnych. Kiedyś demoralizował nas komunizm, a teraz pieniądze.

Przemyśl jest piękny, ale niestety mało skorzystał z ostatnich lat, gdy był miastem wojewódzkim. Stare miasto nie zostało odnowione, ale nie jest też w ruinie. Rynek pełen uroku, ale oszpecony przez reklamy i brak estetycznej koncepcji. Pomnik Mickiewicza świeżo pomalowany na mdły, piaskowy kolor. Spotykam artystę, który dokonał tego aktu. Od lat wieszcz wspiera go finansowo, bo trzyma w dłoni kamienne pióro, które pada często ofiarą kradzieży, a on je odtwarza, za co mu płacą.

Spotkanie grupy artystów z władzami miasta. Artyści rzecz jasna spóźnili się nieco. Władza była nieco urażona, ale nie za bardzo. Nowe czasy: władza przesadnie nie szanuje artystów, artyści w zasadzie mają w nosie władzę. A jednak znajdują się pieniądze na stypendia dla miejscowych dziwolągów, którzy uprawiają sztukę. Nie ma takiego miejsca na ziemi, gdzie nawet na kamieniu nie urośnie jakaś zdumiewająca, utalentowana roślina.

Niechlujstwo, brak wyczucia estetycznego, zerwanie tradycji w tej sferze, to wielka polska narodowa wada. Nawet nasze elity są ślepe na piękno. Nowe technologie, a i nowe ambicje wymuszają pewną poprawę, ale nadal jest kiepsko. Kiedy rozmawiam z ludźmi wrażliwymi, a nie brakuje ich w Przemyślu, to owe niewykorzystanie urody miasta jest dla nich nieustannym stresem i bólem głowy. Wiele jest winy po stronie miejscowych polityków. Tu, jak wszędzie, nasze polityczne spory i egoizmy utrudniają działania dla dobra wspólnego, czyli dla miasta. Podobno była dobra koncepcja poprawy estetycznej rynku, ale zjadły ją konflikty. Szansą pozbawionego przemysłu miasta jest turystyka. Przez te lata nie zrobiono w tej dziedzinie prawie nic. Jedyny porządny hotel jest w fundamentach, które jakoś nie chcą rosnąć. Wspinam się na górę tatarską. W dole kłębi się miasto, piękne, chociaż zeszpecone nowymi osiedlami. To nadaje się tylko do wysadzenia w powietrze.

Jedziemy do Arłamowa, słynnego ośrodka dla PRL-owskich dygnitarzy, o którym krążyły niegdyś legendy. Droga wąska, wyrąbana w gęstym lesie, wśród słoniowatych uszu łopianów. Zbiega nagle gwałtownie z góry by się wspiąć i otworzyć widok na polanę i obszerny hotel. Na tej polanie lądowały dygnitarskie helikoptery. Zadbano, by to miejsce było wyspą na zielonym morzu. Już kilkanaście kilometrów od ośrodka krążyły lotne patrole. Tylko zwierzyna była tu mile widziana, a strzelanie do niej sprawiało radość premierowi Piotrowi Jaroszewiczowi. Czy spodziewał się, że kilkanaście lat potem, ludzkie zwierzęta upolują jego i jego żonę? Proces podejrzanych o to morderstwo ślimaczy się jak wszystkie procesy w RP. Miejsce jest niezwykłe, też przez swoją izolację, uspokaja widok łagodnych fal wzgórz. Ale sam hotel jest więcej niż brzydki. Zachował się wystrój z tamtego czasu, świadectwo jak władcy PRL-u wyobrażali sobie raj. Ci mali, ciemni i szarzy ludzie nie inaczej ozdobili swój eden. Dzisiaj właścicielem Arłamowa jest jakaś prywatna firma, a nowy dyrektor ładuje w ośrodek spore pieniądze, niedawno zbudowano siłownię, sale konferencyjne, kort tenisowy i narciarski wyciąg. Powiększa się stadnina koni. Namawiam go bez trudu by mi pokazał pokój gdzie umieszczono na początku stanu wojennego Lecha Wałęsę. Ten apartament na pierwszym piętrze posiada numer 52. Ładny jest tylko widok z okien, czyli jedna z tych rzeczy, których Wałęsa nie był w stanie docenić. Oglądam miejsce, gdzie grywał namiętnie w ping ponga. Dyrektor opowiada, jak kiedyś grupa solidarnościowych emerytów błagała go, by pokazać im piwnice gdzie dręczono Wałęsę. Zawrzeli oburzeniem po obejrzeniu apartamentu. A mnie tam bolały cały czas zęby od złego gustu.

Dzisiaj nowi dygnitarze przylatują tu na konferencje, a może czasami też i dla przyjemności. Bywa premier Tomaszewski, czasami minister obrony narodowej Janusz Onyszkiewicz. Czy Janusz spodziewał się takich lotów, gdy siedział ze mną w Białołęce? Ośrodek jest jednak otwarty dla wszystkich, więc nie wolno tu mówić o nowym dygnitarstwie, a dawne wielkie ogrodzenie jest podobno stopniowo rozkradane.

Jedziemy na jeden dzień na Ukrainę. Nie wiedziałem, że ta podróż będzie mnie kosztowała więcej zdrowia niż przed laty wycieczka, która trwała dwie doby, rozpalonym do czerwoności rejsowym autobusem z Dehli do stolicy Kaszmiru. Ukrainę znam–nie znam sprzed roku, gdy byłem przez kilka dni w Kijowie, jako gość polsko-ukraińskiego seminarium odbywającego się pod szyldem paryskiej *Kultury*. Oczarował mnie i zadziwił Kijów, zaskakująco ładne i żywe miasto. Zmartwiony byłem w jakim psychicznym, ekonomicznym i politycznym krachu jest Ukraina. Miałem wrażenie, że jedyną sprawną instytucją jest prostytucja, a ten naród waha się między istnieniem a niebytem, między językiem ukraińskim i rosyjskim. Dzisiaj kraj nadal dryfuje bez politycznej i ekonomicznej koncepcji.

Ruszamy wczesnym świtem. A upał był niesłychany, afrykański. Nie tylko jednak upał kojarzył mi się z Indiami, a też skala biedy, chociaż głodu chyba na Ukrainie nie ma. Droga ocieniona drzewami, sadzono je, by podróżni skazani na jedną tylko wytyczoną szosę, nie widzieli jak po bokach kwitnie sowiecki raj.

Celem podróży był Krzemieniec, miasto Słowackiego. Kiedy wdrapałem się na górę Bony, wśród podreperowanych ruin zamku, gdzie o zgrozo, ustawiono telewizyjną antenę, przypomniał mi się opis tego miasta z „Godziny myśli"...

Gdy słońcu rzędem białe ukazuje domy,
Jak perły szmaragdami ogrodów przesnute.
Tam zimą lecą z lodów potoki rozkute,
I z szumem w kręte ulic wpadają załomy.
Tam stoi góra, Bony ochrzczona imieniem,
Większa nad inne – miastu panująca cieniem:
Stary – posępny zamek, który czołem trzyma,
Różne przybiera kształty – chmur łamany wirem;
I w dzień strzelnic błękitnych spogląda oczyma,

Sporo w Krzemieńcu zniszczyła wojna, ale bieda nie zabudowała miasta wysokimi budynkami, więc, jeśli zdejmie się romantyczne okulary, to widok namalowany kolorami Słowackiego jest prawdziwy i aktualny. W niebywałym upale, miasto faluje, a na jednej z fal widzę jak kołysze się kruk

i ląduje na pobliskim załomie, jak samolot koła wystawia swoje potężne krucze nogi. W Krzemieńcu jest muzeum Słowackiego, gdzie pachnie sowiecką biedą. Piękne jest słynne krzemienieckie gimnazjum, gdzie uczęszczał Słowacki, niedawno częściowo wyremontowane, ale fatalnie, fragmenty elewacji pomalowano olejną farbą. A piękne schody, jakże podobne są do schodów w autentycznych ruinach, które już nie trzymają żadnego rytmu i każdy ma ochotę pójść w inną stronę. Dworek matki Słowackiego, jej grób... wszystko zanurzone w ukraińskiej biedzie i w zaniedbaniu, ale czy przez to nie bardziej prawdziwe? Zabytkowe miasteczka zachodniej Europy lśnią luksusem jak polerowane buty, stare budowle, które wyglądają jak kolorowe świeże torty, są pięknym kłamstwem.

W Krzemieńcu, który ledwie zipie, emeryci nie dostają emerytur, milicjanci pensji, a jednak powstała kawiarnia, gdzie na chwilę zachodzę. Nieładna, ale nowoczesna. Czy to znak jakiegoś biznesowego początku?

Odrodzenie życia religijnego na Ukrainie jest chyba faktem. Kościoły są odnowione i pełne wiernych. Jako, że są właśnie Zielone Świątki, nawet przejście graniczne zostało ozdobione gałązkami. A drogami idą malownicze procesje. Ławra Poczajowska robi duże wrażenie, ale jak hinduskie świątynie, jej przepych otoczony jest morzem biedy, a liczni żebracy wzmacniają te skojarzenia. Pobliska temu świętemu miejscu latryna, którą musiałem odwiedzić, była zdolna otrzeźwić pijanego, a trzeźwego zwalić z nóg.

Wielkie wrażenie swoim ogromem i urodą robi zamek w Pohorcach. Jak wiele tutejszych zamków, stoi na wzgórzu, pod którym rozpościera się bezkresna równina. Magnaci patrząc przez okna czuli się jak bogowie, którzy potrafią objąć ramionami całą ziemię. A jak czuli się sowieccy gruźlicy w tym zamczysku? Dzięki gruźlicy obiekt jest nieźle zachowany, remontuje się nawet puste wnętrza, podobno część przedmiotów jest w muzeach. A wszystko tonie w gęstej zieleni, w kwiatach i krzewach, bardzo to jest malownicze. Aż szkoda robić tu porządki, jeśli w ogóle jest to realne w najbliższych latach?

Lwów oglądany w nocy i niestety w biegu. Widać, że centrum zostało odremontowane i wygląda dosyć porządnie.

W zablaszonych oknach Brygidek światła, siedzą tam więźniowie końca wieku, czy błąka się tam duch Broniewskiego i Wata?

Olesko, zamek w świetnym stanie, bo jest w nim muzeum. W tym zamku urodził się król Jan III Sobieski. Też widok, od którego kręci się w głowie, bezkresna wokół równina. Było po zmroku, obiekt był zamknięty, ale straż oczywiście nas wpuszcza za odpowiednią opłatą. Tu wszystko da się załatwić. Co ma też okropną stronę. Milicjanci ukraińscy często nie dostają pensji, więc by przeżyć zatrzymują niewinne samochody i nakłaniają kierowców do płacenia łapówek. Nawet gdy ktoś nie przekroczył przepisów, powinien zapłacić, bo oni przecież muszą z czegoś żyć.

Na granicy ostry zapach sowietów, wszystko odbywa się leniwie, nic nie wiadomo, nie ma w tym żadnej logiki, a każdy jest podejrzany i mały. Kierowca opowiada mi, że wszyscy celnicy biorą łapówki, kiedyś jeden chciał się napić podczas oględzin autobusu, więc aby go nie widziano podczas tego aktu, położył się na podłodze i tak się raczył.

Nawet w środku upalnej nocy Polska przy Ukrainie to Europa. Na Ukrainie nie czuje się już strachu, ale jest ospałość, brak wiary i nadziei. Polska nawet w powietrzu ma więcej energii.

SMECZ

Pomoc dla chorych w Polsce

Charytatywna organizacja SOS AIDE AUX MALADES POLONAIS założona w Paryżu przez francusko-polskich lekarzy, prowadzi od 1985 r. swą ofiarną akcję pomocy chorym w Polsce, od której nieraz zależy życie pacjenta. W kraju nadal brak jest wielu nowoczesnych środków leczenia i lekarze stają bezradni, gdy zachodzi konieczność zabiegu

chirurgicznego specjalnego rodzaju czy zastosowania w kuracji aparatów, jakich nie mają do swojej dyspozycji.

W takich wypadkach z pomocą przychodzi SOS. Od 1985 r. Stowarzyszenie rozpatrywało 912 wypadków i sprowadziło do Francji 165 chorych, którzy byli zbadani, operowani i leczeni – niektórzy po kilka razy – w szpitalach w Paryżu i na prowincji. W razie nagłej potrzeby posyła do danego ośrodka w Polsce odpowiedni materiał medyczny.

Jednocześnie SOS AaMP umożliwia polskim lekarzom-specjalistom zapoznanie się z najnowszą techniką medyczną, zapraszając ich do Francji. Dotychczas 23 młodych lekarzy skorzystało z praktyki w szpitalach w Paryżu, Marsylii, Nicei, Bordeaux, Besançon i w Metzu.

W tej chwili najpilniejszy stał się dramatyczny apel profesora B. z warszawskiego Instytutu Matki i Dziecka, który specjalnie zajmuje się dziećmi chorymi na raka kości. W zeszłym roku jego dział miał 900 pacjentów. Niektóre dzieci mają szansę wyleczenia lub poprawy zdrowia, ale żadnemu z nich nie są oszczędzone bóle, trudne do wytrzymania. Może im ulżyć tylko morfina, aplikowana za pomocą specjalnego aparatu. Nie ma go ani prof. B. ani inni lekarze, którym również brak nowoczesnych aparatów do chemioterapii.

Działalność SOS AaMP opiera się wyłącznie na ofiarności ludzi dobrej woli. Więc i w tym wypadku Prezes Stowarzyszenia dr Tomacz Biedziński i wiceprezes dr Alina Margolis-Edelman zwracają się z gorącym apelem o dary na zakup potrzebnych aparatów.

Cena aparatu na morfinę (*pompe à morphine*) wynosi 30 tysięcy franków, a cena aparatu do chemioterapii – 36 tysięcy franków.

Czeki należy wypełniać na SOS AIDE AUX MALADES POLONAIS i przesyłać na adres Stowarzyszenia – 18, rue Claude-Lorraine, 75016 Paris, France.

O religii bez namaszczenia

Wyboista droga w stosunkach Watykan – Moskwa

Pierwszą sprawą poruszoną w spotkaniach Jelcyna z Janem Pawłem II oraz ministra spraw zagranicznych Primakowa z abp. Tauranem w lutym br., była kwestia nowej ustawy o wolności sumienia, kwestionowanej przez Stolicę Apostolską z uwagi na jej aspekt dyskryminujący katolików. Liczono się jednak z możliwością wywierania presji przez Jelcyna w kierunku wprowadzenia, na płaszczyźnie wykonawczej, dyspozycji łagodzących jej restryktywny charakter, dający władzom lokalnym nadmierne uprawnienia. Spodziewano się, że wizyta Jelcyna spowoduje „zaistnienie pewnego marginesu manewru", umożliwiając jemu i rządowi Federacji spełnienie oczekiwań watykańskich, które przedłożono i umotywowano. Wprawdzie Jelcyn rzeczywiście wykorzystał tę okazję, by podwyższyć swój wkład poprzez późniejsze zawetowanie pierwszej wersji tej ustawy, która – jak wiadomo – po częściowej rewizji, przeszła w Dumie dzięki poparciu tez patriarchatu prawosławnego przez neokomunistów i skrajnych nacjonalistów. Jak się jednak okazało panował tu przesadny optymizm, bo *de facto* ta druga, poprawiona wersja, stanowiła jedynie zabieg kosmetyczny. Znacznie gorzej wygląda sam dalszy rozwój stosunków pomiędzy Watykanem i Moskwą na skutek pośredniego blokowania ich przez Patriarchat prawosławny. To właśnie twarda opozycja ze strony patriarchy Aleksego II powoduje, że nie może dojść do skutku wizyta papieska, mimo zaproszenia wystosowanego przez Gorbaczowa w 1989 r. i potwierdzonego przez Jelcyna w czasie jego pierwszej wizyty w Watykanie, 20 grudnia 1991 r. Jest ono nadal aktualne, aczkolwiek, by uniknąć zadrażnień z Aleksym celowo to przemilczano w czasie ostatniej wizyty Jelcyna. Nie ukrywał on, w rzeczy samej, pragnienia powitania Papieża w najkrótszym możliwie czasie, czego dyplomatycznie nie ujawniono.

Podczas kiedy Aleksy utrzymuje do tej pory, że wizyta papieska w Moskwie będzie tylko wtedy możliwa, kiedy sprawy sporne ulegną rozwiązaniu (dochodzi „węzeł ukraiński" czyli Kościoła greckokatolickiego – o czym dalej), w Watykanie uważa się, że zachodzi sytuacja odwrotna: to właśnie spotkanie z Aleksym mogłoby otworzyć drogę do uregulowania tych czy innych kontrowersji. A przecież już w czerwcu ub. roku Aleksy odmówił zaplanowanego spotkania z Papieżem w Wiedniu, przed konferencją ekumeniczną w Grazu. A jak dotąd nic nie wskazuje, by do tego spotkania miało dojść w najbliższym czasie.

Główną przeszkodę w normalizacji wzajemnych stosunków, wysuwaną przez patriarchat rosyjski, stanowi konflikt odnoszący się do Kościoła ukraińskiego obrządku bizantyjskiego. Chodzi w dużej mierze o kwestię zwrotu nieruchomości należących do tego Kościoła, skonfiskowanych, jak wiadomo, w pierwszych latach powojennych i przekazanych prawosławnym przez reżim stalinowski. Patriarchat moskiewski domaga się, by Watykan ten konflikt – wywołujący wciąż napięcia i „złą krew" – rozwiązał w sposób ostateczny. Nie liczy się z tym, że jest to Kościół *sui iuris*, tzn. mający własną strukturę, prawo kanoniczne i jurysdykcję, niezależnie od samych wymogów przywróconej sprawiedliwości dziejowej. Ponadto należy brać pod uwagę, że sytuacja na Ukrainie w dziedzinie wyznaniowej znajduje się w gestii władz niepodległej Republiki, które uznają wskrzeszony Kościół greckokatolicki jako narodowy i bronią jego uprawnień na równi z Cerkwią prawosławną. Sytuację komplikuje dodatkowy czynnik, a mianowicie podział wspólnoty prawosławnej na trzy odłamy. Na terenie metropolii lwowskiej i na Wołyniu, z Cerkwią podległą zwierzchnictwu Patriarchatu rosyjskiego, rywalizuje Cerkiew autokefaliczna czyli niezależna. Ponadto istnieje trzeci odłam podzielonego prawosławia, w postaci Patriarchatu ukraińskiego, z centralą w Kijowie, z metropolitą Filaretem na czele. Wprawdzie więc pretensje Aleksego pod adresem Watykanu są pozbawione podstaw, nie oznacza to jednak, iż przeciągających się od dawna trudności nie da się przezwyciężyć. Jako przykład tych możliwości należy przytoczyć oświadczenie z 19 lutego br., podpisane wspólnie przez biskupa greckokatolickiego Sofrona Mudryja (byłego rektora, dobrze mi znanego, kolegium ukraińskiego na wzgórzu Gianicolo w Rzymie) i prawosławnego władykę Mykolaja Grocha w Iwano-Frankisku (Stanisławowie), stolicy diecezji w południowym rejonie metropolii lwowskiej. Obaj odrzucili oskarżenie ze strony Patriarchatu rosyjskiego, odnoszące się do rzekomych dyskryminacji i represji, jakich doznają rzekomo miejscowi prawosławni. Tego rodzaju oskarżenia znalazły nawet wyraz w protestach przed siedzibą ambasady ukraińskiej w Moskwie (!). „Na terenie naszych parafii nie ma konfliktów wyznaniowych" – stwierdzają obaj sygnatariusze tego oświadczenia i precyzują: „wierzymy w dialog ekumeniczny, który będzie rozwijać się z powodzeniem tylko wówczas, jeśli nie będzie dochodzić do mieszania się obcych interesów, kościelnych i politycznych" (wyraźna aluzja do ingerencji patriarchatu moskiewskiego). Podczas spotkania w Moskwie w styczniu br. między kard. Cassidy, przewodniczącym Papieskiej Rady d/s Jedności Chrześcijan i metropolitą Kiryłem, odpowiedzialnym za sprawy zagraniczne Patriarchatu, ustalono wysłanie na Ukrainę delegacji mieszanej (po dwóch przedstawicieli Watykanu i Patriarchatu), mającej na celu podjęcie starań o przełamanie trudności na wyboistej drodze, prowadzącej do normalizacji stosunków. Katolicy ukraińscy nie byli jednak zadowoleni, że sprawy ich dotyczące mają być omawiane ponad ich głowami.

Sytuacja jest nadal złożona i mamy do czynienia z nowym – poniekąd paradoksalnym – zjawiskiem: to nie Watykan czy lokalny Kościół musi naciskać na władze świeckie, jak to bywało w analogicznych przypadkach w czasach kiedy trwała walka o wolność religijną. Zachodzi w dużej mierze sytuacja odwrotna: zakłada się bowiem, że Jelcyn i jego rząd będą zabiegać o zmianę postawy i praktyk stosowanych przez oporne kręgi rosyjskiej Cerkwi prawosławnej. Jelcyn zresztą dawał tu do zrozumienia, że te czy inne trudności na odcinku stosunków prawosławie – katolicyzm „obu obrządków" będzie można stopniowo przełamywać. Miał prawdopodobnie na widoku starania o poprawę wizerunku nowej Rosji w opinii na Zachodzie. Rzeczywistość jednak zaprzecza początkowym nadziejom. W wiarygodnych kręgach watykańskich panuje obecnie nastrój nacechowany sceptycyzmem. Fakty bowiem wykazują, że Moskwa, tzn. władze cywilne, w gruncie rzeczy „robi dobrą minę do złej gry", bo poparcie patriarchatu jest potrzebne Jelcynowi, narażonemu na ataki nacjonalistycznej prawicy i neokomunistów Ziuganowa, nie mówiąc o potencjalnej groźbie ze strony górników i w ogóle buntujących się robotników. A ponadto, panujące rozbicie w łonie prawosławia na Ukrainie jest mu na rękę, podobnie jak i prezydentowi Kuczmie. W tym stanie rzeczy data wzmiankowanej wyżej wizyty delegacji watykańskiej na Ukrainie jest odkładana i *rebus sic stantibus* nie wchodzi w rachubę.

Rzym, 21 maja 98 r.

Dominik MORAWSKI

Rok Mickiewiczowski

La Pologne Reconnaissante

...n'oubliera jamais. „Wdzięczna Polska nigdy nie zapomni". Tym rytualnym zwrotem uchodźcy po powstaniu 1830 roku zapewniali swoich francuskich gospodarzy, że kiedyś – kiedyś odrodzona Polska odwdzięczy się Im za gościnę i pomoc. Dziesiątki litografii z lat 1830-tych rysują Polaków maszerujących pojedynczo i zbiorowo przez kraje niemieckie ku Francji. Polski weteran o kuli przed chatą wieśniaka francuskiego. Ułan siedzący pod drzewem, przy nim osiodłany koń. Klasyczne ryciny francuskie powielane po wielekroć w polskich podręcznikach. Daleka przeszłość historyczna, która dzisiaj mało kogo już porusza.

Wykorzystałem zaproszenie na wykłady z uniwersytetu w Dijon, aby zajrzeć do burgundzkich archiwów. Nie tylko w stolicy Burgundii, ale i w małych parotysięcznych miasteczkach. Tu, w Dijon i w ościennym Franche-Comté, w Besançon, mieściły się największe *dépôts* – zakłady dla polskich uchodźców z powstania listopadowego. Schronienie i stały zasiłek znalazło w nich po kilkuset dawnych żołnierzy i oficerów. Monarchia króla arcymieszczańskiego – Ludwika Filipa – pragnęła w spokoju pomnażać bogactwa klasy rządzącej. Polskim powstańcom, którzy, jak sądzono, ochronili ją od ewentualnej interwencji Rosji Mikołaja I, gotowa była wypłacać niewielkie zasiłki i pomóc w nauczeniu się języka oraz w zdobyciu zawodu pod warunkiem zaniechania działalności politycznej.

5 września 1834 roku Adolphe Thiers, jako minister spraw wewnętrznych, w okólniku przesłanym do prefekta w Dijon zachęcał do zmniejszenia wydatków na emigrantów

politycznych: Polaków, Włochów, Hiszpanów. „Emigranci do pracy!" – brzmiał nakaz ministra. Thiers, znakomity historyk, człowiek prawicy, później po zdławieniu Komuny Paryskiej 1871 pierwszy prezydent Trzeciej Republiki, nie łudził Polaków obietnicami, iż jego ojczyzna będzie walczyła o odbudowanie Polski. Uchodził za człowieka niechętnego Polakom. Ale w swoim okólniku stwierdzał, że Polacy choć w odróżnieniu od innych grup emigracji politycznych, przebywają krótko we Francji, mają „szanse na ułożenie pożytecznych stosunków", albowiem cieszą się „sympatią ogólnonarodową"*.

Król i ministrowie przez długie lata liczyli się z „sympatią ogólnonarodową". Musieli się liczyć.

Na początku 1834 roku Polacy z Dijon i Besançon przekraczają licznie granicę, aby wziąć udział w wyprawie zbrojnej do Sabaudii, którą zorganizował Giuseppe Mazzini. Ciekawy to szczegół, albowiem zazwyczaj mówi się tylko o udziale paruset Polaków ze Szwajcarii. Polscy uchodźcy z przygranicznych miast francuskich naruszyli w ten sposób zakazy przemieszczania się bez zezwolenia władz. Kiedy wrócili z nieudanej wyprawy, nałożono na nich obowiązek meldowania się raz w tygodniu na prefekturze. W maju 1834 roku Thiers zwolnił ich z tego obowiązku.

WIDMO MICKIEWICZA KRĄŻY PO EUROPIE...

Bezczynność dotkliwie ciąży setkom wojskowych. Uchylone zostają prośby polskich oficerów o przyjęcie do Legii Cudzoziemskiej, albowiem za mało jest w niej polskich żołnierzy w stosunku do polskich oficerów. Powstaje tylko jedna kompania polska. Bardziej ruchliwi z emigrantów szybko starają się uciec z prowincji do większych ośrodków. Prefekci załatwiają przychylnie podanie Ludwika Mierosławskiego, który z Besançon przez Dijon udaje się do Brukseli.

Student, ochotnik w powstaniu 1830 roku, Ludwik Ozjasz Lubliner otrzymuje podobne zezwolenie. W Brukseli

* Cytaty archiwalne w tym tekście pochodzą z nieznanych dotąd dokumentów.

zostaje adwokatem i wydawcą, świadczy wiele usług Joachimowi Lelewelowi, który darzy go przychylnością. Podczas Wiosny Ludów Ludwik Mierosławski i Ludwik Kossuth przysyłają mu do druku sygnowaną przez nich odezwę do ludów Europy. Jeden – słynny już jako generał, drugi – wódz rewolucyjnych Węgier. Lubliner skwapliwie spełnił ich prośbę i... dopisał się pod odezwą jako trzeci. Rozbawiony Lelewel zapytał go pono:

– Jak pan to mógł zrobić, panie Ludwiku?

– A no, bo teraz na czele same Ludwiki.

Ludwiki, „które były na czele", musiały znać język francuski. Ale iluż emigrantów nie nauczyło się go nigdy. Tułali się bez pracy i nadziei po Dijon, Montbard, Semur-en-Auxois, Beaune, Macon. Latami otrzymywali zasiłki, które ledwo pozwalały im przetrwać, imali się różnych zajęć, pisali błagalne podania o pomoc, często zapadali na choroby nerwowe. Część żeniła się z Francuzkami i wrastała w miejscowe społeczności. Przede wszystkim bardziej wykształceni.

Należał do nich Jakub Malinowski (1808-1897), wykładowca budownictwa i miernictwa w Instytucie Agronomicznym w Warszawie, podporucznik z 1830 roku. Długo tułał się między Tuluzą a Paryżem, aż osiadł wreszcie w małej średniowiecznej warowni burgundzkiej – Semur-en-Auxois. Ożenił się z Francuzką. W 1839 roku dostał nominację jako nauczyciel niemieckiego i angielskiego w gimnazjum w Semur. Ale chętnych do nauki języków było niewielu, lekcji prywatnych mało. I mer Semur Laureau oraz podprefekci z Montbard zapewniali mu jeszcze przez wiele lat dodatkowe zasiłki rządowe. W Semur, Cahors i innych miejscowościach stał się założycielem lokalnych towarzystw naukowych, autorem cennych prac archeologicznych. Po latach dostał się do polskich encyklopedii i słowników biograficznych.

W 1847 roku na rozdaniu nagród w gimnazjum w Semur Malinowski wygłosił przemówienie, które nazwał: „szczęście życia w kraju cywilizowanym".

„Młodzi semuryjczycy – mówił Malinowski – od ośmiu lat żyję z wami i od ośmiu lat nieustannie zazdroszczę wam szczęścia, z którego korzystacie, nie zdając sobie z tego sprawy: otrzymujecie narodowe wychowanie w głębokim spokoju, przygotowujecie się do życia w łonie najbardziej oświeconego narodu na ziemi. Nie miałem za czasów młodości, młodzi semuryjczycy, takich awantaży. Pożar wojenny oświetlał moją kołyskę. Moje pierwsze wspomnienie związane jest z kulą armatnią, która rozbiła dach domu mojego ojca (...)".

Malinowskiemu pomogła życzliwość polonofilskich rodzin Martin, Laureau i Lévy. Wśród jego uczniów, później absolwentów słynnych wojskowych szkół St-Cyr czy Ecole Polytechnique, znalazł się i François Théodore Armand Lévy (1827-1891), niebawem student prawa i sekretarz Adama Mickiewicza.

Wybieram się do Semur. Czeka na mnie miejscowy młody bibliotekarz, historyk Jean-Claude Sosnowski. Po przodkach emigrantach zostało mu tylko nazwisko. W miejscowym merostwie wspaniały rozgardiasz związany z wyborami regionalnymi. Wpuszczają nas do nie uporządkowanych akt dziewiętnastowiecznych, do starych map miasta i katastru. Odnajduję to, czego szukałem: dokładny adres domu, w którym mieszkała rodzina Lévych, a później ożeniony z siostrą Lévy'ego syn byłego mera miasteczka – Laureau.

Idziemy pod znaleziony adres – na ulicę Renaudot. Bardzo stary, patrycjuszowski dom z basztą, pełniącą rolę klatki schodowej, wsparty jest o trzynastowieczną bramę wjazdową do miasta. Poprzedza ją nieco późniejsza, główna brama, znana Porte Sauvigny, na której cytat z szesnastowiecznego niemieckiego kronikarza głosi, iż semuryjczycy chętnie goszczą u siebie cudzoziemców. To prawda: od połowy XIX wieku do Lévych przyjeżdżały dzieci Adama Mickiewicza czy jego współpracownicy z *Trybuny Ludów* w roku 1849.

Policja obawiała się, że sam poeta będzie krążył po departamencie Côte d'Or.

29 czerwca 1845 roku minister spraw wewnętrznych pisał w liście do prefekta Côte d'Or:

„Panie prefekcie, poinformowano mnie, że pan Adam Mickiewicz, profesor literatury słowiańskiej w Collège de

France, który znajduje się w chwili obecnej w Lozannie, zamierza przejechać, wracając do Paryża, kilka departamentów, aby odwiedzić polskich uchodźców.

Pan Mickiewicz stał się adeptem swojego rodaka Towiańskiego, założyciela sekty *illuminés* (...) Gdyby P. Mickiewicz usiłował nawiązać stosunki z Polakami, którzy są internowani w Pańskim departamencie i próbował propagować swoją nową doktrynę, proszę o przekazanie mi o tym wiadomości".

W oczekiwaniu na przejazd Mickiewicza, mer Dijon i prefekt Côte d'Or słali do Paryża komunikaty, że poeta do września 1845 roku się nie zjawił.

Europa monarchów żyła w ustawicznej obawie przed niejasnymi doktrynami, sektami, spiskami, potajemnymi związkami i kontaktami wymykającymi się spod kontroli policji. W *dossier* Andrzeja Towiańskiego zestawionym przez policję rosyjską zaznaczono, iż car Mikołaj I osobiście interesował się jego wypowiedziami i prosił o ich wyjaśnienie swojego ambasadora w Paryżu Kisielowa.

Idee poetów i proroków brano wtedy na poważnie. Stawali się często – tak jak Mickiewicz w Polsce czy Sandor Petöfi na Węgrzech – postaciami symbolicznymi, w których narody widziały wyrazicieli swoich – najróżnorodniejszych i często sprzecznych – dążeń, a monarchowie potencjalne niebezpieczeństwo. W owym dziewiętnastym wieku europejskim poeci odgrywali tak znaczącą rolę polityczną jak nigdy później. Wystarczy przypomnieć George'a Byrona, Wiktora Hugo czy autora niewielu, ale jakże znaczących w życiu bułgarskim poezji Christo Botewa. Nie należy więc raportów policyjnych czy dyplomatycznych z tego czasu o poetach traktować li tylko jako archiwalnych osobliwości.

LUDZKI MINISTER

Kiedy w lutym 1846 wybuchło powstanie krakowskie i ruszyli się chłopi galicyjscy, nie był to li tylko incydent lokalny. Fale niepokoju i nadziei, jakie wznieciło, dotarły do Dijon, do Semur.

10 marca 1846 roku kolejny minister spraw wewnętrznych Ludwika Filopa, Teodor Duchâtel pisał do prefekta departamentu Côte d'Or:

„Sytuacja, w jakiej się znajdują w chwili obecnej niektóre prowincje dawnej Polski są tej nautury, że mogą wzbudzić w umysłach Polaków, uchodźców we Francji, nader niebezpieczne nadzieje; sądzę przeto, iż nie stwarzając tym cudzoziemcom kłopotów i obciążeń trudnych do pogodzenia ze szlachetną gościnnością, którą znaleźli wśród nas, należy ostrożnie podjąć kroki zapobiegawcze, aby nie próbowali się przyłączyć do swoich zrewoltowanych rodaków. Zarówno uczucia ludzkie, jak i wzgląd na stosunki, łączące nas z obcymi rządami, nakładają na nas obowiązek, aby przeszkodzić ludziom, którym udzieliliśmy azylu, w skazaniu się na pewną zgubę i spowodowanie nieszczęść, które ogarną nie tylko ich samych; ten punkt widzenia – wyjaśnia minister – wskazuje dostatecznie, jaki rodzaj nadzoru należy zastosować wobec uchodźców".

Później minister wyrażał się już bardziej precyzyjnie: proszę nie wydawać Polakom żadnych paszportów, nie mogą udać się ani w strony ojczyste, ani do ościennych państw niemieckich. (Dwa lata później uchodzący dotąd za przychylnego Polakom – poeta Alphonse de Lamartine jako minister spraw zagranicznych po rewolucji lutowej 1848 roku zastosował zgoła inną taktykę: zachęcał Polaków do opuszczenia Francji, pozbywając się tym samym niespokojnych elementów i nie ukrywał przed nimi, że francuska racja stanu nakazuje mu nie mieszać się w walki Polaków z zaborcami).

Każda akcja na rzecz Polaków mogła się przerodzić w manifestację przeciwko monarchii Ludwika Filipa. W marcu 1846 roku na murach Semur rozlepiono drukowany afisz wzywający do zbiórki pieniężnej na rzecz Polski. Tekst jawnie wyszedł spod francuskiej, a nie polskiej ręki. Autorzy nie wiązali zbytnich nadziei z powstaniem w Galicji. Ale bronili „świętej sprawy" polskiej niepodległości. Pisali:

„Polska, pogrążona w rozpaczy przez najcięższy i najbardziej niesprawiedliwy z możliwych ucisków, strząsa jarzmo, które ją przygniatało. Ma za sobą sympatię całej Francji; lecz

jałowe sympatie nie są tym, czego wymaga jej położenie. Niechaj każdy przyjdzie więc z pomocą świętej sprawie, której broni ona. Bez względu na to, jak zakończą się te wydarzenia, potrzebuje ona naszej pomocy.

Subskrypcja na ten cel jest otwarta w kancelariach czterech notariuszy Semur".

Udało się ustalić, iż jednym z notariuszy był Jean-Jacques Collenot, szanowany fourierysta miejscowy, drugim Georges-François Lévy, niegdyś naczelnik oddziału depesz i sztafet Napoleona I podczas wyprawy przeciwko Rosji w 1812 roku. Jego syn Armand znał już wtedy Adama Mickiewicza.

Podprefekt Semur zakazał nalepiania tych afiszy na murach. Wtedy rozwieszono je w restauracjach, kawiarniach i hotelach. Podprefekt wydał następny zakaz, zabraniając propagandy na rzecz Polski w jakiejkolwiek formie. Jego sympatie osobiste były, jak się można zorientować z innych źródeł, raczej po stronie Polaków, ale racja obrony spokoju politycznego w państwie, które go mianowało, nakazywała nie dopuszczać do jakichkolwiek demonstracji politycznych.

O zamiarach Polaków informował policję w Semur emigrant Jabłoński, jeden z licznych Polaków tego nazwiska, osiadłych w Côte d'Or. Nie potrafiąc znaleźć zarobku podjął się niechlubnej roli. Wypełniał ją niezbyt sumiennie.

Policja nie znała języka przybyszów z dalekiej, otoczonej nimbem egzotyki Polski. Wyuczył się go natomiast, choć w ograniczonym zakresie, Armand Lévy. Potem, po śmierci Mickiewicza, tłumaczył jego teksty na język francuski.

NAJWIERNIEJSZY Z WIERNYCH

I oto w słoneczny dzień stoimy przed domem, który przetrwał w stanie nienaruszonym kilkaset lat. Na tabliczkach u wejścia nazwisko potomków siostry Lévy'ego – Laureau. Nazywają ich Laureau de la Tour. Normalna ciągłość rodzinna w kraju stałych struktur lokalnych. W tym domu niegdyś przechowywano listy wielkiego historyka francuskiego Julesa Micheleta, papiery rodziny Mickiewiczów, hołubiono ślady po Mazzinim czy Garibaldim.

Nieopodal ulica Jean-Jacquesa Collenota, tego, który niegdyś organizował zbiórki na rzecz Polski. Moi miejscowi rozmówcy zaczynają zdawać sobie sprawę, iż Armand Lévy był postacią w świecie o wiele bardziej znaną niż Collenot. To on jako autor broszur politycznych i not dyplomatycznych przyczynił się do powstania państwa rumuńskiego, to on – sekretarz Adama Mickiewicza przewiózł trumnę ze zwłokami poety z Konstantynopola do Montmorency. A później zabiegał o przeniesienie jej na Wawel. To on projektował wzniesienie pomnika poety we Lwowie. Zajrzyjcie do jego korespondencji z Józefem Ignacym Kraszewskim, którego odwiedzał w Warszawie. To on doprowadził do odsłonięcia popiersia poety na Kapitolu w Rzymie (1877). Spisywał i stenografował wypowiedzi Mickiewicza. Poetę i jego dzieci wspomagał pieniężnie. Razem ze swoim mistrzem Micheletem sprawował po śmierci poety opiekę nad jego dziećmi. Władysław i Józef Rafał bywali u Lévych w Semur. (Ten pierwszy jeszcze za życia rodziców. Zachowały się podziękowania żony poety Celiny za zabranie małego Władysława na wakacje). Sam Lévy zmarł w ubóstwie.

Ostatni raz wystąpił publicznie 28 czerwca 1890 roku na Gare de l'Est w Paryżu, skąd trumnę z prochami Mickiewicza przewożono na Wawel. Polacy, zwłaszcza młodzież, tłumnie otoczyli wagon, w którym były złożone wieńce.

I wtedy, jak pisał *Kurier Lwowski:*

„Zdarzyła się wzruszająca scena: Armand Lévy, wieloletni serdeczny przyjaciel Mickiewicza, świadek ostatnich jego chwil w Stambule i zawsze gorący wielbiciel jego geniuszu, przybył niespodzianie mimo sędziwego wieku i wśród głębokiego milczenia zgromadzonych zabrał głos i powiedział: 'Wobec tych zwłok drogich zapewniam was raz jeszcze, że gorące sympatie, jakie Francja dla Polski żywiła, nie wygasły. Tkwią one w głębi serc naszych i żadne dyplomatyczne względy stłumić ich nie zdołają'".

Była to wyjątkowa deklaracja w czasach, kiedy republikańska Francja zawierała sojusz z Rosją Aleksandra III.

Moi francuscy rozmówcy w Semur zastanawiają się nad

sposobem uczczenia Armanda Lévy'ego. A czyż w Polsce, w Krakowie bądź w Warszawie (Lwów tego zapewne nie uczyni), nie wypadałoby w roku Mickiewiczowskiego dwóchsetlecia jednej z ulic nadać imię tego, którego wielki Michelet w liście do Polaków nazwał „najwierniejszym z wiernych waszej sławnej ojczyzny"? Czy sam Jules Michelet i Edgar Quinet – wielcy polonofile i profesorowie – koledzy Mickiewicza z Collège de France – nie zasługują na szczególne uczczenie we „wdzięcznej Polsce"?

La Pologne reconnaissante n'oubliera jamais?...

Jerzy W. BOREJSZA

Juliusz SŁOWACKI

PAN TADEUSZ

(Fragmenty dalszego ciągu eposu)*

I

Sam Pan Tadeusz został w armii adiutantem,
Regent – pisarzem, Sędzia – zboża liwerantem,
Hrabia dowodzi nowych ułanów szwadronem;
Wszystko się pociągnęło za Napoleonem,
Poszło w marsz... W domu smętne wzdychają małżonki –
Pani Tadeuszowa odmawia koronki,
Nowenny; Telimena klnie domową ciszę,
Smętek mgieł – patrzy w okna – wzdycha – listy pisze
Albo z książką francuską idzie w szary kątek
Pod piec – i tonie w smętnych bałwanach pamiątek.
Wojski także niezdolny do rycerskich czynów
Został, dogląda w domu kobiet – i kominów.

* J. Słowacki: „Dzieła wszystkie", t. XIII, cz. 2 pod redakcją Juliusza Kleinera, Ossolineum 1963.

Tymczasem nadchodziła ta okropna zima,
Twarda – groźna – iskrząca się komet oczyma,
Którą w Litwie przeczuwał wcześnie naród cały;
Niebo bladło – szron iskrzył – gwiazdy czerwieniały,
Miesięczne tęcze całe stawały w kolorach,
Mroźne kameleony przy chatach – oborach.

II

Wielkimi gromadami – przez progi do sieni
Wchodzą strzynadle złote i gile w czerwieni,
A nawet ów dziw lasów, tak rzadko widziany
Halcyjon – a na Litwie zimorodkiem zwany,
Który czasem strzelcowi pokaże się w borach
Przez mgłę gałązek – w stróża anioła kolorach,
Nad zwierciadłem przełomki, piękny i błyszczący
Jak anioł, w równi złote skrzydła trzymający –
Nawet ów ptak pięknością zaklęty i dziki
Zbłąkał się i na[d] domu zleciał gołębniki,
A potem nad sadzawki w ogrodzie kopane,
Gdzie leszcze – karpie – pstrągi pięknie malowane
Wojski kazał powpuszczać, ów ptak z jasnym grzbietem
Poleciał i bił w ryby dziobem jak sztyletem.

Słowem, wszystko, jak gdyby szukało uchrony
U człowieka, ciągnęło z lasów. – Smętne wrony
Zaludniły podwórze... Obozem się mieszczą
W topolach, gdzie pod wieczór zwichrzają się – wrzeszczą
I pod zorze gną czarną drzew obdartych głowę;
Wojski mówi, że wiodą swe sprawy – sejmowe.

Tak ptactwem gadająca, choć mgłami ponura,
Stała się ta litewska – przemienna natura,
Zawsze żywa – i z duchem ludzi zawsze zgodna,
Dobra – niemartwa – chociaż skościała i chłodna,
Właśnie jak Litwin... Który śród świętych przymierzy
Skupił się w sobie – stężał – niby trupem leży,
A jednak kiedy mu wróg wbiegnie bez pamięci,

Z dołu powstaje – od nóg – jak wąż się okręci
Około bioder – pod pierś – cicho ciało opierścienia,
Aż nareszcie wrogowi spod jego ramienia
Wytknie głowę... i cichy śmiech pokaże smoczy,
Twarz tuż przed twarzą, przed oczyma oczy

III

Ów to dwór Soplicowo, gdzie historia nasza
Odbyła się – pod tchnieniem boga Boreasza
Inne wdział szaty... twarzy zupełnie odmienił –
Ów las topoli już się więcej nie zielenił,
Dziedziniec – gdzie bławatki, cykorie i maki
Barwiły się jak szalów indyjańskich szlaki,
Teraz biały... wczorajszą zasuty zawieją,
A na nim ścieżki – świeżo deptane – czernieją
Od folwarków do dworu – od stodoł – do gumien...
Wszystko smętne... a domy stoją na kształt trumien
Na podwalinach.
Wszystko zamarło do czasu. –
Z daleka – ciemna wstęga sosnowego lasu
Ściemniała... Widać przez las błękit bitej drogi. –
Wiatr przez nią leci – sosny jak litewskie bogi
Chwieją się – jodły siedzą śniegiem przywalone,
Gdzieniegdzie drzewka ścięte jak cegły czerwone
Poukładane w stosy... inne do trójnogów
Podobne – jak ołtarze dawnych Litwy bogów,
Czerwienią się... po lesie – osmętnione mgłami –
I sosen tak nakryte liściem – jak chmurami.

O zimo! twoją piękność smętną – uciszenie
Lasów – i rzadkie słońca złotego promienie
Czuję dziś... na kształt czaru i na kształt uroku,
Bom w życiu przyszedł na tę smętną porę roku,
Która wszystko ucisza... i pod śniegiem chłonie;
Z miłością bym więc ciche zamieszkał ustronie,
W okrąg którego puszcza czerni się bezbrzeżna,
Nad którem czuwa Święta Matka Boska Śnieżna.

W Soplicowie, choć już się zbliżały zapusty,
Zjazdu nie było – dom był cichy – prawie pusty.
Wczora właśnie – francuskie oficerstwo starsze,
Które wtenczas przez marsze i przez kontrmarsze
Włóczyło się po Litwie z armią dowozową,
Opuściło gościnne zawsze Soplicowo,
Zostawiwszy w nim... różne pamiątki przejazdu
Jak[o] kukułka w cudzem, gdzie mięszkała, gniazdu...
Nie wszystkie dobre. Było cośkolwiek grabieży
I rabunku na wiosce... kilku coś żołnierzy
Z flint... do litewskich chłopów trzasło jak do blanków,
Nie mogąc się rozmówić z ludem mową Franków...
Pan Ekonom ze łzami skargę o to czynił,
Sędzia się zrazu sierdził, potem zaś obwinił
Wojnę – wojnie przypisał zło i zwierzęcoście
Ludzkie – nawet francuskie poturbował goście
Skargą i prośbą... ale cóż... gdy starca treny
Przejść musiały przez usta pani Telimeny,
Która Sędziego widząc po polsku i z płaczem
Mówiącego... stanęła mu zaraz tłomaczem,
Na taki język skargę oną przełożywszy,
Że się Francuz, słuchając, uczuł najszczęśliwszy...
„Vos larmes" – rzekł – „et vos beaux yeux..." i tak
[komplementa
Sypał... że najwierniejsza małżonka regenta...

IV

Noc była wietrzna, śnieżna – a wichry śpiewały
W kominach swoje zwykłe płaczące chorały.
Kobiety... przy dwóch świecach – w bawialnym pokoju
Siedziały przy robótce, w zaniedbanym stroju,
Same jedne – wizyt się w domu swoim żadnych
Nie spodziewając – dla mgieł i czasów szkaradnych,
Gdy nagle przed oknami jak świst – grzechot węży,
Zaszumiał przeraźliwie straszny brzęk uprzęży,
Straszny dla domu łoskot, z którym zwykle jadą
Sanie ogromne, liczne – tak zwaną szlichtadą,

Z napaścią, która domy półsenne odurza
Jak napaść zbójców... Taka przyleciała burza
Na dziedziniec. – Zlękła się Telimena mocno,
Spojrzawszy na szlafroczek i na odzież nocną,
Spojrzała przez okiennic szpary – a śnieg złoty –
Pełno kagańców; bieży – zrywa – papiloty,
W oczach widać, że straszne zobaczyła mary,
Lecz niebrzydkie... Krzyknęła do Zosi: Huzary!
I uciekła.

Tymczasem wchodzi do pokoju
Człowiek niewielki wzrostem, w podróżnego stroju;
Sądziłbyś, że cywilny – gdyby nie miał szpady
Pod pachą – dosyć piękny na twarzy – i blady
Mimo zimna. – Twarz była jak marmur niezmienna,
Owszem – rzekłbyś, że bielsza od mrozu – promienna,
Jak miesiąc złota... Oddał lekki ukłon Zosi,
Ona się zlękła – oczy spuszcza – nie podnosi,
Nie śmie... stoi jak posąg – a w sobie rozważa,
Czy ma uciec, czy zostać – poznała Cesarza
Napoleona...

Juliusz SŁOWACKI

Reduta Ordona w legendzie i rzeczywistości

Położenie geopolityczne Polski, zdeterminowane nim jej dzieje ukształtowały specyficzny typ charakteru narodowego Polaków. W ciągu wieków podlegał on różnorodnym wpływom i fluktuacjom, nie zatracił jednak swoich podstawowych cech. Sprawiły one, że w aeropagu naszych czcigodnych najmniej było budowniczych organicznych struktur gmachu

państwowego, najwięcej zaś bojowników wolnościowych zmagań zbrojnych, a wśród nich bohaterów przegranych spraw. Bywali oni przez poetów przedstawiani jako herosi narodowej dumy, z nielogicznym i bardzo polskim założeniem pokrzepienia udręczonych niewolą serc.

Zdarzył się też przypadek znany (choć w historii naszej zapewne nie jedyny) uwieńczenia laurem ofiary i chwały bohatera, który nim nie był. Tę wspaniałą poetycko omyłkę naszego narodowego Wieszcza, od 165 lat oczekującą sprostowania przedstawiam w tym wystąpieniu.

Ostatni akt obrony Warszawy rozegrał się 6 września 1831 roku, na szańcach Woli. Ten odcinek obrony stolicy uważany był przez dowództwo polskie za silnie umocniony, a ze względu na położenie i dostępność (dla nieprzyjaciela) najbardziej wątpliwy, jako przedmiot jego głównego uderzenia.

Dowódca armii rosyjskiej, Feldmarszałek Paskiewicz istotnie nie miał zamiaru atakować Woli. Wbrew negatywnemu wynikowi kalkulacji szans powodzenia ataku z tego kierunku, podporządkował się jednak woli cara, który nakazał ten właśnie wektor uderzenia na zbuntowane miasto.

Wobec ogromej dysproporcji sił zaangażowanych w ataku i obronie, niewielką przesadą byłoby nazywanie Warszawy miastem otwartym. Po odesłaniu przez naczel. wodza gen. Krukowieckiego do działań na prawym brzegu Wisły korpusów generałów Łubieńskiego i Ramorina, w łącznej sile 23 tys. żołnierzy, do obrony Warszawy pozostało zaledwie 35 tys. żołnierzy i 192 działa. Jak podają E. Kozłowski i M. Wrzosek w pracy „Dzieje oręża polskiego 1794-1938", na 6 kilometrowym odcinku wolskim Rosjanie skoncentrowali 87 batalionów piechoty, 114 szwadronów jazdy i 350 dział. Obrońcy dysponowali 10-15% tych sił w ludziach i około 10% w artylerii. Głównym przedmiotem niniejszych rozważań jest walka reduty nr 54 w trakcie obrony Woli.

Atak na umocnienia Woli poprzedziła rozpoczęta na godzinę przed świtem nawała ogniowa z ponad 150 armat. Ze zmiennym nasileniem towarzyszyła ona początkowej fazie rozpoczętego około 1,5 godziny później natarcia mas piechoty. Po opanowaniu przez nie nie obsadzonej lunety nr 55, gen. Kreutz uderzenie swego czołowego II korpusu armii

skierował na redutę nr 54, w jej „miękkie podbrzusze" od strony południowej. Pierwsza z dwu kolumn korpusu dotarła do linii zasieków i wilczych dołów, a następnie palisad kolumna, której trzon stanowił ołonecki pułk grenadierów, dowodzony przez płk. Aleksandra Tuchaczewskiego, pradziada późniejszego marszałka ZSSR. Początkowo zaporę przeciw jego postępom stanowił ogień 6 dział reduty. Krytyczny etap walki nastąpił z chwilą przedarcia się szturmujących w obręb szańca. Jego przetrzebiona załoga składała się z żołnierzy pierwszego pułku strzelców pieszych i niedobitków kanonierów.

Poświęcenie i determinacja obrońców nie mogły zrównoważyć wielokrotnej przewagi atakujących, pomimo wielkich strat, jakie ponosili. Zdawali sobie z tego sprawę dowódcy szańca. Zapewne to jeden z nich, zdecydowany za żadną cenę nie oddać wrogom reduty, podpalił magazyn prochów. Ich wybuch zburzył całą nieomal fortyfikację, grzebiąc pod jej szczątkami oprócz większości obrońców, także ponad stu żołnierzy i oficerów rosyjskich, w tym podobno dwu generałów. Ciężko ranny płk. Tuchaczewski zmarł tego samego dnia.

Nie ulega wątpliwości, że sprawca wybuchu był pierwszą wśród jego ofiar. Pokonani przemocą bohaterscy obrońcy wszystkich umocnień Woli okryli się nieprzemijającą sławą. Prymat wśród nich dzierży tylko podporucznik, Julian Konstanty Ordon, wyniesiony na szczyty sławy przypisanym mu wysadzeniem magazynu prochów na reducie nr 54. Nieznana do dziś pozostaje jednak osoba, która czynu tego rzeczywiście dokonała, bo uznany za jej sprawcę ppor. Ordon przeżył.

Podłożem przedstawionej w eposie Mickiewicza „Reduta Ordona" wersji obrony reduty nr 54 i poświęcenia jej komendanta była relacja adiutanta generała Umińskiego. Mający pełnić tę funkcję Stefan Garczyński, poeta śledzący walkę ze swojego stanowiska na Czystym, niewyraźne, wskutek odległości i mgły jej fragmenty uzupełnił wytworami swojej wyobraźni. Być może nawet, że bezwiednie pośrednio wykreował w ten sposób bliżej nie znaną postać, jako „patrona szańców". Opowiadanie Garczyńskiego dało podstawę do uznania przez Mickiewicza ppor. Ordona za sprawcę wybuchu magazynu prochów na reducie nr 54. Jego bohaterską walkę i ofiarną śmierć uwiecznił we wspaniałym poemacie „Reduta Ordona".

Uznaniu wkładu Garczyńskiego do tego dzieła dał Mickiewicz niezwykły wyraz. Oto treść tytułowej strony w wydaniu paryskim.

REDUTA ORDONA

Opowiadanie adiutanta
Wiersz Adama Mickiewicza
przepisany
Jenerałowi Umińskiemu

Nam strzelać nie kazano – wstąpiłem na działo
I spojrzałem na pole, dwieście armat grzmiało,
Artylerii ruskiej ciągną się szeregi,
Prosto, długo, daleko, jako morza brzegi,
I widziałem ich wodza – przybiegł, mieczem skinął,
I jak ptak jedno skrzydło wojska swego zwinął,
Wylewa się spod skrzydeł ściśniona piechota

Wiersz ten pisany pod wpływem opowiadań Garczyńskiego umieszczam między dziełami przyjaciela, jako wspólną naszą własność. Poświęciłem go ostatniemu wodzowi polskiemu, który o sprawie naszej nie rozpaczał i do końca chciał walczyć. A.M."

Czesław Kłak w swoich „Romantycznych tematach i dylematach. Echach Powstania Listopadowego w literaturze, historiografii i publicystyce" (WSP Rzeszów 1992), w których opiera się także na biografii Stefana Garczyńskiego, pióra Zdzisława Szeląga, pisze:

„6 września 1831 roku o świcie gen. Umiński w otoczeniu swego sztabu stanął za okopem nr 22, stanowiącym ogniwo drugiej linii obronnej. Wśród jego adjutantów nie było jednak Garczyńskiego. (...) wiadomo tylko choćby z nominacji na porucznika i z innych dokumentów, że w owym czasie do sztabu Umińskiego nie należał. Stworzone przez Mickiewicza sytuacje narracyjne, a podbudowane dodatkową dedykacją, której adresatem był gen. Umiński są więc historycznie nieprawdziwe. (...) 23 września 1831 r. Garczyński

podał się do dymisji i opuścił szeregi armii gen. Rybińskiego przygotowującej się do przekroczenia granicy pruskiej i kapitulacji. Udał się w Poznańskie, gdzie spotkał się z Adamem Mickiewiczem. Zaczęły się „długie, nocne rodaków rozmowy", których głównym tematem było niewątpliwie niedawne powstanie. Garczyński opowiadał i czytał wiersze, które poprawione później przyjacielską ręką zostały wydane jako „wspomnienia z czasów wojny narodowej polskiej 1831 roku i sonety wojenne". (...) bez tych opowiadań i bez tych wierszy poety-powstańca nie byłoby Mickiewiczowskiej „Reduty Ordona", chociaż utworu tego nie można traktować jako poetyckiego reportażu, jako wiarygodnej relacji historycznej niemalże imiennego narratora".

Według Samuela Sandlera („Reduta Ordona w życiu i poezji", Czytelnik, Warszawa 1956):

„(...) tematyka powstańcza w poezji Mickiewicza świadczy dostatecznie jasno, że bezpośredni świadek wojny, Garczyński, narzucił swoją wizję poetycką opowiadanym i przez innych i przez siebie zdarzeniom. Nie wiadomo jednak skąd naprawdę czerpał ich obraz, skoro nie było go tam, gdzie rzekomo przebywał i patrzył, jak walczyła załoga reduty, a zwłaszcza jej dowódca, nikomu nie znany por. Ordon".

Nie znali go na pewno wyżsi oficerowie. Generałowie Sołtyk i Umiński, właśnie Umiński, u którego boku – według legendy – Garczyński miał obserwować bitwę. W swoich relacjach spisanych na emigracji wkrótce po klęsce powstania wymieniają jego nazwisko w postaci zniekształconej – Gordon. Zresztą obydwaj mówią o nim nie więcej niż *Gazeta Narodowa,* ostatni niezależny dziennik powstańczy, wychodzący w Zakroczymiu od 11 do 20 września 1831 roku. W tydzień po bitwie warszawskiej zamieszczono tam następującą notatkę:

„Do szczególnych poświęceń w dniu 6 września, w czasie ataku, należy czyn Konstantego Ordona, podporucznika artylerii, który po mężnym oporze w baterii w 54 lunecie, utraciwszy podwładnych takową wraz z sobą i dwoma

bataliami piechoty nieprzyjacielskiej w powietrze wysadził. Taki czyn jest godzien żołnierza polskiego".

Niewykluczone, że z tego źródła Garczyński dowiedział się, kto dowodził redutą nr 54. Trudno było polemizować z Wieszczem, a łatwo zostać posądzonym o brak patriotyzmu, szarganie narodowych symboli. Znaleźli się jednak ludzie z pozycją i autorytetem, którzy nie wahali się zaangażować je w celu przedstawienia prawdziwego obrazu walk na szańcach Woli.

Najwcześniej fakt wysadzenia w powietrze reduty nr 54 przez ppor. Juliana Konstantego Ordona sugestywnie przedstawiony w poemacie Adama Mickiewicza, wspomniany w relacjach generałów Umińskiego i Sołtyka (później sprostowanych) zdementował Tadeusz Świtkowski, dowódca II batalionu 10 pułku piechoty liniowej, który trafił do niewoli razem z lekko kontuzjowanym Ordonem. Zniszczenia spowodowane wybuchem magazynu prochów wykluczały szansę przeżycia jego sprawcy. Nie mógł być nim zatem nominowany do tej roli Ordon. Major Świtkowski, kawaler Legii Honorowej i Krzyża Złotego Wojskowego Polskiego, walczący na reducie nr 56, pod komendą gen. Józefa Sowińskiego, rozważania swoje na temat bitwy wolskiej rozwinął w broszurze pod tytułem „O wzięciu Woli dnia 6 września 1831 roku, sprostowanie opisów generałów Umińskiego i Sołtyka. Z planem bitwy" opublikowaną w Paryżu w roku 1833.

W wersji majora Świtkowskiego poprzedzony gwałtowną nawałą ognia artyleryjskiego atak Rosjan 6 września o świcie na umocnienia Woli, zapoczątkowało natarcie na położony na ich przedpolu dwuramiennik nr 57. Reduty nr 54, 21 i 22 wsparły go ogniem swoich dział na jaki było je stać. Kiedy mimo zaciętej obrony szaniec nr 57 padł, atak Rosjan skierował się na nie obsadzoną lunetę nr 55. Brak odzewu z jej strony atakujący poczytali chyba za zasadzkę. Podejrzenie na krótko przyhamowało tempo natarcia, które po wyjaśnieniu sytuacji i obsadzeniu obiektu batalionem piechoty, ruszyło ze zdwojoną siłą na redutę nr 54. Finałem niezwykle zaciętej obrony tejże, krytykowanej przez część relacjonujących, był wielki wybuch, który zburzył praktycznie całą fortyfikację, grzebiąc w jej gruzach i szczątkach obrońców i ata-

kujących. Zaskoczeni nieoczekiwanym rozwojem sytuacji i wielkością poniesionych strat, żołnierze Paskiewicza potrzebowali dłuższego czasu zanim otrzeźwieli po doznanym wstrząsie i odzyskali zdolność do dalszych działań, skierowanych z kolei na kluczową w łańcuchu umocnień Woli redutę nr 56, dowodzoną przez gen. Józefa Sowińskiego.

Reasumując, mjr. Świtkowski oprócz odmiennego przedstawienia przebiegu bitwy na pierwszej linii obronnej stolicy wyeliminował Ordona spośród możliwych sprawców detonacji magazynu prochów na reducie nr 54. Przyznał mu rację w tej sprawie sam Ordon, opowiadając podczas pobytu w niewoli, że to kanonier Nakrut posłany po proch do magazynu, wszedł z lontem zapalonym i tym prostym sposobem, przez niedołężność wysadził magazyn w powietrze i sam zginął. Obficie zbroczone krwią swoich obrońców, tam i sam przechodząc z rąk do rąk, szańce linii obronnej Woli zalała lawina żołnierzy Paskiewicza. Oni również, mimo wielokrotnej przewagi, okupili zwycięstwo kosztowną daniną krwi, także oficerów z generałami włącznie.

W chwili wybuchu powstania dwudziestojednoletni Julian Konstanty Ordon był podoficerem konnej artylerii gwardii, stacjonującej na Nalewkach w Warszawie. Bez wahania włączył się w nurt powstańczych akcji. Walczył pod Dobrem, Wawrem, Grochowem, Dębami Wielkimi, Iganiami, Tykocinem i Złotoryją. 26 maja 1831 roku w zakończonej klęską wojsk polskich bitwie pod Ostrołęką, w której to artyleria uratowała je przed pogromem, dowódca artylerii pułkownik Bem został mianowany generałem. Dowódca jednego z działoczynów podoficer Julian Konstanty Ordon odznaczył się w czasie bitwy odwagą i przytomnością umysłu. W krytycznej sytuacji zastąpił poległego ogniomistrza. Za ten czyn został mianowany podporucznikiem i odznaczony Krzyżem Virtuti Militari. Po bitwie pod Ostrołęką zdziesiątkowaną baterię w której służył Ordon odkomenderowano do Warszawy, a po zreorganizowaniu do Modlina. Tu upłynęły Ordonowi letnie miesiące powstania. Dnia 2 września Ordon otrzymał od dowódcy artylerii gen. Bema rozkaz objęcia komendy na reducie nr 54.

Ordon niezwłocznie udał się na wyznaczony posterunek. Rozkaz gen. Bema dotyczył oczywiście działobitni znajdującej

się na reducie, a nie całej reduty z ponad dwustu żołnierzy liczącą załogą, dowodzoną przez starszych rangą i doświadczeniem oficerów. Żenujące są w tej kwestii stwierdzenia oficerów wysokich stopni, z generałami włącznie, zawarte w ich wspomnieniach, w których podporucznik artylerii, bez wiedzy i doświadczenia wymaganego w specyfice walki piechoty, przedstawiany jest jako komendant reduty, zwierzchnik wyższych rangą oficerów tej broni.

Popełnione przed pół wiekiem błędy (częściowo sprostowane przez autorów), są nadal powielane w encyklopediach i różnego rodzaju opracowaniach historycznych, o beletrystyce już nie wspominając.

Jak wynika z zacytowanej poprzednio jego wypowiedzi, przebywający w niewoli, nieświadom przyszłej sławy „komendant" Ordon za sprawcę wysadzenia w powietrze reduty, którą „dowodził", uznał kaprala Nakruta.

Jego „niedołężność" miała być przyczyną wybuchu prochowni, zniszczenia reduty i śmierci wielkiej liczby ją atakujących i mniejszej jej obrońców, oraz samego sprawcy.

W następnych latach Ordon – okryty sławą „Patron Szańców" bardzo różnie przedstawiał wysadzenie w powietrze reduty nr 54 i swój w tym wydarzeniu udział. W „Bitwie Warszawskiej" L. Mierosławskiego, wydanej w Poznaniu w 1887 roku, znajduje się na stronicy 74 ustęp następujący:

„... Bohaterskie to samobójstwo przypisane przez poetów komendantowi reduty kapitanowi artyleryi Ordonowi, zdaje się jest czynem porucznika Nowosielskiego, który wskutek kalectwa jednego (Ordon był raniony), a śmierci drugiego kapitana, znalazł się na czele. To także wynika z rozmów jakie toczyłem trzydzieści lat później z samym Ordonem, który nie umiał sobie wytłumaczyć, jak się wygrzebał żywym".

Mamy zatem i nazwisko i to nie rzucone „na chybił trafił", ale na podstawie zebranych relacji potwierdzonych rozmową z Ordonem, stwierdza Kazimierz Bartoszewicz w „Legendzie o Ordonie" publikowanej w numerach 46-48 *Tygodnika Ilustrowanego* z 1912 roku. Tan sam autor w podanym wyżej artykule wspomina rozmowę z Ordonem w

jakiej uczestniczył w roku 1872 w willi prof. Łepkowskiego w Krakowie, której jednym z głównych tematów była obrona i zniszczenie reduty nr 54:

„Sam Ordon żadnego bohaterstwa sobie nie przypisywał (...) ten, któremu Ordon polecił zapalenie prochów, uczynił to o jakąś minutę, a może pół minuty za wcześnie i z tego powodu, nie tylko ci, co się wdarli, ale i ta część obrońców reduty, która się spóźniła z jej opuszczeniem, stała się ofiarą wybuchu. Takie wysadzenie reduty według Ordona, było prostym, przepisanym obowiązkiem, który o chwilę później spełniony, nie byłby wywołał katastrofy".

To opowiadanie Ordona rozwiewało jego bohaterską legendę, tworząc równocześnie nowy wizerunek – niesłychanej skromności żołnierza, człowieka ponad wszystko ceniącego obowiązek wobec Ojczyzny. Tej szlachetnej sylwetce ubywało jednak w społecznym odczuciu wiarygodności. Sprawiła to między innymi relacja Ordona o zniszczeniu reduty nr 54, złożona przez niego w Ossolineum we Lwowie w roku 1882:

Pisał w nim, że Bem kazał mu magazyn prochowy wysadzić w razie niemożliwości dalszej obrony reduty.

Gdy więc już na nią wdzierał się nieprzyjaciel, Ordon cofał się z kanonierami ku magazynowi, gdzie stał oficer magazynier z lontem, aby zapalić sztupiny drzwi, do prochu prowadzące.

„Zbliżywszy się do niego kazał mu podłożyć ogień. Nastąpił nagły wybuch. (...) Ordon przyznaje, że nie wiedział, jaki skutek wywoła ekspolozja, że nie miał zamiaru, ani siebie, ani swoich kanonierów wysadzić".

Jest to czwarta spośród znanych, przedstawiona przez Ordona wersja zniszczenia reduty nr 54. Według pierwszej wybuch prochowni nastąpił za sprawą przypadku. W drugiej relacji miał to być prawdopodobnie samodzielny czyn porucznika Nowosielskiego. W wariancie „krakowskim" wysadzenie reduty „było prostym, przepisanym obowiązkiem". Według wersji złożonej w Ossolineum wreszcie, redutę wysadzono zgodnie z rozkazem gen. Bema. Podobnie rozbieżne były zapewne okoliczności wybuchu prochów na

reducie, przedstawione przez Ordona w różnych sytuacjach, ogółowi nie znane.

Bronisław Gembarzewski, historyk wojskowości, po odzyskaniu niepodległości kraju pułkownik W.P., twórca i pierwszy dyrektor Muzeum Wojska Polskiego, szczególnie wnikliwie badał dzieje polskiej siły zbrojnej w Powstaniu Listopadowym. Jak wspomina K. Bartoszewicz, „Reduta nr 54 ma w pracy Gembarzewskiego, poświęconej powstaniu swój szczegółowy opis i historię. Wynika z nich,

„że komendantem szańca był major Łabęcki z pierwszego pułku strzelców, Ordon zaś, podporucznik baterii lekkokonnej (a nie kapitan, ani nawet porucznik, jak go nazywa Lewiński) był przeznaczony rozkazem Bema z dnia 2 września na komendanta artylerii na szańcu. Ten drugi jest przełożonym tylko nad kanonierami, których w dniu 6 września na szańcu było 43.

Kapitan Nowosielski, który miał pod sobą 2 kompanie piechoty z dwoma oficerami, był podwładnym Łabęckiego, a nie Ordona. Jeżeli, jak sam przyznał Ordon, on i drugi „komendant" (oficer) był ranny, inna wersja mówi, że zabity, co się nie może stosować do Łabęckiego, którego jeszcze później spotykamy, to Nowosielski, jako starszy oficer mógł zostać *eo ipso* komendantem i on też wydał rozkaz wysadzenia reduty, czy sam ją wysadził, jeżeli wybuch nie był jedynie wypadkiem. Bronisław Gembarzewski usuwa możliwość, aby Bem (jak twierdzi Ordon) polecił wysadzić redutę".

Major Łabęcki (najpewniej Seweryn) według bliżej nieokreślonego informatora został na krótko przed szturmem odwołany ze sztabu i w czasie jego trwania nie było go na reducie. Ta absencja wymagała zastępstwa, pełnić je winien kapitan Nowosielski.

W roku 1895 opuściły prasę pamiętniki gen. Jakuba Lewińskiego, który w chwili walki na szańcach Warszawy w roku 1831 był zastępcą szefa sztabu gen. Prądzyńskiego, na stronie 105 pisze, co następuje:

„Niech mi wolno będzie wspomnieć tu o jednym z tych

heroicznych czynów, które pojedynczo, ale dość licznie, bez stanowczej korzyści, ale na pociechę serc polskich, upadek naszej stolicy uszlachetniły. Gdy nieprzyjaciel wdarł się do reduty nr 54, kapitan piechoty Nowosielski wysadził ją w powietrze wraz z majorem, kilku oficerami i mnóstwem żołnierstwa rosyjskiego, naturalnie, że i sam padł ofiarą swego bohaterstwa. Czyn ten mylnie przypisywano porucznikowi od artyleryi Ordonowi, gazety szumnie opisywały śmierć jego, a Mickiewicz odę na cześć jego napisał. Tymczasem Ordon nie wiedząc nic o sławie swojej, mieszkał w Warszawie naprzeciw Dominikanów, gdzie go sam nawet, po powrocie z Prus, widziałem. (...) Ze smutkiem zawsze myślałem o tej mimowolnej zaiste, ale bardzo przykrej pomyłce. Wydarta umarłemu pięknych i wielkich poświęceń zasługa jest równą krzywdą, jak rzucona na niewinnego potwarz, a takie nieszczęśliwe ludzkie usposobienie, że wszelkie kłamstwo chwalące, czy potępiające, trwalej się niż prawda w pamięci ludzkiej zapisuje".

Zarówno w publicystyce historycznej Edmunda Calliera dotyczącej Powstania Listopadowego, jak i w książce Tadeusza Łepkowskiego „Warszawa w Powstaniu Listopadowym", jest potwierdzony udział kapitana Nowosielskiego w boju na reducie nr 54. Przypuszczają oni także, że to Nowosielski był sprawcą detonacji magazynu prochów i zniszczenia reduty, jeżeli nie stało się to za sprawą przypadku. Taką możliwość dopuszczają wszyscy relacjonujący wybuch na reducie Polacy. Natomiast gen. lejtn. sztabu głównego armii rosyjskiej A.K. Puzyrewski w swoim studium „Wojna Polsko Ruska 1831" na stronie 431 przytacza (w przypisach) niemiecką relację von der Launitza, zawartą w jego książce „Szturm Warszawy", stwierdzającą, że wybuch magazynu prochów był dziełem przypadku.

Nie dowiemy się nigdy, jak było naprawdę. Nie przeżył wszak żaden uczestnik wydarzenia, który widział sprawcę lub poznał przyczynę przypadkowego wybuchu.

Trzymając się niepodważalnych faktów stwierdzić zatem należy:

1) Przyczyna wybuchu prochowni na reducie nr 54, który ją zniszczył, grzebiąc w jej szczątkach kilkuset obrońców i atakujących, nie została w pełni wyjaśniona;

2) Rzeczywistym dowódcą załogi reduty w boju 6 września 1831 roku, pod nieobecność jej mianowanego komendanta mjr. Łabęckiego, był kpt. Nowosielski.

3) Dowódca działobitni na reducie ppor. Julian Konstanty Ordon kontuzjowany w czasie walki trafił do niewoli.

4) Załoga reduty stawiła twardy opór atakującym, górując nad nimi sprawnością w walce wręcz, uległa ich wielokrotnej przewadze w ludziach i artylerii.

5) Kapitan Nowosielski był zarówno dowódcą i żołnierzem. Nie szukał pardonu. Pozostał ze swymi piechurami, kiedy przyszło dać świadectwo wspólnocie obowiązku wobec Ojczyzny.

Ten nieznany, młodzieńczy oficer, który na polach bitew zdążył trzykrotnie odebrać odznaczenia za dzielność i odwagę oraz awansować do stopnia kapitana, w historiografii poświęconej Powstaniu Listopadowemu i reducie nr 54, jest do dziś nieobecny.

Czas naprawić tę niesprawiedliwość – w nowych wydaniach opracowań historycznych, encyklopedii, komentarzy do utworów literackich, a zwłaszcza podręczników historii, zamieszczać wiarygodną wersję obrony reduty nr 54, znanej jako Reduta Ordona. Tekst ów winien zawierać najważniejsze fakty odpowiadające prawdzie historycznej, w treści niżej proponowanej, lub do niej zbliżonej.

Reduta nr 54, której wysadzenie w powietrze podczas obrony Warszawy 6 września 1831 roku, Adam Mickiewicz w poświęconym jej poemacie mylnie przypisał ppor. Julianowi Konstantemu Ordonowi, została prawdopodobnie zniszczona osobiście przez dowódcę załogi reduty kapitana Nowosielskiego, lub na jego rozkaz. Niewykluczona pozostaje ewentualność wysadzenia reduty wskutek przypadkowego wybuchu magazynów prochów. Walcząc do ostatka na czele niedobitków swych żołnierzy, kpt. Nowosielski podzielił ich los. Zginął wskutek wybuchu. Z pochodnią, czy szpadą w dłoni poległ, jak bohater. Na przeszkodzie oddania sprawiedliwości bohaterowi, stoi brak w przytoczonych relacjach i opiniach jego imienia.

Tradycyjny w armii polskiej i stosowany do dziś zwyczaj posługiwania się w służbie jedynie stopniem i nazwiskiem, bez imienia, sprawia zwłaszcza po latach trudności w jego odtworzeniu. Ma to również miejsce w odniesieniu do kapitana Nowosielskiego, obrońcy reduty nr 54.

Kazimierz Bartoszewicz w swojej „Legendzie o Ordonie" opublikowanej w numerach 46-48 *Tygodnika Literackiego* z 1912 roku, pisze:

„Zostawałoby jeszcze bliższe zapoznanie się z osobą rzeczywistego bohatera Reduty Ordona. Niestety, brak do tego odpowiedniego materiału. W *Roczniku* wojska polskiego z roku 1830 (na rok 1831 nie wyszedł) znajdujemy trzech Nowosielskich: Feliksa, podporucznika batalionu saperów; Leona, podporucznika 4 pułku strzelców pieszych i Adolfa, urzędnika wojskowego. Poza tym w spisie odznaczonych w roku 1831 (Księga pamiątkowa, Lwów 1831), znajduje się Teodor Nowosielski, podoficer 16 pułku piechoty liniowej, któremu dnia 6 września przyznano Krzyż srebrny Virtuti Militari. Dwaj ostatni – Adolf i Teodor nie mogą wchodzić w rachubę, bo pierwszy był pisarzem kasowym, a drugi z podoficera w dniu 6 czerwca nie mógł w ciągu trzech miesięcy dojść do rangi kapitana. Pozostają więc dwaj podporucznicy z roku 1830, a właściwie 1829, bo *Rocznik* podawał stanowiska służbowe z roku 1829. Ale i między nimi nie może być wyboru. Feliks Nowosielski to postać znana (syn żołnierza Kościuszki, absolwent Korpusu Kadetów w Kaliszu) ... jeden ze związkowców przygotowujących powstanie... był to zapalony patriota, człowiek pełen energii i stanowczości, miałby więc wszelkie warunki na bohatera reduty.

Ale nie był nim. „Znakomity oficer o brawurowej odwadze (jak przedstawia go słownik biograficzny), odznaczony Złotym Krzyżem Virtuti Miltari, nie zdążył odebrać ostatniej nominacji na podpułkownika". Na emigracji od 5 października 1831 roku. Później... długo, jeszcze brał udział we wszelkich (europejskich) przedsięwzięciach rewolucyjnych, 1833-1946-1848-1863. Umarł w Londynie w roku 1864.

Wzmiankę o nim podaję jedynie, aby przypomnieć człowieka, dzięki któremu nazwisko Nowosielskich, choćbyśmy je

wymazali z dziejów reduty, zapisało się chlubie w historii 1831 roku.

Pozostaje więc tylko Leon. Tylko on z czterech Nowosielskich mógł być na reducie i zginął na niej".

Wierzę, że skoro przedstawiony został czyn i ujawniona jest ponad wszelką wątpliwość związana z nim osoba, powiedzie się także ukazanie jej w pełnym kształcie człowieka i żołnierza.

Pisałem zimą 1997

Napoleon NOWOSIELSKI

Objaśnienia słów mało znanych:

– dwuramiennik – szaniec o dwu głównych ramionach (określenie staropolskie);
– działobitnia – oszańcowana bateria dział;
– działoczyn – pojedyncze działo z przynależnym wyposażeniem;
– luneta – (tu) mały szaniec w kształcie części wieloboku;
– palisady – umocnienie z grubych, u góry zaostrzonych pali wzmacniających fortyfikację, ostrokół;
– panew – (tu) łożysko pocisku w dziale;
– wektor – (tu) kierunek;
– wilczy dół – zamaskowana, głęboka jama, pułapka na trasie spodziewanego ataku nieprzyjaciela;
– szaniec – umocniony, wieloboczny okop ochronny;
– sztupiny – mało znane wyrażenie, oznaczające drewniane skrzydła wrót, drzwi;
– zasieki – przegrody, osłony zbudowane ze ściętych drzew zagłębionych w ziemię.

W roku 1963 odbyło się na historycznym cmentarzu Highgate w Londynie uroczyste poświęcenie odnowionej kwatery o nazwie Wzgórze Białego Orła na grobie powstańców z lat 1831 i 1863. Na tym wspólnym grobie złożył kwiaty Eugeniusz Nowosielski, prawnuk płk. Nowosielskiego, urodzony w Anglii. (Red.)

Wywiady „Kultury"

Przeciwko biurokracji

ROZMOWA Z RED. WŁADYSŁAWEM OSZELDĄ, ZAŁOŻYCIELEM KLUBU PROPOZYCJI W CIESZYNIE*

Założony w r. 1961 Cieszyński Klub Propozycji działa już przeszło 35 lat. Przeżył trudne lata Polski Ludowej, czasy w których zdawało się, że nic nie może się dziać wbrew woli czy bez zgody władz. W tym okresie Klub stał się niezależnie działającym ruchem społecznym, próbującym docierać wszędzie, a przede wszystkim do poszczególnych osób, służąc im radą i pomocą w ramach swoich skromnych możliwości, wbrew niechęci ze strony czynników oficjalnych, która, jak się okazuje, przeżyła krach komunizmu i trwa nadal. Tak to przynajmniej widzi i odczuwa red. Władysław Oszelda, założyciel Klubu Propozycji, niestrudzony i kipiący niezwykłą energią życiową, pomimo ukończonych w ub. r. 90 lat. Klub stał się wypełnieniem, pasją jego życia. Przekonałem się o tym rok temu, gdy pierwszy raz odwiedziłem Klub Propozycji w Cieszynie. W czasie mojego ostatniego pobytu na Zaolziu skorzystałem z okazji i poprosiłem Władysława Oszeldę o rozmowę, o podzielenie się jego doświadczeniami.

Janusz MONDRY: – *O Klubie Propozycji, o najrozmaitszych aspektach jego działalności i o zasługach Pana na tym polu wiele już napisano. Wiadomo jakie były cele tej działalności w czasach PRL. Jak wyglądają one dzisiaj, w*

* Formalną przybudówką Klubu Propozycji jest Cieszyński Interklub Społeczny (CIS) z siedzibą w Cieszynie, wydający raz czy kilka razy w miesiącu „Informator CIS-u", wszystko społecznym sumptem. Adres CIS-u: Wł. Oszelda, ul. Tysiąclecia 8/a, 43-400 Cieszyn, Polska.

zmienionej sytuacji politycznej i ustrojowej? Co zmieniło się w działalności Klubu po r. 1989? Czy jest nadal potrzebna?

Władysław OSZELDA: – W okresie władzy totalitarnej trzeba było – żeby w ogóle istnieć – działać dyskretnie. Klub Propozycji nie był oficjalnie zarejestrowany, co jednak nie znaczy, że działał tajnie. Ta jawna, otwarta forma działalności, umożliwiła realizowanie dalekosiężnych celów w czasach, gdy prawda była zakłamywana, zadeptywana, gdy trzeba ją było ratować. Służyły temu celowi regularne piątkowe spotkania Klubu (było ich już ponad 1040). Nasza praca zawsze była bezinteresowna, bezpłatna, polegała na wzajemnym podawaniu sobie ręki, na sile działania w liczbie. Wielu wybitnych ludzi, jak np. prof. Julian Aleksandrowicz czy prof. Jan Szczepański – żeby wymienić tylko kilku – wspierało nas moralnie. Oprócz dyskusyjnych spotkań piątkowych rozwijaliśmy ożywioną działalność na polu różnych inicjatyw społecznych, trwającą właściwie do dziś. Jedną z takich inicjatyw było i jest odnajdywanie ciekawych ludzi, niechętnie widzianych przez oficjalne władze.

J.M.: – *Czy chodzi o ludzi niechętnie widzianych i dziś, w nowej sytuacji ustrojowej?*

W.O.: – Tak. Chodzi o byłych partyzantów, głównie AK-owców, których pamięć władze celowo przytłumiają. Naturalnie skupiamy się głównie na ludziach naszego rejonu Śląska Cieszyńskiego, o których nikt nie wie. Chcemy przypomnieć o ich istnieniu. Odnajdywaliśmy ich, zapraszaliśmy na spotkania klubowe; wzbudzało to wielkie zainteresowanie szerokiej publiczności. Nasze społeczeństwo było zawsze wielce zdyscyplinowane, nie było ani nieprzyjemności, ani donosów.

J.M.: – *W związku z tym, proszę Pana o bardziej szczegółowe naświetlenie niechętnego nastawienia władz, urzędów, a więc biurokracji, do tego rodzaju inicjatywy społecznej.*

W.O.: – Biurokracja zamula wrażliwość społeczną, stwarza atmosferę, w której zanika inicjatywa społeczna, przestrzeń

między urzędem a człowiekiem staje się pustynna. Zamiast zrozumienia czy nawet jakiegoś wsparcia, indywidualny człowiek napotyka zwykle albo na opór, mur przeszkód, czy też na zupełną obojętność władz. Jako przykład przytoczę tu sprawę Józefa Goleca, człowieka wszechstronnie uzdolnionego, autora Słownika Ziemi Cieszyńskiej w trzech tomach, obejmującego przeszło dwa tysiące haseł i nazwisk. Pracował nad nim długie lata, wyłożył znaczne sumy z własnej kieszeni, osobiście docierał do każdego człowieka. Od władz, od urzędów nie otrzymał ani grosza, żadnej pomocy, pomimo iż o nią prosił w sprawie przedsięwzięcia jakim nie on, lecz te właśnie wykazujące zupełną obojętność urzędy powinny się były zajmować. Lecz to nie wszystko. Ten sam człowiek, nauczyciel z zawodu i powołania, założył Kluby Propozycji w kilku szkołach wiejskich, stwarzając praktyczne możliwości rozwoju talentów. Obrazy, rzeźby i inne utwory artystyczne tych dzieci wysyłał na różne wystawy w Europie oraz do Japonii, gdzie sporo tych dzieci zdobyło różne cenne, wysokie odznaczenia. Gdy miało miejsce w Cieszynie oficjalne wręczanie nagród z Tokio, lokalne władze miejskie nawet go na tę uroczystość nie zaprosiły, pomimo iż ich sukces był głównie jego zasługą. Stał się on przykładem dla tych, którzy zawsze narzekali na niemożność działania. Niestety, choć tolerowany przez władze oświatowe, był celowo nie zauważany, nigdy nie prezentowany.

J.M.: – *Czy Pan się domyśla dlaczego?*

W.O.: – Przede wszystkim zwykła, ludzka zazdrość. No i trochę strach, że ktoś robi to za darmo, poświęcając własny czas i z własnych środków to, co urzędnik powinien robić, bo za to bierze opłatę i albo tego nie robi, albo robi źle, niedołężnie. Sprawa Goleca to typowy, charakterystyczny przykład niechęci wobec indywidualnej inicjatywy, wszystkiego co wymyka się spod oficjalnego „błogosławieństwa" urzędów. Natomiast innym niepokojącym zjawiskiem jest kompletne zobojętnienie władz wobec problemów zwykłego człowieka spowodowanych przez niedołężność władz i biurokracji. Tylko rzadko udaje mi się coś zdziałać. Obojętność wobec krzywdy ludzkiej w

urzędach jest powszechna. Dziś jest jeszcze gorzej niż za czasów PRL-u, gdy czasami można było liczyć na wyrozumiałość w jakiejś tam instancji partyjnej.

J.M.: – *Czy naprawdę jest aż tak źle?*

W.O.: – Niestety tak. Dlatego dalej wspieram zakładanie komórek Klubu Propozycji po całym kraju do walki z biurokracją. Lokalnie, na małych, określonych odcinkach, to można robić wszędzie.

J.M.: – *Jak widzi Pan sprawę Euroregionów na pograniczu polsko-czeskim? Jest to zagadnienie nie tylko złożone, fascynujące, lecz również bardzo aktualne chociażby w świetle trudności, z jakimi fenomen regionów zaczyna się borykać nie tylko w Europie lecz i w innych częściach globu. O problemach Euroregionu na Ziemi Kłodzkiej pisała nie tak dawno temu* Kultura. *Natomiast niedawno w czeskim miesięczniku* Nova přitomnost *szef czeskiego ośrodka propagandowego w Warszawie pisze pozytywnie o nowo powstałym Euroregionie Śląska Cieszyńskiego, sugerując iż po raz pierwszy rejon ten zaczyna być symbolem tego co łączy, a nie rozdziela Czechów i Polaków. Czy to nie trochę przesadny optymizm? Biorąc pod uwagę Pana zainteresowanie tymi sprawami, proszę o naświetlenie tego zagadnienia w odniesieniu do Śląska Cieszyńskiego.*

W.O.: – Euroregiony na pograniczu polsko-czeskim dopiero się tworzą. Powstał niedawno Euroregion Śląsk Cieszyński – Těšinské Slezko po obu stronach Olzy. W Cieszynie, w gmachu Uniwersytetu Śląskiego, podpisano odpowiednie dokumenty z obu stron – Pragi i Warszawy. Lecz to tylko akt formalny, oficjalny. Do wprowadzenia go w życie, do autentycznej współpracy polsko-czeskiej, jest jeszcze bardzo daleko. Bariery psychiczne po obu stronach są nadal znaczne, są jak mur, a jak się tego muru nie przebije to zostanie tylko formalna, urzędowa nadbudowa bez odpowiedniej treści. Niestety, bariera niechęci między ludnością czeską i polską w tym rejonie jest nadal silna.

J.M.: – *Czy chodzi tu o wzajemną obojętność, bo chyba trudno dziś mówić o jawnej wrogości, która już chyba minęła?*

W.O.: – Tak, ale to jest ciągle coś więcej niż tylko zwykła obojętność, coś w rodzaju nadal znacznej, wzajemnej nieżyczliwości, głęboko zakorzenionej w psychice tutejszej ludności, polskiej i czeskiej. Formalna nadbudówka, a więc różne imprezy oficjalne, akcje propagandowo-reklamowe, to tylko pozorowanie zbliżenia, lecz nie autentyczne pojednanie.

J.M.: – *A więc warunkiem współdziałania regionalnego, poprzez granice, jest dobra wola na płaszczyźnie międzyludzkiej, a tej Pan na razie nie dostrzega?*

W.O.: – Tak, dobra wola z obu stron, w relacji – człowiek-człowiek. To jest najważniejsze. No i tu mikrostruktury społeczne typu naszego Klubu Propozycji, mogłyby odegrać pewną rolę, wypełnić lukę, poprzez stwarzanie jak największej ilości najróżniejszych związków zainteresowań, najróżniejszej działalności, np. kluby sportowe, wędkarskie itd. Niestety, żadnej współpracy w tym kierunku nie widzę.

J.M.: – *Czy nie uważa Pan, że jedną z przyczyn takiego braku chęci zbliżenia może być sprawa ignorowanych w dalszym ciągu, czy też tylko po macoszemu załatwianych, problemów Polaków na Zaolziu?*

W.O.: – Tak, z całą pewnością i to się ujemnie odbija na ogólnych stosunkach międzyludzkich. Na płaszczyźnie oficjalnej, władze po obu stronach mogą pozorować współpracę ile chcą, mogą prawić sobie wzajemne komplementy, ale ta urzędowa „współpraca" nigdy nie zastąpi autentycznego współdziałania regionalnego między ludźmi.

J.M.: – *Z różnych wypowiedzi, listów i tekstów Pana odnoszę wrażenie, że ambicje działalności Klubu Propozycji sięgają daleko poza granice kraju czy regionu. Pańskie „zbawianie świata", jak to ktoś raz ładnie nazwał, przybiera wyraźny wymiar europejski, światowy. W świetle ogromnych trudności w walce z biurokracją w kraju, czy nie są to cele poniekąd za ambitne, przekraczające realne możliwości Klubu Propozycji?*

W.O.: – Uważam, że każdy człowiek twórczy jest w jakimś sensie odpowiedzialny za los świata, że każdy człowiek może wytwarzać dobro i szczęście w skali światowej, działając na własnym odcinku. Byłem kiedyś związany współpracą z ludźmi rozsianymi po całym świecie, jeszcze w służbach „Światpolu", to może dlatego została we mnie ta potrzeba działania w wymiarze światowym. Czy tylko wielcy politycy, wielcy stratedzy świata są upoważnieni do rozwiązywania naszych problemów? Czy my także nie jesteśmy odpowiedzialni za to, że 60% globalnych wydatków idzie na zbrojenie, a ludzie masowo umierają z głodu? Czy to też nie obciąża naszych sumień?

J.M.: – *Tak, to wszystko prawda, i mieści się w często używanym przez Pana sloganie „myśleć globalnie, działać regionalnie". Niemniej nawet najszlachetniejsze zamierzenia nie wystarczą, jeśli nie ma się odpowiednich środków. W jaki konkretny, realistyczny sposób, chce pan oddziaływać na przemiany w świecie, skoro tak trudno zdziałać coś na miejscu, na własnym, małym odcinku, jak to Pan nazywa?*

W.O.: – Oczywiście, że nie mam takich środków oddziaływania, jak wielkie ośrodki masowej propagandy, jak np. telewizja, które mogą oddziaływać, czasami ogłupiać, miliardy ludzi. Czy to jednak oznacza, że zwykły, szary człowiek ma siedzieć cicho, słuchać i milczeć? Moją dewizą jest tworzyć dobro, zaczynając od zwykłego człowieka. Ja nim też jestem i chcę moimi doświadczeniami dzielić się z innymi. Robię to jak mogę, poprzez indywidualne kontakty, komórki Klubów Propozycji w świecie, nawet w takich miejscach jak Hawana na Kubie. Naturalnie, władzom, biurokracji, możnym tego świata, globalne aspiracje takich „buntowników" jak ja nie mogą się

podobać. Ja krzywdę ciągle widzę, pomagam jak mogę, lecz często jestem bezsilny. Nie szukam niczego dla siebie, sławy ani rozgłosu, tego mi nie potrzeba. Lecz mając pewne możliwości, chcę dalej walczyć z tą krzywdą, której korzenie tkwią nie tylko w nas i u nas, lecz na całym świecie. Myślę, że każda indywidualna jednostka może być takim Klubem Propozycji w sensie idei, myśli. Prof. Jan Szczepański w jednej ze swych książek pisze, że powodem, dlaczego przez prawie 2000 lat od urodzenia Chrystusa nie byliśmy w stanie zwalczyć zła w świecie, było niedocenianie roli jednostek, zawsze musieliśmy być cząstką czegoś, do czegoś „należeć", do grup wyznaniowych, partii, zawsze musieliśmy się zasłaniać jakimś szyldem. Nasz Klub Propozycji wychodzi z tolerancją totalną, tolerancją jednostki, każdemu przysługuje racja indywidualna.

J.M.: – *A więc docieranie do człowieka, gdziekolwiek by on był, kimkolwiek by on był, było i pozostaje pierwotną myślą przewodnią w działalności Pana Klubów Propozycji?*

W.O.: – Absolutnie tak. Bo każdy człowiek się liczy, każdy człowiek jest mikroskopijną cząsteczką świata. Lecz takie „zbawianie człowieka" nie może się dziać odgórnie, poprzez jakieś makrostruktury, imprezy robione na pokaz, pochłaniające ogromne pieniądze. Wystarczy, żeby ludziom nie utrudniano wzajemnego docierania do siebie, żeby nie zadeptywano każdej indywidualnej inicjatywy. A związków, kontaktów międzyludzkich potrzeba nam dziś jak wody na pustyni, bo ten dzisiejszy świat jest ogromnie „zaurzędniczony".

J.M.: – *Panie Redaktorze, dziękuję za rozmowę i życzę dużo powodzenia w dalszej działalności i rozwijaniu Klubów Propozycji.*

Cieszyn, 30 kwietnia 1998

Janusz MONDRY

Sąsiedzi

Polityka zagraniczna Ukrainy

Kijów ma od niedawna nowego ministra spraw zagranicznych. Jest nim Borys Tarasiuk, młody, zdolny i bardzo energiczny dyplomata, pochodzący spod Żytomierza. Karierę zaczął po ukończeniu kijowskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych, oczywiście jeszcze za sowieckich czasów, kiedy Ukraina uprawiała mini-politykę zagraniczną. Jedynym wybiegiem dla przedstawicieli pseudo-suwerennej republiki były instytucje ONZ w Nowym Jorku, Genewie i Wiedniu. Z punktu widzenia Stalina, który przeforsował ideę, że do założycieli Organizacji Narodów Zjednoczonych, oprócz imperium ZSSR dopuszczono również Białoruś i Ukrainę. Było to coś w rodzaju wyróżnienia za ogromne cierpienia obydwu krajów pod okupacją hitlerowską i za jeszcze większą daninę krwi na frontach i w szczególnym wariancie białoruskim w partyzantce leśnej na ważnych strategicznie połączeniach kolejowych Niemców. Dla ilustracji tego zagadnienia przytoczę słowa dziś już nie żyjącego marszałka Sokołowskiego, który w lipcu 1948 roku, w pomieszczeniach Polskiej Misji Wojskowej w Berlinie powiedział mi dosłownie: „bez ukraińskich oficerów i generałów, a szczególnie bez Ukraińców-podoficerów, nigdy byśmy wojny z Hitlerem nie wygrali". Co to znaczyło w praktyce można sprawdzić w życiorysach współczesnych polityków ukraińskich. Prawie co drugi z nich w średnim pokoleniu stracił ojca w walkach na froncie lub w niemieckiej niewoli. Na czele tej listy stoją: były prezydent Krawczuk i obecny Kuczma.

To był chyba główny motyw postępowania Stalina w udzieleniu spustoszonej i wykrwawionej Ukrainie w 1944

roku owej pół-suwerenności. W tej decyzji tkwiła też koncepcja zneutralizowania odrodzonego w czasie wojny nacjonalizmu ukraińskiego, a możliwie nawet okrężnego wpływu na osłabienie antymoskiewskich nastrojów i obaw w kreowanym paśmie państw satelickich „demokracji ludowej". Tu stary, doświadczony pazur historii Wielkiego Choziaina, nie okazał się genialny. Był to jeden z nielicznych zresztą jego błędów, udzielenie Ukrainie połowicznej suwerenności nie przyniosło Kremlowi oczekiwanej dywidendy. Zagranica w to nie uwierzyła, satelici Moskwy szybko dostrzegli motywy manewru, a Ukraińcy nie stali się bardziej służalczymi niż dotąd. W ostatecznym rachunku decyzja Stalina stworzyła podstawy do założenia w Kijowie Instytutu Spraw Międzynarodowych jako części uniwersytetu. Z tej uczelni wyszła kadra współczesnych dyplomatów ukraińskich. Większość z nich otrzymała międzynarodowy szlif we wspomnianych agendach ONZ. Ale dzięki temu powstał trzon służby międzynarodowej, który po uzyskaniu niepodległości pozwolił na stosunkowo szybkie obsadzenie głównych stanowisk w dyplomacji.

Pierwszym ministrem spraw zagranicznych w niezawisłej Ukrainie był Konstanty Złenko, który obecnie piastuje stanowisko ambasadora w Paryżu. Na początku niepodległości na jego barkach spoczywało zadanie rozbudowy sieci dyplomatycznej i opracowanie doktryny, regulującej priorytety polityki zagranicznej nowego państwa. Uchwalenie takiego dokumentu, nieznanego w państwach demokratycznych, było wyrazem pozostałości z czasów sowieckich, gdzie wszystko musiało być objęte dogmatycznym pierścieniem biurokratycznego formalizmu. Ale szło też wówczas o uchwalenie postanowień, które miały być – w razie podjęcia ewentualnych kroków rewindykacyjnych ze strony Moskwy – tarczą i osłoną narodowych interesów Kijowa. Dodajmy, że ten dokument wytrzymał próbę czasu i stanowi wciąż jeszcze teoretyczną podstawę współczesnej ukraińskiej polityki zagranicznej.

Ale Złenko nie był twórcą koncepcji powstającej polityki zagranicznej, a raczej lojalnym wykonawcą woli prezydenta Leonida Krawczuka. Pierwszy prezydent Ukrainy był zręcznym dyplomatą i zajmował się tą sprawą z dużym rozmachem, niestety kosztem polityki wewnętrznej. U progu tej działalności było unicestwienie Związku Sowieckiego i powołanie do życia Wspólnoty Niezawisłych Państw. Po dziś dzień szowiniści rosyjscy obrzucają Krawczuka kalumniami, że to on był głównym winowajcą w spisku przeciwko ZSSR. Zresztą z podobnymi zarzutami występuje często zdetronizowany wówczas pierwszy i ostatni prezydent Związku Sowieckiego, Gorbaczow. Zadaniem Złenka było ubezpieczenie granic Ukrainy drogą współpracy z głównymi sąsiadami, a więc z Rosją, Polską, Węgrami, Rumunią. Z grubsza biorąc – z wyjątkiem Bukaresztu – wiele mu się udało.

Nowy prezydent, Leonid Kuczma, uznał wyniki dyplomacji Krawczuka i Złenki za niedostateczne i wystąpił z postulatem rozwinięcia nowego programu „euro-azjatyckiego". Zwolnił Złenkę ze stanowiska i powołał na jego następcę Henadija Udowenkę, dotychczasowego ambasadora w Warszawie. Nowy minister był też, jak większość jego kolegów, absolwentem kijowskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych a przed nominacją pracował przy ONZ w Nowym Jorku. W ciągu swojej trzyletniej działalności Udowenko umocnił międzynarodową pozycję Ukrainy. Za jego sprawą rozwinęły się stosunki polsko-ukraińskie. Nabrały nowego tempa i rozmiarów relacje ze Stanami Zjednoczonymi. Doszło do podpisania umowy międzypaństwowej z Rosją. Ożywiła się współpraca z krajami Kaukazu, głównie z Azerbejdżanem i Gruzją, i z państwami Azji Środkowej, zwłaszcza z Kazachstanem, Turkmenią i Uzbekistanem. Umocniła się kooperacja z Turcją.

Udowenko uprawiał politykę według tradycjonalnych wzorów: ostrożnie, bez ryzykownych posunięć, stale w dążeniu do dialogu i kompromisu. Taka postawa, połączona z jowialnością i wrodzonym humorem, zapewniała mu dużo sympatii ze strony partnerów. Ale podobnie jak w wypadku Krawczuka, również drugi prezydent – Leonid Kuczma przejął bardzo szybko ster polityki zagranicznej i tak się jej poświęcił, że zaniedbał jeszcze bardziej niż jego poprzednik sprawy wewnętrzne i gospodarcze. Minister Udowenko wykonywał czarną robotę nie szczędząc ni czasu ni sił, a Kuczma jeździł na gotowe i zbierał laury. Do najważniejszych osiągnięć Henadija Udowenki należało zbliżenie z Polską,

Węgrami a potem z Rumunią. Na jego konto należy zaliczyć podpisanie w maju ubiegłego roku układu z Rosją, wytyczenie granicy z Białorusią, pogłębienie współpracy z Ameryką. Mniej efektywnie wygląda bilans stosunków z Niemcami, Francją, Anglią i Włochami. Ale jest to częściowa spuścizna bezczynności ukraińskich dyplomatów w tych krajach. Jakby zaokrągleniem kariery było powołanie Udowenki na przewodniczącego sesji generalnej ONZ na okres 1997-1998. Karierę kierownika MSZ dyplomata zakończył na wiosnę, decydując się na kandydaturę w wyborach do parlamentu z ramienia Ruchu. Działacze tego ugrupowania liczą na to, że doświadczenie i neutralna postawa w ukraińskich waśniach międzypartyjnych predystynują eksministra na zajęcie jakiejś kluczowej pozycji w Werchownej Radie bądź to przewodniczącego, bądź kierownika komisji spraw zagranicznych.

Nowy szef ukraińskiej dyplomacji, 49-letni Borys Tarasiuk, to tak samo absolwent ukraińskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych i również przeszedł przez praktykę w Nowym Jorku, a potem był szefem biura analiz i planowania. W pierwszych latach niepodległości odegrał ważną rolę na czele delegacji w rokowaniach z Rosją i Ameryką w sprawie gwarancji bezpieczeństwa i nietykalności Ukrainy, w zamian za rezygnację z broni atomowej. Innym sukcesem Tarasiuka było zorganizowanie międzynarodowej akcji z udziałem Rady Bezpieczeństwa ONZ przeciwko zaborczym planom deputowanych rosyjskiej Dumy wobec Krymu. Z czasem Tarasiuk jako pierwszy zastępca ministra spraw zagranicznych skoncentrował się na sprawach integracji Ukrainy w instytucjach euro-atlantyckich. Dlatego przejął przed rokiem stanowisko ambasadora w Brukseli, gdzie wytargował warunki współpracy z NATO, pertraktował też z Komisją Unii Europejskiej. W centrali biurokracji brukselskiej trudno znaleźć zwolenników współpracy z Ukrainą. Tarasiuk poznał ten teren i nie ma najmniejszych iluzji co do intencji tamtejszych urzędników. Brak jakiegokolwiek lobby we wpływowych kołach Unii staje się coraz bardziej dotkliwą luką w obronie europejskich interesów Kijowa. Będąc niedawno w Bonn, Kuczma prosił kanclerza Kohla o pomoc w Brukseli. Ale Niemcy mają już tylu klientów na głowie, że trudno im

będzie wykonać wszystkie prośby, zresztą Bonn nie ma w centrali Europy zręcznych polityków. Mści się niezbyt mądra taktyka, według której Bruksela była miejscem dla zsyłki najbardziej nieudolnych polityków znad Renu. Zupełnie odwrotną politykę stosuje Francja, ale wśród Francuzów Ukraińcy nie mają wzięcia.

Powołanie Tarasiuka zostało głośno powitane w kręgach prozachodnich Kijowa i Lwowa jako gwarancja zacieśniania stosunków z Zachodnią Europą i najbliższymi sąsiadami Ukrainy leżącymi na zachodnim szlaku. Potwierdził to nowy minister w jednym z najpierwszych oświadczeń. Wystąpił z projektem utworzenia smugi współpracy Ukraina-Polska-Niemcy, co się zresztą pokrywa z rozmaitymi oświadczeniami prezydenta Kwaśniewskiego. Jest też grupa w Rzeszowie pod kierunkiem profesora tamtejszego Instytutu Pedagogicznego, Banasiaka, a w Niemczech popularyzuje tę ideę dyrektor Instytutu Polskiego w Düsseldorfie, Kazimierz Wójcicki. Ale do szerszego poparcia tej myśli wśród polityków i publicystów niemieckich jeszcze bardzo daleko. Wywiązując się z programowych założeń, Tarasiuk pierwszą podróż odbył do Polski i Węgier. Dopiero później pojechał do Moskwy. Nie przysporzyło mu to tam sympatii. Jego oświadczenia o słuszności rozszerzenia Sojuszu Atlantyckiego na wschód zwłaszcza na Polskę i o tym, że za kilka lat Ukraina również przystąpi do paktu, doprowadziły do ochłodzenia stosunków rosyjsko-ukraińskich. Wyrazem tego jest odłożenie ratyfikacji Układu Rosyjsko-Ukraińskiego w moskiewskiej Dumie i przesunięcie terminu zapowiedzianego na czerwiec spotkania Jelcyn-Kuczma.

W bilansie porównawczym stosunki polsko-ukraińskie rozwijają się pomyślnie. Ważnym elementem było spotkanie prezydentów obu krajów przy odsłonięciu pomnika ku czci ofiar deportacji w ramach akcji „Wisła". Było to przedłużeniem podpisania aktu o pojednaniu sprzed roku w Kijowie i spotkania w sprawie Cmentarza Orląt we Lwowie na początku stycznia. Niejako zamykającą uroczystością tych akcji, zwróconych w stronę pamięci historycznej o tragicznych wydarzeniach w naszej wspólnej historii, będzie odsłonięcie pomnika przypominającego zamordowanie oficerów polskich w łagrach NKWD pod Charkowem, chociaż sprawa ta dotyczy raczej naszej wspólnej niedoli pod butem czerwonej Moskwy.

Ale trzeba myśleć o teraźniejszości i przyszłości. Dobrą zapowiedzią w tym kierunku współpracy był szczyt ekonomiczny w Rzeszowie. Jeżeli wytyczony tam przez przedsiębiorców i bankierów kurs się utrzyma i rozwinie, to może wejdziemy nareszcie na drogę kooperacji gospodarczej, bez której wszystkie deklamacje i rezolucje pozostają czczym słowem. Wystarczy spojrzeć na treść stosunków francusko-niemieckich lub polsko-niemieckich. Nasza dotychczasowa bardzo owocna współpraca, stała niestety na jednej, politycznej nodze. Brakowało jej drugiej nogi: gospodarczej. A bez niej nasza przyjaźń będzie zawsze kulała. Może ten Rzeszów naprawdę otworzy zawalony dotychczas uprzedzeniami, niewiarą, głupimi biurokratycznymi przepisami gościniec do wytyczenia programów ekonomicznej kooperacji. Polska jest w aktualnej sytuacji silniejszym partnerem, ale Ukraina ma wielki potencjał, który należy zmodernizować i wykorzystać. Kiedyś na Ukrainie pracowali polscy dyrektorzy i inżynierowie, zwłaszcza przy rozbudowie cukrownictwa. Trzeba sporządzić bilans możliwości i potrzeb i stworzyć obok istniejącego już Komitetu Doradczego prezydentów, o charakterze politycznym, Komitet Współpracy Gospodarczej. Gospodarka to wciąż jeszcze wielki ugór, i to prawie we wszystkich dziedzinach, a zwłaszcza w zupełnie zaniedbanej turystyce. A przecież mamy takie cuda jak Huculszczyzna.

Bohdan OSADCZUK

Specjalistyczne studia wschodnie

W roku akademickim 1998/1999 Studium Europy Wschodniej Uniwersytetu Warszawskiego otwiera magisterskie studia dzienne na całkowicie nowym w skali Polski kierunku uniwersyteckim.

Są to dzienne, dwuletnie, magisterskie studia uzupełniające, kształcące specjalistów zamierzających zajmować się problematyką Europy Wschodniej w instytucjach publicznych i prywatnych.

Studia są interdyscyplinarne, łączą w sobie elementy wiedzy o historii i polityce, gospodarce, kulturze, problematyce socjologicznej, narodowościowej i religijnej oraz etnologicznej regionu.

Warunkiem przyjęcia na studia jest:

– ukończony III rok studiów magisterskich lub licencjat (preferowane będą kierunki humanistyczne) ze średnią ocen (oceną) powyżej 4,0.

– zaliczony test z zakresu: Europa Wschodnia w XX wieku (od Bugu do Uralu i Kaukazu z podstawowymi wiadomościami o Syberii, Azji Środkowej i Zakaukaziu, Europie środkowej, i b. bloku komunistycznym oraz o stosunkach Wschód–Zachód): polityka, narody i społeczeństwa, kultura (z elementami wiedzy o okresach wcześniejszych, zwłaszcza od schyłku XVIII wieku)

– pozytywny wynik rozmowy kwalifikacyjnej z zakresu obejmowanego przez test oraz sprawdzającej znajomość języków obcych: angielskiego i rosyjskiego lub innego języka wschodnioeuropejskiego.

Studia organizowane są we współpracy i porozumieniu z wieloma instytutami naukowymi Uniwersytetu Warszawskiego, Polskiej Akademii Nauk, instytucjami analitycznymi (np. Ośrodek Studiów Wschodnich w Warszawie) oraz instytucjami państwowymi (np. Ministerstwo Spraw Zagranicznych).

W ramach programu studiów wykładać będą najwybitniejsi specjaliści zajmujący się problematyką wschodnią w Polsce w instytucjach naukowych, rządowych i gospodarczych. Kilka instytutów zachodnich zadeklarowało gotowość podjęcia stałej współpracy (np. Uniwersytety Columbia, Harvarda, w Oxfordzie i Londynie) a szereg wybitnych specjalistów z Europy Zachodniej i Ameryki Północnej współpracujących ze Studium będzie wykładać gościnnie.

Studia obejmują 1100 godzin zajęć obowiązkowych i fakultatywnych, w tym uczestnictwo w zajęciach międzynarodowej Wschodniej Szkoły Letniej. Możliwy jest udział w pracach (objazdy, badania terenowe) Studenckiego Koła

Naukowego przy Studium Europy Wschodniej, a po magisterium w studiach podyplomowych i doktoranckich. Fragmenty najciekawszych prac magisterskich mogą być publikowane w wydawanym przez Studium kwartalniku „Obóz".

Obecnie pertraktowane są umowy o aplikacjach dla najlepszych absolwentów studiów wschodnich w najważniejszych instytucjach państwowych i publicznych w Polsce oraz naukowych i publicznych na Wschodzie.

Postępowanie kwalifikacyjne (test, rozmowa, wyniki) odbędzie się w drugiej połowie września 1998 r.

Planuje się przyjęcie 15-20 osób. Bliższe informacje uzyskać można w Studium Europy Wschodniej.

Przyjęcia na *Specjalistyczne studia wschodnie (Europa Wschodnia)*

1. Test i rozmowa kwalifikacyjna odbędą sie w 2. połowie września 1998 r. (termin i miejsce zostaną podane w czerwcu 1998 r.)

2. Dokumenty należy składać od 1 do 30 czerwca oraz od 31 sierpnia do 5 września 1998 r. w sekretariacie Studium Europy Wschodniej w poniedziałki i środy w godzinach 15:30–17:00 (ul. Browarna 8/10, pok. 22 c).

3. Należy złożyć następujące dokumenty:
– formularz (otrzymany w sekretariacie Studium) z podaniem o przyjęcie i życiorysem,
– kserokopię wpisów do indeksu z sześciu semestrów (poświadczoną w macierzystym instytucie) oraz kserokopię dyplomu licencjata (w przypadku podjęcia studiów równoległych – również zgoda dziekana),
– 4 fotografie 37x52 mm,
– dowód wpłaty 50,- zł. (blankiet w sekretariacie Studium),
– 3 zaadresowane do siebie koperty ze znaczkami.

4. Nasz adres: Studium Europy Wschodniej, Uniwersytet Warszawski, ul. Browarna 8/10, pok. 22, 00-311 Warszawa, tel./fax 828 53 69 e-mail: studium@orent.uw.edu.pl

Informacji o kierunku studiów i postępowaniu kwalifikacyjnym udzielają członkowie Komisji Rekrutacyjnej w czasie dyżurów w poniedziałki (14:00-15:00) oraz środy (12:00-14:00) w sekretariace Studium.

Notatki Redaktora

„Cieszy mie ten rym: Polak mądry po szkodzie;
Lecz jeśli prawda i z tego nas zbodzie,
Nową przypowieść Polak sobie kupi,
Że i przed szkodą, i po szkodzie głupi"
Jan Kochanowski

Bardzo krytykuje się stan polskiego rolnictwa, a praktycznie nic o nim nie wiemy. Czy nie byłoby wskazane zorganizowanie na wzór Targów Poznańskich – Targów Rolniczych. Tego rodzaju wystawy odbywają się regularnie w Paryżu i mają wielkie powodzenie. Pozwoliłoby to na zapoznanie się z sytuacją rolnictwa oraz z produktami rolniczymi, a przecież wiele z nich jest znakomitej jakości, jak np. wędliny, o wiele lepsze niż francuskie. Znamy szereg przykładów powodzenia polskich produktów we Francji i Stanach Zjednoczonych, tego rodzaju wystawy mogłyby się przyczynić do powiększenia rynku krajowego i wzmożenia eksportu.

Unia Europejska wprowadziła bardzo surową kontrolę polskich mleczarń i zakładów mięsnych. Jest to posunięcie niewątpliwie bardzo pożyteczne, ale grozi niebezpieczeństwem, że cała uwaga będzie skoncentrowana na tych dobrze prosperujących zakładach i dopuszczonych do eksportu na Zachód, a reszta zakładów nie będzie odpowiadała tym normom i będzie produkowała swoje wyroby na rynek wewnętrzny. A więc, niezależnie od kontroli Unii Europejskiej, należy dbać z naszej strony o podniesienie poziomu wszystkich zakładów. Druga uwaga, że nie można się koncentrować wyłącznie na eksporcie na Zachód, bo okres wysyłania bubli na rynek wschodni już dawno się skończył i tam mamy rosnącą, ostrą konkurencję.

●

Problem młodzieży jest coraz bardziej niepokojący. Ilość

morderstw i innych przestępstw nieletnich bardzo rośnie, a reaguje się na to w sposób nieskoordynowany, jak np. dyskusyjne godziny policyjne dla młodych itp.

Ostatnio powstał konflikt między Związkiem Harcerstwa Polskiego a Związkiem Harcerstwa Rzeczypospolitej o dotację, co ma charakter czysto polityczny. Harcerstwo bowiem, które zresztą przeżywa kryzys, powinno być szkołą wychowania obywatelskiego i w pewnym stopniu mogłoby zastąpić przysposobienie wojskowe, które wygląda katastrofalnie. Należałoby utworzyć Ministerstwo dla spraw młodzieżowych, na przykład na wzór Francji, które by się tym problemem specjalnie zajęło. Naturalnie byłoby ważne aby minister i jego urzędnicy byli dobierani nie według klucza partyjnego, czy kościelnego, a tylko pod kątem ich kwalifikacji.

●

Polska wystawiła w Brukseli budynek dla polskiej misji przy Unii Europejskiej: ogromny, same marmury plus najnowocześniejsza elektronika i domek dla gości. Na honorowym miejscu w nowej siedzibie zawieszono obraz Starowieyskiego, przedstawiający Byka, który porywa niewinną Polskę w asyscie jakiejś dziewicy. Podpis pod obrazem brzmi: *Polonia divina rapta per Europa profana*. Nie dało się uniknąć skandalu choć przed inauguracją budynku starano się zamazać napis zostawiając jedynie słowa *Polonia divina* – co jest bez sensu, tym bardziej, że zamazano napis nieudolnie, tak że komisarz Van den Broek, który w towarzystwie ministra Geremka brał udział w inauguracji, zacytował cały podpis z bardzo ironicznym uśmiechem. Rzeczniczka polskiej placówki, Ewa Haczyk, oświadczyła: „to *licencia poetica* – artysta przedstawia Europę, której brak jest elementu duchowości, boskości i głębi". Ta sprawa plus afera Phare to nie tylko skandal, ale kompromitacja pana Czarneckiego i całej jego ekipy. Wszystko to dowodzi, że struktury rządowe nie są przygotowane do negocjacji, które będą coraz trudniejsze i kosztowniejsze a *casus* pana Czarneckiego, że u źródła bałaganu władzy w Warszawie leży najgorszego typu politykierstwo.

●

W tygodniku *Wprost* z 7 czerwca br. ukazał się artykuł Jerzego Surdykowskiego pt. „Odtajnione życiorysy", w którym przedstawia on życiorysy Juliana Starosteckiego i prof. Janusza Przemienieckiego, wybitnych aeronautów w Stanach Zjednoczonych. Jerzy Surdykowski wyraża ubolewanie, że ich wiedza i doświadczenie nie zostały wykorzystane przez Polskę. Abstrahując, że artykuł zawiera szereg nieścisłości – gdyż zarówno Starostecki jak i Przemieniecki nie byli w armii amerykańskiej, widać także, że Surdykowski nie znał wywiadu z Juliuszem Starosteckim, wydrukowanego w *Zeszytach Historycznych* Nr 117 z 1996 roku.

Sprawę niewykorzystania licznych wybitnych specjalistów w różnych dziedzinach, znajdujących się na emigracji, poruszałem wielokrotnie w moich notatkach i zawsze bezskutecznie. Do tej pory zresztą nie ma ewidencji tych specjalistów, a można by ich wyliczyć kilkuset. Pewną winę ponosi tu sam Jerzy Surdykowski, który był przecież wieloletnim konsulem generalnym w Nowym Jorku.

●

Prasa donosi, że nieliczni zresztą repatrianci z Kazachstanu, którzy zostali sprowadzeni do Polski, zamierzają wracać do Kazachstanu, gdyż wbrew wszystkim obietnicom nie otrzymali żadnej pomocy, którą im obiecano, a stosunek ludności do nich jest niechętny, jeżeli nie wrogi. Jest to kolejna klęska p. Stelmachowskiego, szefa Wspólnoty Polskiej. Jeszcze raz chciałbym podkreślić konieczność podporządkowania Wspólnoty Polskiej Ministerstwu Spraw Zagranicznych, jak to miało miejsce w II Rzeczpospolitej ze „Światpolem". Trzeba skończyć z tą dwutorowością polityki wobec Polonii i zaprzestać marnowania wielkich finansowych środków.

●

Skandal powodziowy. Ostatnie wylewy wykazały, że nic nie zrobiono i nie wyciągnięto żadnych wniosków z ostatniej wielkiej powodzi. Nic nie zrobiono w sprawie regulacji Odry i nie utworzono – tak jak sugerowałem – komisji polsko-czesko-niemieckiej, która by się tymi sprawami zajęła. Nie przeprowadzono reperacji wałów przeciwpowodziowych, nie mówiąc już o budownictwie. Jest niezrozumiałe niewykorzystanie wojska, które powinno dysponować sprzętem saperskim i mogłoby chociażby postawić prowizoryczne mosty, systemem Bayleya. Jeśli zaś wojsko tym sprzętem nie

dysponuje, to jest najwyższy czas by je weń wyposażyć. Na pomoc dla powodzian zebrano przecież ogromne pieniądze, z których do tej pory nie ma żadnego sprawozdania na co zostały wydatkowane. Jest najwyższy czas aby NIK przeprowadził kontrolę i żeby pełnomocnikiem do spraw powodzi został naprawdę ktoś kompetentny.

●

W *Rzeczpospolitej* z 1 czerwca 1998 znajduje się komentarz Piotra Winczorka pt.: „Zbawienna niekonsekwencja". Ze względu na ważność sprawy, którą porusza, zamieszczam jego tekst z niewielkimi skrótami:

„Opinię publiczną poruszyły ostatnio informacje o napływie do polskich urzędów żądań dawnych właścicieli, domagających się zwrotu nieruchomości położonych na obszarze naszych ziem zachodnich i północnych. Osoby te powołują się na swe tytuły prawne wywiedzione między innymi z ustawodawstwa niemieckiego obowiązującego na terenie Rzeszy przed 1945 rokiem. Władze rządowe słusznie uspokajają, że nie istnieje w świetle prawa polskiego i ustaleń międzynarodowych żadna możliwość rewindykacji majątków przez dawnych właścicieli niemieckich lub ich spadkobierców.

Zgodnie z unormowaniami, wprowadzonymi w Polsce po 1945 roku, a opartymi, co do swych międzynarodowych podstaw, na umowie poczdamskiej, dawni właściciele nie mogą liczyć na odzyskanie utraconych nieruchomości. Sytuacja zmieniłaby się, gdyby potraktowano poważnie i konsekwentnie urzeczywistniono jeden z bardziej oryginalnych pomysłów politycznych, jaki pojawił się ostatnio w naszym kraju.

Chodzi o propozycję uznania, że PRL, jako byt pozbawiony suwerenności i niedemokratyczny, był tworem nie dysponującym możliwością legalnego stanowienia i egzekwowania ustaw. Ponieważ w obrębie PRL znajdowały się ziemie zachodnie i północne, to – idąc konsekwentnie tą samą ścieżką – należałoby stanąć na stanowisku, że brak legitymacji PRL do tworzenia prawa rozciągał się również na te ziemie. Żaden akt prawodawczy stanowiony w latach 1944-1989 nie mógł tu, podobnie jak na terenach polskich, wejść w życie i obowiązywać. Jeśli tak, to zapytać można, jakie prawo obowiązywało tam w latach 1945-1989, skoro nie mogło to być nielegalne z samej zasady 'prawo' PRL? (...) Jeśli miałoby to być prawo Niemiec, to żądania rewindykacyjne byłych właścicieli nie byłyby aż tak wątpliwe, jak są w rzeczywistości.

Teraz o istnieniu ciągłości prawnej jedynie między II (1918-1944) a III (od 1989) Rzeczpospolitą, z pominięciem okresu Polski Ludowej (1944-1989) (...) mogłaby się okazać bardzo niebezpieczna z punktu widzenia polskich interesów na ziemiach zachodnich i północnych. Jest paradoksem, że znajduje ona niekiedy uznanie w oczach tych samych środowisk politycznych, które obawiają się powrotu żywiołu niemieckiego na te tereny. (...)

Miejmy nadzieję, że ustaw z czasów PRL, dotyczących zastanych w 1945 roku na ziemiach zachodnich i północnych stosunków majątkowych, nikt nie zechce uznać za takie – tu cytuję uchwałę Senatu – „na podstawie których dokonano niesprawiedliwego pozbawienia własności". Trzeba też ufać, że izby naszego parlamentu będą w przyszłości zarówno konsekwentne, jak i przewidujące w swej działalności uchwałodawczej."

●

W Bibliotece Uniwersytetu Jagiellońskiego znajdują się manuskrypty utworów wielkich niemieckich mistrzów muzyki. Były one wywiezione przez Niemców pod koniec wojny z Berlina na wschód dla zabezpieczenia ich przed nalotami aliantów. Niewątpliwie, zarówno ze względów moralnych jak i prawnych należałoby te manuskrypty zwrócić. Sądzę, że powinniśmy tego rodzaju gest zrobić, chociażby z wdzięczności za tak życzliwy stosunek Republiki Niemieckiej w sprawie wejścia Polski do NATO i Unii Europejskiej.

●

Rosną nowi kombatanci. Ostatnio organizacje, które skupiają osoby represjonowane w latach 80-tych, domagają się przyznania swoim członkom statusu kombatanta. Zapewne okaże się, że osób represjonowanych w tym okresie było szereg tysięcy. Prawdopodobnie trzeba oczekiwać w najbliższym czasie domagań o odszkodowanie za poniesione straty zarówno materialne jak i moralne.

REDAKTOR

Kronika kulturalna

Archiwa i kolekcje emigracyjne w Polsce

Gromadzone w Polsce zbiory rękopisów i archiwalia dotyczące wybitnych osobistości polskiego wychodźstwa po 1939 roku są coraz bogatsze, ale ich deponowanie w wielu miejscach powoduje bałagan i zupełny niemal brak informacji o ich istnieniu. Niniejszy, bardzo orientacyjny spis, oparty o lekturę drukowanych inwentarzy bibliotecznych i archiwalnych oraz kwerendę rozpisaną w końcu ub. roku i rozesłaną do krajowych muzeów, bibliotek, archiwów i instytucji naukowych, pozwoli być może zorientować się w zasobach zarówno badaczom, jak i potencjalnym ofiarodawcom.

Podstawowym źródłem informacji o kolekcjach emigracyjnych i polonijnych w Polsce jest powstała w 1981 roku, z inicjatywy nie żyjącego już Andrzeja Kłossowskiego, seria „Zbiory i prace polonijne bibliotek polskich". Ukazało się siedem tomów. Informatory po swoich zbiorach przygotowały: Biblioteka Narodowa (1982), Muzeum Literatury im. A. Mickiewicza (1984), Biblioteka Publiczna M. st. Warszawy (1987), Biblioteka Ossolineum (1993), Biblioteka Raczyńskich (1994), Biblioteka Uniwersytecka w Poznaniu (1995), Biblioteka Jagiellońska (1997). W druku bądź redakcji są informatory bibliotek uniwersyteckich – w Warszawie, Łodzi, Wrocławiu i Toruniu – bibliotek Polskiej Akademii Nauk w Krakowie i Kórniku, Centralnej Biblioteki Wojskowej i Biblioteki Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Obejmą z czasem wszystkie największe biblioteki o profilu humanistyczno-społecznym. Podstawową informację o

innych kolekcjach zawiera wydany w 1994 roku informator Kazimiery Z. Szymańskiej pt. „Muzea literackie w Polsce".

ZBIORY ARCHIWALNE W POLSCE

Szkoły wyższe:

Biblioteka Uniwersytetu Warszawskiego w Warszawie:
w gabinecie zb. muzycznych posiada spuścizny kompozytorskie: Romana Palestra (rękopisy muzyczne, korespondencja, fotografie i audycje RWE), Tadeusza Z. Tasserna (rękopisy muzyczne i korespondencje), Michała Kondrackiego (jw.) i Feliksa Łabuńskiego. W gabinecie rękopisów znajdują się archiwa i fragmenty kolekcji następujących osób: Eugeniusza Jarra, prawnika (materiały do działalności publicystycznej oraz maszynopisy i autografy prac autorskich); Janusza Rakowskiego, prawnika, polityka (mat. do działalności politycznej, wspomnienia i korespondencje); Jeremiego Stempowskiego, działacza polonijnego z Argentyny (zawiera m.in. korespondencję z Jerzym i Stanisławem Stempowskimi) oraz archiwa i spuścizny naukowców i działaczy polonijnych m.in.: Stefana Strelcyna, Antoniego Subocza, Domana Wielucha, Zdzisława Woydata.

Biblioteka Instytutu Filozofii, Socjologii i Logiki Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław:
otrzymany w darze prywatny księgozbiór Zbigniewa Pełczyńskiego z Oxfordu.

Biblioteka KUL w Lublinie:
archiwum Zygmunta Ławrynowicza, zawierające manuskrypty utworów literackich, notatniki, korespondencje i fotografie. KUL posiada ponadto fragment rękopiśmiennej spuścizny Karola Popiela i K. Sieniewicza, dotyczący polskiej i międzynarodowej chrześcijańskiej demokracji.

Biblioteka Uniwersytecka UMCS w Lublinie:
archiwum Rose Bailly (1890-1976), pisarki, poetki, tłu-

maczki i wielkiej przyjaciółki Polaków. Archiwum zawiera liczne korespondencje pisarzy polskich.

Biblioteka Śląska, Katowice:
księgozbiór Kazimierza Smogorzewskiego, wydawcy, publicysty i dziennikarza mieszkającego w Londynie, podarowany przez wdowę (2400 vol.).

Wyższa Szkoła Pedagogiczna, Bydgoszcz:
spuścizna Wandy i Karola Poznańskiego, dyplomaty, polityka, publicysty i działacza społecznego. Zawiera prócz archiwum prywatnego również archiwalia do dziejów dyplomacji polskiej, meble, pamiątki, nagrania dźwiękowe i dzieła sztuki. Ambicją WSP w Bydgoszczy jest przekształcenie jej w uniwersytet i utworzenie Muzeum Dyplomacji ma jej w tym bardzo dopomóc.

Inne biblioteki i instytuty naukowe:

Biblioteka Narodowa, Zbiory Specjalne, Warszawa:
spuścizna Bronisława Przyłuskiego podarowana przez Barbarę Gaździk. Archiwum zawiera spuściznę literacką, korespondencje, materiały biograficzne i wspomnienia z lat wojny. Ponadto w zbiorach graficznych znajduje się 300 prac malarskich Marka Łaczyńskiego. BN posiada również spuściznę Samuela Tyszkiewicza, wydawcy i typografa, zakupione w 1978 roku od wdowy, zawierające komplet wydawnictw Oficyny, korespondencje, a nawet maszyny drukarskie i klocki drzeworytowe.

Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław:
bogate zbiory rękopisów obejmujące: archiwum Klaudiusza Hrabyka (zawiera dokumentację działalności politycznej i publicystycznej, wspomnienia, dzienniki, korespondencję i materiały biograficzne), kolekcję dokumentów dot. wypraw kurierskich Jana Nowaka-Jeziorańskiego, archiwum Kazimierza Sosnkowskiego, przekazane przez wdowę w 1984 roku (papiery osobiste, związane z działalnością polityczną i wojskową, korespondencje i prace autorskie), obszerne i bardzo cenne archiwum Stanisława Vincenza, przekazane przez syna w 1991 roku (bruliony, materiały warsztatowe, korespondencje, rękopisy i wycinki prasowe), archiwum Stanisława Wygodzkiego, przekazane przez wdowę w 1995 roku (korespondencje, litteraria i inne prace autorskie, materiały biograficzne) oraz archiwum Tadeusza Żenczykowskiego, podarowane przez wdowę w 1997 roku (dokumentacja pracy w RWE, dokumentacja do dziejów emigracji, papiery osobiste, prace autorskie). Ossolineum posiada ponadto archiwa działaczy polonijnych: Piotra Adamowskiego ze Szwajcarii, Wacława Gąsiorowskiego z Francji, Jana Morelowskiego ze Stanów Zjednoczonych, ks. Bolesława Szuberlaka z Wielkiej Brytanii oraz archiwa instytucji polonijnych: Klubu Polsko-Kanadyjskiego w Ottawie, Stronnictwa Narodowego na Wschodzie. W Zakładzie znajduje się również fragment archiwum Rose Bailly, oddanego przyjaciela Polaków i literatury polskiej.

Centralna Biblioteka Wojskowa, Warszawa:
fragment archiwum gen. Antoniego Szylinga oraz archiwum gen. Jerzego Grobickiego. Biblioteka posiada też spuściznę pisarską Aleksandra Grobickiego, syna generała, publikującego również pod ps. „Jacek Brzezina".

Biblioteka Raczyńskich, Poznań:
zbiory po dwóch wybitnych emigrantach: Bolesławie Leitgeberze i Edwardzie Raczyńskim. Papiery Aleksandry i Bolesława Leitgeberów (1919-1996) zawierające prócz księgozbioru (537 vol.), dzienniki, wspomnienia, notatki, szkicowniki, dokumenty osobiste oraz albumy fotografii i albumy malarskie. Niewielka spuścizna po Edwardzie Raczyńskim zawiera jedynie fragment księgozbioru.

Książnica Miejska, Toruń:
archiwum Oficyny Stanisława Gliwy (1910-1986) podarowane bibliotece przez wdowę po nim, Marię, w 1992 roku. Dar zawiera, prócz archiwum dokumentującego wieloletnią działalność oficyny i dorobek twórczy Stanisława Gliwy (m.in. wszystkie druki oficyny), także korespondencje z przyjaciółmi i autorami wydawanych utworów literackich i ksią-

żek historycznych, rysunki i grafikę ilustrującą drukowane książki, podręczną bibliotekę z licznymi dedykacjami, pamiątki osobiste, a także oryginalne klocki linorytów.

Książnica Pomorska, Szczecin:
archiwum Marii Kureckiej i Witolda Wirpszy (część arch. W. Wirpszy znajduje się w berlińskiej Akademie der Kunste) – zawiera dokumentację działalności literackiej krajowej i emigracyjnej oraz obszerną korespondencję; archiwum Marii Bonieckiej, pisarki i poetki mieszkającej od lat 60-tych w Australii, ofiarowane przez córkę; fragment archiwum Anny Frajlich; materiały z archiwum Elżbiety Szemplińskiej-Sobolewskiej (na emigr. do 1962 r.), pisarki i poetki, w tym rękopisy i maszynopisy prac literackich; materiały z archiwum Józefy Radzymińskiej (na emigr. do 1962 r.), pisarki, w tym maszynopisy powieści i wycinki prasowe. Interesujące „emigraciana" znajdują się ponadto w kolekcjach: Kazimierza Studentowicza, Stanisława Strumph Wojtkiewicza, Stefana Flukowskiego i innych.

Wojskowy Instytut Historyczny, Rembertów:
papiery i listy po Aleksandrze Ładosiu (1889-1963) (ps. Nienaski), działaczu politycznym i publicyście prasy emigracyjnej.

Biblioteki PAN:

Instytut Badań Literackich PAN, Warszawa:
w zbiorach specjalnych materiały archiwalne dotyczące kilku pisarzy emigracyjnych: Stanisława Barańczaka, Andrzeja Bobkowskiego (liczne korespondencje z rodziną w kraju) Mariana Czuchnowskiego, Witolda Gombrowicza, Jana Lechonia (rękopisy wierszy i listy do przyjaciół-emigrantów), Czesława Miłosza (korespondencja z J. Iwaszkiewiczem) i Eugeniusza Żytomirskiego (rękopisy i maszynopisy literackie). Są to jednak – z wyjątkiem kolekcji Jana Lechonia – archiwalia przedwojenne lub o proweniencji krajowej, głównie maszynopisy literackie i korespondencje z rodziną i przyjaciółmi w Polsce.

Instytut Sztuki PAN, Zbiory Specjalne, Warszawa:
fragmenty archiwum prywatnego Toli Korian, Tymona Terleckiego, Władysława Prus-Olszewskiego, Stanisława Marczak-Oborskiego, Bronisława Horowicza, Antoniego Plutyńskiego, Zygmunta Turkiewicza oraz Kazimiery Dąbrowskiej. Ponadto w archiwum Bohdana Urbanowicza znajdują się liczne korespondencje Cz. Miłosza, J. Czapskiego, H. Gotliba i in.

Biblioteka PAN, Kraków:
fragment archiwum Jana Hulewicza, w którym znajduje się 80 listów Tymona Terleckiego z lat 1946-1979, materiały i korespondencje Zygmunta Nowakowskiego do Celiny Otowskiej 1848-1963, korespondencje Józefa Hieronima Retingera z lat międzywojennych, fragment spuścizny naukowej i korespondencji Stanisława Kota z lat 1911-1964, materiały dotyczące emigracji Jerzego Zdziechowskiego oraz listy i wycinki prasowe do biografii Jana Lechonia podarowane przez Irenę Leszczyńską Fiszerową.

Biblioteka PAN, Gdańsk:
materiały rękopiśmienne dotyczące twórczości pisarskiej Bohdana Nagórskiego i marynisty Bronisława Miazgowskiego, w tym przede wszystkim maszynopisy i rękopisy powieści, materiały biograficzne i korespondencje.

Biblioteka Kórnicka PAN, Kórnik:
obszerne archiwum Jędrzeja Giertycha, pisarza i publicysty politycznego, z lat 1946-1992, podarowane przez syna – Macieja Giertycha. Archiwum zawiera materiały biograficzne, związane z działalnością polityczną, publikacje historyczne i polityczne własne, materiały do dziejów Kościoła Katolickiego, korespondencję i inne. Biblioteka posiada ponadto: księgozbiór Jana Kazimierza Tarnowskiego z Urugwaju (ok. 3000 vol.), materiały płk. Stanisława Oyrzyńskiego – głównie dotyczące PSZ na Zachodzie oraz działalności kombatanckiej i społecznej Oyrzyńskiego w latach 1950-1965, w tym pamiętniki, wspomnienia, korespondencja i materiały publikowane.

Muzea:

Muzeum Narodowe, Kraków: w Dziale Rękopisów spuścizna rękopiśmienna (dar rodziny) po Marii i Józefie Czapskich z Maisons-Laffitte. Archiwalia obejmują obszerne korespondencje obojga rodzeństwa, rękopisy literackie i notatki, prace malarskie i szkicowniki oraz dzienniki Józefa Czapskiego.

Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza, Warszawa: materiały rękopiśmienne i pamiątki po Ignacym Balińskim, Stanisławie Balińskim (twórczość własna i korespondencje głównie z daru Bolesława Szcześniaka, którego archiwalia znajdują się również w Bibliotece Polskiej w Londynie), Melchiorze Wańkowiczu, Wacławie Grubińskim, Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, Wicie Tarnawskim, Józefie Wittlinie, Andrzeju Józefie Teslarze, Janie Brzękowskim (rękopisy, maszynopisy, korespondencje i liczne pamiątki). W 1989 roku utworzony został w Muzeum gabinet Kazimierza Wierzyńskiego z materiałów podarowanych przez syna i bratanka poety. W 1997 roku trafiły do Muzeum: księgozbiór, rękopisy i pamiątki związane z Konstantym Aleksandrem Jeleńskim, oraz fragmenty księgozbiorów Aleksandra Janty-Połczyńskiego.

Muzeum Literackie im. J. Czechowicza, Lublin: archiwum literackie i naukowe Danuty Mostwin, podarowane w 1995 roku oraz duży fragment księgozbioru Wacława Iwaniuka, podarowany przez poetę w 1997 roku.

Zamek Królewski, Warszawa: spuścizna naukowa i prywatne archiwum Adama Heymowskiego, najwybitniejszego polskiego heraldyka mieszkającego w Szwecji.

Muzeum Archidiecezji Warszawskiej, Warszawa: kilkadziesiąt prac malarskich, graficznych i rzeźbiarskich Adama Kossowskiego z Wielkiej Brytanii, podarowane w 1994 roku przez Stefanię Kossowską oraz liczne inne prace artystów emigracyjnych.

Muzeum Pawlikowskich, Zakopane: archiwum Michała Pawlikowskiego (1887-1970).

Muzeum Jana Kasprowicza na Harendzie, Zakopane: fragment papierów Michała Choromańskiego, w tym dotyczące emigracji pisarza.

●

W instytucjach tych archiwalia emigracyjne stanowią fragment innych, znacznie rozleglejszych i cenniejszych kolekcji rękopiśmiennych i bibliotecznych, i same nie tworzą osobnych zespołów. Jedyną w Polsce instytucją naukową, gromadzącą wyłącznie dokumentację do dziejów emigracji po 1939 roku, jest Archiwum Emigracji Biblioteki UMK w Toruniu.

W początkach lat 80-tych trafiła do Biblioteki UMK obszerna, licząca kilkanaście tysięcy woluminów, pierwsza część księgozbioru ofiarowanego przez Bronisława Mazowieckiego, księgarza i antykwariusza polskiego, zmarłego w 1997 roku w Paryżu. Wiosną 1994 roku redaktor paryskiej *Kultury* podarował toruńskiej Bibliotece Uniwersyteckiej księgozbiór prywatny Marii i Józefa Czapskich, gromadzony w Maisons-Laffitte pod Paryżem, który zawiera ok. 1,5 tys. woluminów książek polskich i obcych: wiele z dedykacjami oraz z marginaliami obojga Czapskich i rysunkami Józefa Czapskiego. Również w 1994 roku, decyzją Stefanii Kossowskiej i przy wsparciu finansowym Jana Badeniego z Fundacji z Brzezia Lanckorońskich, Uniwersytet otrzymał najważniejszą kolekcję emigracyjną, jaka trafiła do Polski w latach powojennych: archiwum redakcyjne tygodnika literackiego *Wiadomości* z lat (1940) 1946-1981. Wartość archiwum podnosi fakt, że jest ono jednym z dwóch istniejących (obok archiwum *Kultury* paryskiej) kompletnych archiwów dużych pism literackich emigracji i jedynym tego typu zespołem w kraju.

W latach 1995-1997 Biblioteka UMK pozyskała ponadto kilkadziesiąt innych kolekcji archiwalnych. W 1996 roku

utworzone zostało w strukturze Oddziału Rękopisów Biblioteki UMK Archiwum Emigracji, które zajmuje się gromadzeniem i opracowywaniem pozyskiwanych darów – archiwaliów i kolekcji literackich wybitnych polskich pisarzy, publicystów i artystów emigracyjnych:

1. Archiwum redakcyjne tygodnika literackiego *Wiadomości* z lat (1940) 1946-1981, zawierające ok. 100 tys. listów niemal wszystkich polskich pisarzy mieszkających na obczyźnie i wielu wybitnych pisarzy krajowych, drobne rękopisy i maszynopisy utworów literackich, wycinki prasowe, akta Nagrody *Wiadomości* – literackiego wyróżnienia przyznawanego na obczyźnie w latach 1959-1993, fotografie, redakcyjną bibliotekę, kartoteki współpracowników i prenumeratorów pisma, pamiątki po redaktorach tygodnika, wyposażenie pokoju redakcyjnego – meble, obrazy itp., oraz komplet czasopism wydawanych przez M. Grydzewskiego.

2. Księgozbiór prywatny Marii i Józefa Czapskich.

3. Archiwum księgarni i wydawnictwa Libella, wydawnictwa płytowego Ballada oraz Galerie Lambert, założonych i prowadzonych przez Kazimierza Romanowicza w Paryżu z lat 1946-1993. Zawiera obszerną korespondencję z polskimi pisarzami emigracyjnymi i krajowymi, czytelnikami i artystami wystawiającymi w galerii, dokumentację działalności wszystkich instytucji, druki reklamowe, wycinki prasowe, fotografie, plakaty i pamiątki, itp.

4. Archiwum *Środy Literackiej*, dodatku literackiego londyńskiego *Dziennika Polskiego* redagowanego w latach 1983-1984 przez Janusza Jasieńczyka, a od 1985 roku przez Stefanię Kossowską, zawierające korespondencję z pisarzami, autografy tekstów, fotografie, wycinki prasowe, rysunki z lat 1983-1995. Archiwum jest uzupełniane.

5. Archiwum londyńskiego teatru dla młodzieży „Syrena" z lat, gdy kierownikiem była Regina Kowalewska. Archiwum zawiera maszynopisy sztuk teatralnych, korespondencje, projekty dekoracji i oprawy muzycznej oraz druki ulotne.

6. Prywatne archiwum literackie i rodzinne Zofii Romanowiczowej, polskiej pisarki mieszkającej w Paryżu. Zawiera rękopisy książek, korespondencję z pisarzami, przyjaciółmi, czytelnikami i wydawcami, fotografie, książki itp.

7. Prywatne archiwum literackie Stefanii Kossowskiej, pisarki, ostatniej redaktorki londyńskich *Wiadomości*. Zawiera rękopisy prac autorskich, korespondencję z autorami i przyjaciółmi, bibliotekę, wycinki prasowe i pamiątki. Archiwum jest uzupełniane.

8. Prywatne archiwum literackie Michała Chmielowca, pisarza i poety i tłumacza, redaktora *Wiadomości* w latach 1967-1974, podarowane przez wdowę Irenę Hradyską. Zawiera obszerną i bogatą korespondencję redakcyjną i prywatną, rękopisy książek i artykułów, fotografie, dokumentację współpracy z RWE i Głosem Ameryki, wycinki prasowe i pamiątki.

9. Prywatne archiwum literackie i redakcyjne Juliusza Sakowskiego, pisarza i kierownika londyńskiej Polskiej Fundacji Kulturalnej. Archiwum podarowane przez Wandę Lesisz zawiera prywatną i redakcyjną korespondencję z najwybitniejszymi pisarzami polskiej emigracji z lat 1950-1976.

10. Prywatne archiwum Natana Grossa, pisarza, reżysera i publicysty mieszkającego w Izraelu. Zawiera korespondencję z pisarzami polskimi i przyjaciółmi, rękopisy, wycinki prasowe itp. Archiwum jest uzupełniane.

11. Prywatne archiwum Janiny Kościałkowskiej, pisarki mieszkającej we Francji (oraz częściowo jej męża i rodziny). Zawiera korespondencję z pisarzami oraz maszynopisy i rękopisy prac autorskich. Archiwum jest uzupełniane.

12. Archiwum Wacława Iwaniuka, poety mieszkającego w Kanadzie. Zawiera obszerną korespondencję, nieliczne rękopisy, fotografie, wycinki prasowe i materiały do biografii, książki autorskie, część księgozbioru z dedykacjami oraz obrazy i pamiątki.

13. Fragment archiwum Olgi Scherer, pisarki i historyka literatury, mieszkającej w Paryżu. Zawiera rękopisy prac literackich i naukowych oraz korespondencję z pisarzami i przyjaciółmi.

14. Prywatne archiwum literackie i polityczne Janusza Kowalewskiego, pisarza, dziennikarza i publicysty zmarłego w 1996 roku w Londynie, podarowane przez pisarza oraz rodzinę. Zawiera rękopisy, obszerną korespondencję literacką i zawodową, wycinki prasowe i archiwalia z lat wojny, nagrania i dokumenty.

15. Prywatne archiwum Marty Reszczyńskiej-Stypińskiej, poetki, dramatopisarki polskiej, zmarłej w Londynie, podarowane przez córkę, Hannę Rawicz-Essigman. Zawiera maszynopisy i rękopisy autorskie, korespondencje, fotografie i nagrania dźwiękowe oraz pamiątki.

16. Prywatne i literackie archiwum Tamary Karren-Zagórskiej, poetki i dramatopisarki zmarłej w kwietniu 1997 r. w Londynie. Zawiera korespondencję z pisarzami i przyjaciółmi, rękopisy sztuk teatralnych, wycinki prasowe, obszerną dokumentację fotograficzną oraz cenne teatralia emigracyjne.

17. Prywatne archiwum Janusza Poray-Biernackiego, pisarza i tłumacza, redaktora prasy emigracyjnej, zmarłego w Londynie w 1996 roku, podarowane przez wdowę Lucynę Poray-Biernacką. Zawiera materiały z pracy redakcyjnej, korespondencje prywatne i rodzinne, rękopisy prac, fotografie, książki autorskie, obrazy i pamiątki.

18. Księgozbiór oraz archiwum pisarskie i rodzinne Jana Ulatowskiego, historyka sztuki, dziennikarza zmarłego we Francji w styczniu 1997 roku, podarowane przez Annę Micińską. Zawiera rękopisy i maszynopisy prac własnych i obcych, obszerną korespondencję, wycinki prasowe, fotografie i nagrania rozmów z pisarzami oraz księgozbiór.

19. Archiwum literackie i prywatne Anieli Micińskiej, tłumaczki mieszkającej i zmarłej we Francji, podarowane przez Annę Micińską. Zawiera korespondencję, maszynopisy i rękopisy obce, fotografie i pamiątki.

20. Prywatne archiwum Edwarda Chudzyńskiego, poety i dramatopisarza, zmarłego w Londynie, autora kabaretu „Pech". Archiwum podarowane przez wdowę Halinę Chudzyńską zawiera sztuki teatralne, poezje i dokumenty oraz nagrania dźwiękowe kabaretu.

21. Prywatne i rodzinne emigracyjne archiwum Sławoja Felicjana Składkowskiego, ostatniego przed wojną premiera rządu RP, po wojnie pisarza i autora wspomnień, podarowane przez wdowę. Zawiera korespondencję rodzinną i literacką, maszynopisy i rękopisy prac autorskich, fotografie, pamiątki, wycinki prasowe i nieliczne dokumenty.

22. Fragment archiwum Wacława Zagórskiego, redaktora *Tygodnia Polskiego,* autora książek o powstaniu warszawskim, podarowane przez wdowę, Tamarę Karren. Zawiera korespondencję z czytelnikami jego książek, współpracownikami *Tygodnia* i przyjaciółmi oraz roczniki redagowanego pisma.

23. Archiwum prywatne Tadeusza Polanowskiego, pisarza i poety zmarłego w Szwecji w 1995 roku, podarowane przez wdowę, Stanisławę Polanowską. Zawiera korespondencję literacką, wycinki prasowe, materiały z pracy dziennikarskiej i literackiej itp. Archiwum jest uzupełniane.

24. Archiwum Jadwigi Jurkszus-Tomaszewskiej, pisarki zmarłej w Kanadzie, podarowane przez męża, Adama Tomaszewskiego. Zawiera rękopisy, korespondencję, prace autorskie i dedykacje, wycinki prasowe, książki autorskie, materiały do słownika pisarzy emigracyjnych oraz pamiątki.

25. Archiwum Tadeusza Wittlina, pisarza i dziennikarza z USA. Zawiera rękopisy i maszynopisy prac autorskich, korespondencję, fotografie, itp. Archiwum jest uzupełniane.

26. Fragment archiwum i kolekcja rysunków Jana Mariana Kościałkowskiego, malarza, rzeźbiarza i rysownika zmarłego w Anglii, podarowane przez wdowę, Lidię Kruszyńską-Kościałkowską. Zawiera rękopisy dziennika, korespondencję i pamiątki.

oraz różnej wielkości fragmenty archiwów:

Krzysztofa Muszkowskiego, Hanny Bogusławskiej, Zofii Bobowicz, Williama Markiewicza, Piotra Guzego, Lecha Paszkowskiego, Bolesława Leitgebera, Jana Kotta, Józefa Kisielewskiego, Wiesława Wohnuta, Ryszarda Loewa, Witolda Leitgebera, Władysława Żeleńskiego, Zygmunta Haupta, Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, Mai E. Cybulskiej, Władysława R. Szomańskiego, Włodzimierza M. Drzewienieckiego, Wacława Hryniewicza-Bakierowskiego, Barbary Czapliskiej, Ireny Syput, Ryszarda Demela, Jana Krok-Paszkowskiego, Róży Nowotarskiej, Stanisława Wujastyka, Stanisława Łysiaka.

Ponadto dokumenty i publikacje do dziejów Polskich Oddziałów Wartowniczych przy Armii Amerykańskiej w Niemczech i Francji; archiwum korespondencji i wycinków prasowych Krystyny Łopuszańskiej dotyczących Polonii i emigracji polskiej w Australii; materiały prasowe i publikacje

dotyczące Archiwum Polonii w Orchard Lake, podarowane przez ks. dr. Romana Nira; nagrania rozmów z pisarzami emigracyjnymi, m.in. Jerzym Giedroyciem, Włodzimierzem Sznarbachowskim, Czesławem Miłoszem, Józefem Czapskim oraz materiały filmowe.

Osobną kolekcję stanowi Galeria Sztuki emigracyjnej. Zawiera prace malarskie, rzeźbiarskie i grafikę, m.in.: J. Czapskiego, J. Lebensteina, F. Topolskiego, M. Bohusza-Szyszko, Z. Turkiewicza, M. Rudnickiego, A. Kossowskiego, M. Kościałkowskiego, M. Walentynowicza, J. Boguckiej, R. Malczewskiego i innych.

●

Archiwalia gromadzone w Polsce stanowią warsztat źródłowy do badań nad dziejami wychodźstwa polskiego po 1939 roku. Znaczenie naukowe tych materiałów oraz wartość badawcza zależą w głównej mierze od ich kompletności i rozlokowania. Najwłaściwsze, jak się wydaje, jest takie gromadzenie archiwaliów, które daje badaczom możliwość dostępu do wielu różnych materiałów w jednym miejscu. Nie oznacza to konieczności deponowania wszystkiego w jednej bibliotece – jest to niemożliwe – należy jednak dążyć do nierozpraszania w przyszłości wartościowych kolekcji poza ośrodkami, które posiadają w tym względzie pewną tradycję.

Samo gromadzenie, porządkowanie i opracowywanie archiwalnych zbiorów emigracyjnych to jednak dopiero początek. Ośrodki posiadające tego typu zbiory powinny dążyć również do gromadzenia i opracowywania relacji i wspomnień żyjących pisarzy i wybitnych osobistości emigracji polskiej, do gromadzenia księgozbiorów, organizowania wystaw, seminariów naukowych, przygotowywania publikacji itp. Same powinny inicjować badania naukowe w oparciu o posiadane zbiory. W Polsce warunki takie spełnia zaledwie kilka instytucji, w tym przede wszystkim Biblioteka Narodowa, Muzeum Literatury, Biblioteka Jagiellońska i Biblioteka KUL oraz Archiwum Emigracji BUMK w Toruniu.

Archiwum wydaje serię opracowań naukowych pod wspólnym tytułem: Archiwum Emigracji, której redaktorami są Stefania Kossowska (z Londynu) i Mirosław A. Supruniuk

(z Torunia). W ramach serii ukazywać się ma pięć rodzajów publikacji:

1. rękopisy i korespondencje znajdujące się w archiwum (w tym rękopisy tak wybitnych pisarzy jak: Gombrowicz, Miłosz, Iwaniuk, Czapski, Mackiewicz, Wańkowicz, Lechoń, Tyrmand, Wierzyński, Herling-Grudziński i inni);
2. relacje i wspomnienia emigracyjne żyjących pisarzy i wybitnych osobistości emigracji polskiej, spisane i nagrywane na taśmy;
3. monograficzne zbiory twórczości najwybitniejszych pisarzy emigracyjnych (antologie tekstów mało znanych – głównie z *Wiadomości* i *Środy Literackiej*);
4. zbiory szkiców i opracowania naukowe poświęcone emigracji;
5. bibliografie i opracowania biobibliograficzne.

Ukazało się sześć tomów: dwa pierwsze zatytułowane „*Wiadomości* i okolice", zawierają szkice i wspomnienia na temat kręgu literackiego emigracyjnych *Wiadomości*. W ich realizacji wzięło udział prawie 50 osób, w tym ponad 30 z emigracji. Było to pierwsze tak wielkie zaangażowanie się pisarzy-emigrantów w działalność naukową w Polsce. Tom trzeci to książka poświęcona paryskiej Libelli i Galerie Lambert Kazimierza Romanowicza; czwarty – wspomnienia Wacława Iwaniuka o J. Łobodowskim wraz z korespondencją, pt. „Ostatni romantyk". Kolejny tom, piąty, to pierwszy numer czasopisma naukowego poświęconego dziejom kultury emigracyjnej. Czasopismo redagowane przez Janusza Kryszaka i Mirosława A. Supruniuka nosi tytuł *Archiwum Emigracji. Studia-Szkice-Dokumenty*. Tom ostatni stanowi zbiór szkiców o sztuce autorstwa Stanisława Frenkla, znakomitego malarza polskiego mieszkającego w Londynie, pt. „Kożuchy w chmurach i inne eseje o sztuce".

W planach serii są ponadto: materiały z sesji naukowej poświęconej Józefowi Wittlinowi zorganizowanej przez Annę Frajlich w USA, monografia twórczości literackiej i korespondencja Zygmunta Haupta, wspomnienia Stefanii Kossowskiej pt. „Przyjaciele i znajomi", ankieta *Wiadomości* o Witoldzie Gombrowiczu, katalog biblioteki Czapskich oraz

katalog Archiwum *Wiadomości* i bibliografia zawartości treści *Wiadomości* za lata 1940-1981.

●

Trwa swoiste „polowanie" na archiwa emigracyjne, w którym bierze udział coraz więcej instytucji i osób prywatnych. Coraz zmyślniejsze są też argumenty. Budowane są np. specjalne „muzea" poświęcone emigracji. W tym ogólnym bałaganie dziwić musi jednak głośny i mało racjonalny protest bibliotek polskich w Paryżu i Londynie, które same, tak ze względów lokalowych jak i finansowych, nie są w stanie roztoczyć opieki nad wszystkimi spuściznami po emigrantach. Powinny zatem wspierać starania tych kilku instytucji w Polsce, które mogą zagwarantować właściwą opiekę nad cennymi archiwaliami (posiadają odpowiednią kadrę naukową i odpowiednie zbiory biblioteczne – to minimum) i są zainteresowane promocją nie tyle własnych ambicji, co dorobku kultury emigracyjnej. Służyć im radą i pomocą.

Mirosław Adam SUPRUNIUK

Kontakt '98

Dziwny był tegoroczny festiwal w Toruniu: z dobrym początkiem i końcem, a zapaścią w środku. Ponadto ujawniły się błędy w obecnej metodzie selekcji spektakli i doborze członków międzynarodowego jury. Stały polski przewodniczący, Jerzy Koenig, miał trudności nie do przezwyciężenia w osiągnięciu konstruktywnej współpracy tak wybitnych osobistości jak Piotr Fomienko (znany rosyjski reżyser), Manfred Linke (niemiecki krytyk), Milan Lukes (redaktor czeskiego periodyku *Svět a divadlo*) i Jaak Allik (krytyk i tłumacz,

minister kultury Estonii). Po raz pierwszy w ośmioletniej historii festiwalu nie udało się osiągnąć jednomyślności w przyznaniu głównej nagrody, a werdykt jury rozminął się całkowicie z poglądami widzów. Dość powiedzieć, że prestiżowe, acz symboliczne, nagrody – publiczności i dziennikarzy, przypadły jugosłowiańskiemu spektaklowi „Beczka prochu", któremu jury nie przyznało nic (choć za jego kandydaturą do głównej nagrody było dwóch z pięciu jurorów), a trzecią nagrodę otrzymał spektakl, który być może w ogóle nie powinien był się znaleźć na KONTAKCIE. O ile wiem, kierownictwo festiwalu, Jadwiga Oleradzka i Andrzej Bubień, zamierzają wprowadzić w przyszłości korektury, które uniemożliwiłyby powtórzenie się tegorocznych nieporozumień.

Nie znaczy to, by festiwal był nieudany. Wprawdzie terytorialny krąg uczestników zacieśnił się tym razem (z jednym egzotycznym wyjątkiem – Réunionu) do Europy, Wschód i Zachód były nadal reprezentowane, choć nierównomiernie jakościowo i ilościowo. Powiedzmy od razu, że teatry polskie wypadły na KONTAKCIE znakomicie, ukazując zagranicznym, ale i krajowym gościom, że stan teatru polskiego nie jest tak słaby jak się w ostatnich latach uważało. Spektakle festiwalowe były dziełem przedstawicieli młodego pokolenia reżyserów, które coraz wyraźniej zaznacza swą obecność w polskim teatrze.

Najpierw zafascynowała widzów Anna Augustynowicz zrealizowaną w Teatrze Współczesnym w Szczecinie inscenizacją sztuki Wernera Schwaba „Moja wątroba jest bez sensu albo zagłada ludu". Analiza patologii życia rodzinnego i społecznego oraz jej schematów w dzisiejszej Austrii, podana przez szokujący (nawet aktorów w trakcie prób) dialog, pasowała jak ulał i do polskiej rzeczywistości, wyrażając zresztą skrajnie pesymistyczny pogląd na kondycję współczesnego człowieka. W inscenizacji tej ostrość jest stylizowana, zatem stonowana, przekazana klarownie i precyzyjnie, zarówno przez grę aktorów jak i samą koncepcję trzech klatek mieszkań, oświetlonych subtelnie i jaskrawo zarazem.

Warszawski Teatr Rozmaitości podbił publiczność spektaklem „Historia o miłosiernej czyli Testament Psa" w reżyserii Piotra Cieplaka. Dość schematyczna sztuka Ariano Sussuny z lat 70-tych ożywiona została duchem realizmu

magicznego (i słusznie, bo pochodzi z południowej Ameryki). Pazerność i hipokryzja ludzka, a duchowieństwa w szczególności, przekazana została z temperamentem i wyobraźnią, kulminując scenę przebaczenia w duchu prawdziwie chrześcijańskim, z aktorami zawieszonymi (dosłownie – poziomo na linach) pomiędzy niebem a piekłem. Pomysłowe i piękne przedstawienie, pomimo swej tematycznej egzotyki brzmiące współcześnie.

To samo można powiedzieć o pozakonkursowym wkładzie gospodarzy – toruńskiego teatru im. Wilama Horzycy – do festiwalu. „Ożenek" Gogola, prezentowany zazwyczaj jako farsa, został przedstawiony bardzo współcześnie, wykazując, że choć zwyczaje i konwencje sprzed półtora wieku się zmieniły, pozostały niezmienne cechy ludzkiej natury: pazerność (znowu), niezdecydowanie, nieśmiałość... Młodzi aktorzy, prowadzeni przez reżysera, Marka Fiedora (ur. 1962), dali nader aktualną wersję gogolowskiego utworu, bez „stawiania go na głowie", tworząc rzecz o samotności, lęku, sięgając do pokładów psychologii, które tkwią w tej rzekomej farsie. Bezbłędne odczytanie utworu przez reżysera i jego zespół.

Bardzo dobrze wypadły na festiwalu teatry niemieckie. Ton und Kirschen Theater z Glindow (uhonorowany drugą nagrodą) wystąpił ze spektaklem plenerowym „Pyram i Tyzbe" według „Przemian" Owidiusza, którego treść ongiś i Szekspir wykorzystał. Były w tym pięknym stylowym przedstawieniu o miłości dwojga młodych kochanków z poważnionych rodzin echa „Romea i Julii" i „Snu nocy letniej". Młodzi aktorzy grali z werwą, po łacinie i niemiecku, ale głównie poprzez pantomimę, przekazując tę opowieść z wyobraźnią przestrzenną i dobrym smakiem, i pozyskali sobie (niełatwą) młodą publiczność „z miasta", zgromadzoną wokół zamkowej fosy.

Taneczno-mimiczny spektakl „Aleja kosmonautów" międzynarodowego zespołu Sasha Waltz and Guests z Berlina stworzył bardzo sugestywną opowieść o grupie mieszkańców blokowiska w Berlinie Wschodnim. Czynności codzienne zamierzone są jako ukazanie absurdu we wszystkim, co robimy, ale sceny spektaklu, czasem bardzo zabawne i ocierające się o clownadę i akrobatykę, są też rezultatem narkotycznych wizji i w sumie składają się na wnikliwy obraz życia dzisiejszego

człowieka. Są tu duże zbieżności z „Wątrobą" Schwaba, choć ukazane innymi, prostymi, lecz pełnymi inwencji środkami. Nic dziwnego, że „Aleja kosmonautów" otrzymała zarówno nagrodę tygodnika *Polityka* „za spektakl najdobitniej wyrażający niepokoje naszych czasów" jak i nagrodę Polskiego Radia „za kreowanie nowej formuły teatru".

Kulminacją wkładu niemieckiego był ogólnie wyczekiwany występ niemieckiego teatru Volksbühne am Rosa-Luxemburg-Platz. Spektakl oparty na sztuce Karla Zuckmayera z lat 50-tych „Generał diabła" został zainscenizowany przez Franka Castorfa z właściwym temu zespołowi rozmachem i otrzymał nagrodę dla najlepszego reżysera, choć nie dorównał sukcesowi „Murxa", pokazanego na KONTAKCIE dwa lata temu. Inkrustacje z innych dzieł, nałożone na dość tradycyjną sztukę Zuckmayera, ekspresjonistyczne, awangardowe i brechtowskie efekty oraz monumentalno-abstrakcyjna scenografia nie tłumaczyły się w pełni, podobnie jak i podzielenie bohatera sztuki – generała Luftwaffe, będącego w opozycji do nazizmu, ale czerpiącego z tego systemu laury i honory – pomiędzy dwoje aktorów (do połowy gra go kobieta, potem mężczyzna). Ma to być spektakl o niemieckiej winie, wciąż drążącej ten ongiś wschodnioniemiecki zespół, co podkreśla jeszcze nazbyt dydaktyczne zakończenie, ale nie jest w pełni przekonywający, choć frapuje, wciąga i miejscami imponuje.

Nie da się natomiast zaprzeczyć, że Rosja, zawsze obecna na KONTAKCIE, i to z ciekawymi spektaklami, wypadła tym razem słabiej. „Wassę Żeleznową" Gorkiego w reżyserii Achmata Bajramkułowa (Teatr Satyry na Wasiljewskom Ostrowie z Petersburga) recenzenci uznali za „wzruszający" i dobry aktorsko, jeśli nie odkrywczy, a występująca w głównej roli Antonina Szuranowa otrzymała jedyną nagrodę aktorską festiwalu.

Kontrowersje wywołała natomiast „Czajka" Czechowa w reżyserii Jurija Pogrebniczki (Tieatr Około Doma Stanisławskowo z Moskwy), która zdaniem wielu nie powinna się była na KONTAKCIE znaleźć. Krytykowano zarówno aktorów jak i reżysera, także „tandetną" scenografię. Nie posunąłbym się tak daleko. Jestem zwolennikiem odchodzenia od naturalizmu, a nawet pełnego realizmu w inscenizowaniu sztuk

Czechowa, tyle że eksperyment Pogrebniczki poszedł w niewłaściwym kierunku. Nie tłumaczy się wprowadzenia do akcji milczących postaci (zjaw?) Juliusza Cezara, Szekspira, Napoleona, tylko wspomnianych przez autora w pierwszym akcie, oraz nie istniejącej w sztuce postaci tajemniczego bruneta, który miał być symbolem seksu. Scenografię uważam za zagadkową, choć nie całkiem funkcjonalną; kilka ról nie było źle zagranych. W sumie – wolę taką klęskę niż skostniały akademizm, a takiego na festiwalu też nie zabrakło, choć już nie w rosyjskim wykonaniu.

„Nocny pokaz kpiarzy" Madisa Kõiva w reżyserii Priita Pedajasa (Estoński Teatr Dramatyczny) otrzymał wprawdzie trzecią nagrodę festiwalu, ale była to chyba największa pomyłka jurorów, przyjęta protestami. Życie wieśniaków estońskich przed pierwszą wojną światową, w szczególności budowa stodoły oraz problemy matrymonialne i majątkowe, zostały pokazane w sposób konwencjonalny i nie mogący wzbudzić zainteresowania nawet w pełnym temperamentu wykonaniu dziarskich młodych aktorów i adeptów szkoły teatralnej.

Dla odmiany Teatr Dramatu Rosyjskiego im. Łesi Ukrainki z Kijowa zaprezentował „Historię pewnej namiętności", opartą na „Listach Asperna" Henry Jamesa. Reżyser Michaił Reznikowicz wystawił tę rzecz w monumentalnej scenografii i z aktorami, którzy nad-artykułowali swe emocje w sposób, który przywodził na myśl parodię Puszkina czy Turgieniewa, budząc zresztą niezamierzony śmiech na widowni. Aż dziwiły w tym wszystkim anglosaskie nazwiska postaci. Staroświecki ten spektakl był wymowną ilustracją słów, które padają w przedstawieniu: „Najstraszniejsze w życiu to nie śmierć, nie cierpienie, ale nuda".

Na szczęście pozostałe teatry ze „wschodu" wypadły dobrze na tym KONTAKCIE. Bułgarski zespół Credo zachwycił widzów granym po rosyjsku spektaklem, opartym na opowiadaniu Gogola „Płaszcz". Dwoje aktorów, operujących jednym rekwizytem – jakieś szmaty i patyki, z których byli w stanie stworzyć wszystko, a konkretnie nieszczęsnego urzędnika Baszmaczkina, który po ukradzeniu mu płaszcza zabija się i, już jako duch, zrywa okrycia z przechodniów. Jest to teatr w najwyższym stopniu odwołujący się do wyobraźni, bawiący

i wzruszający. Nic dziwnego, że spektakl ten uzyskał już wiele nagród na festiwalach, m.in. dwukrotnie nagrodę edynburskiego Fringe'u; w Toruniu przyznano mu nagrodę Uniwersytetu M. Kopernika.

Wśród innych *faux pas* tegorocznego jury już nawet nie dziwi, że nie zauważono wielce zabawnego i wykonanego z dużą swadą i zręcznością przez kilku lalkarzy i ich kukiełki czeskiego spektaklu „Historia???człowieka" według Borysa Polewoja, w zbiorowej reżyserii zespołu Buchty a Loutky z Pragi. Ironiczny sposób, w jaki młodzi lalkarze traktują mity i stereotypy przedstawiania w Związku Sowieckim Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, zbulwersował pono rosyjskich widzów (i zapewne jurora). A przecież ta historia strąconego i pozbawionego nogi lotnika, tęskniącego w szpitalu za frontem w trakcie wojny, którą toczą malutkie samolociki i czołgi, precyzyjnie pokazane w mikroskali, wzrusza, jest na swój sposób przekonywająca i prawdziwa.

Litwini jeszcze nigdy na KONTAKCIE nie zawiedli. Tym razem Litewski Akademicki Teatr Dramatyczny z Wilna zaprezentował nacechowany przestrzenną i koncepcyjną wyobraźnią spektakl „Starucha 2" według Daniła Charmsa/Aleksandra Wiedenskiego. Surrealistyczna forma, nawiązująca stylistyką, akcją, kostiumami, nawet scenografią do surrealizmu francuskiego lat 20-tych wyraża – poprzez pantomimę, muzykę konkretną, stylizowaną grę aktorską – absurd sytuacji i sprzętów, a poprzez nie – absurd egzystencji. 29-letni reżyser Oskaras Koršunovas ma już na swym koncie sporo osiągnięć, m.in. nagrodę Fringe w Edynburgu, a już w r. 1991 otrzymał na KONTAKCIE Nagrodę Specjalną. Tym razem uhonorowano go nagrodą „dla najlepszego młodego twórcy".

Zachodnia Europa natomiast wypadła tym razem słabo, i tu właśnie najwyraźniej zaznaczyły się błędy selekcji. Rzecz pt. „Utopie" według Swietłany Aleksiewicz, w wykonaniu teatru L'Oeil du Tigre z Reims we Francji (reż. Jean-Marie Lejude), traktująca o rozczarowaniu grupy Rosjan do komunizmu – od rewolucji po czasy dzisiejsze – została opowiedziana w sposób nużący i martwy teatralnie przez kilkoro aktorów siedzących na stołkach, i nie powinna była dotrzeć na festiwal.

Podobny wniosek nasuwał się, choć może mniej drastycz-

nie, po występie hiszpańskiej Compañia Pendiente z Barcelony, w spektaklu „Jedna z dwóch". Dwie aktorki starają się – czasem przy muzyce, czasem w ciszy – poprzez taniec, mimy, scenki kłótni, przygotowywania i jedzenia posiłku – ukazać jakąś niedopowiedzianą między nimi więź. Ale tego drugiego dna raczej nie widać, a wykonanie nie przekracza granic poprawności.

W moim przekonaniu (choć zauważyłem, że nie była to opinia powszechna) z zespołów zachodnich jedynie Grand Theatre z Groningen w Holandii był na festiwalowym poziomie, prezentując wyreżyserowany przez Olę Mafaalani, a opracowany i wykonany przez Ko Van den Boscha, monodram „Włochate maszyny", traktujący o życiu Stanisława Ignacego Witkiewicza, w oparciu o listy, fragmenty utworów itd. Starając się oddać niezwykłą osobowość Witkacego przesadzono w niektórych efektach (np. spływająca z żarówki krew), uproszczono inne (wykładanie karteczek z tytułami jego dzieł), a koncentracji widza nie pomogła scenografia, niby prosta, ale dość powiedzieć, że jej głównym elementem była najeżona gwoździami cała podłoga sceny. Jednak Van den Bosch wcielił się w postać swego bohatera z pasją i energią, był wiarygodny.

Ostatni dzień KONKAKT-u zmienił całkowicie optykę jakościową. Przyniósł mianowicie dwa spektakle, które spotkały się z niemal ogólnym uznaniem. Pisząc „niemal" mam na myśli tych nielicznych, którzy uważali, że spektakl „Nosiciele wody" autorstwa i reżyserii Philippe'a Pelena teatru Talipot z francuskiej kolonii Réunion był czymś w rodzaju pokazu egzotycznych tańców w wykonaniu czarnych chippendales'ów. W istocie jest to urocza, prosta opowieść o życiu mieszkańców tej wyspy, a zwłaszcza o trudnościach z wodą pitną. Nie brak oczywiście rytualnych tańców i śpiewów dobrze wykonanych, ale i aktorstwo tej trupy jest nie do pogardzenia. Trudno jednak opędzić się myśli, że główna, pierwsza nagroda festiwalu, przyznana jej (jako się rzekło – niejednomyślnie) wraz z nagrodą za najlepszą oprawę plastyczną, była działaniem zastępczym.

Prawdziwą bombą był bowiem zamykający festiwal spektakl „Beczka prochu" Dejana Dukovskiego w reżyserii Slobodana Unkovskiego, którą zaprezentował Jugosłowiański

Teatr Dramatyczny z Belgradu. Zachwycił wszystkich. W serii kilkunastu luźno ze sobą powiązanych scen, oglądamy wstrząsającą (choć w dialogach i sytuacyjnie zabawną) wielką panoramę narastającego gwałtu, przemocy i okrucieństwa. Sceny realistyczne przeplatają się z fantastyką. Reżyser operuje techniką filmową, skrótami, zastyganiem scen jakby w kadrze. Narzuca się porównanie z filmem Emira Kusturicy „Underground", choć nie ma w tym spektaklu odniesień politycznych, są raczej uwarunkowania psychologiczne i społeczne. Zło rodzi się i tkwi w nas, rozszerza się, pochłaniając wszystko i nie uciekniemy od niego, choć byśmy – jak kilka postaci sztuki – uciekli daleko od rodzinnego kraju, na przykład do Ameryki. Jest faktem znamiennym, ale chyba i zrozumiałym, że ów największy festiwalowy sukces przybył właśnie z najbardziej ostatnio udręczonego regionu Europy.

Jak stwierdziłem na wstępie, tegoroczny KONTAKT miał charakter dyskusyjny i nie wolny od pomyłek. Dostarczył jednak wiele pozytywnych wrażeń. Wyeliminowanie błędów jest nie tylko możliwe, ale i konieczne, bowiem ten największy, fascynujący festiwal w Europie środkowo-wschodniej, miejsce spotkań Wschód-Zachód, bezwzględnie powinien istnieć nadal.

Bolesław TABORSKI

Trialog: w poszukiwaniu Vinety

W niemieckim Freiburgu (dla odróżnienia od szwajcarskiego) w roku 1994 odbyło się spotkanie pisarzy francuskich i niemieckich. Jak to bywało już w tym mieście wcześniej, gdy organizowano tu międzynarodowy festiwal poetycki, dobrym duchem i animatorem spotkania był Ludwig Krapf, nie tylko odpowiedzialny za kulturę swego miasta urzędnik, lecz przede wszystkim wytrawny smakosz

pisarskiego słowa. Owo spotkanie francusko-niemieckie zrodziło ideę włączenia do rozmowy także autorów polskich, co znacznie wyprzedziło polityczne idee „trójkąta weimarskiego". Pierwszy raz do takiego spotkania doszło w roku 1996 w Nantes, następnie, rok później, w Krakowie.

Wreszcie doszło też w połowie maja 1998 do spotkania we Freiburgu, w którym udział wzięło czworo autorów z Francji (Paul Constant, Jacques Jouet, Alain, Lance), sześcioro z Niemiec (Durs Grunbein, Uwe Kolbe, Michael Kruger, Reiner Kunze, Dagmar Leupold oraz Albert Ostermeier), polskich autorów było zaś pięciu (Tadeusz Różewicz, Ryszard Krynicki, Adam Zagajewski, Artur Szlosarek i Leszek Szaruga), nie przyjechała zaproszona przez organizatorów Olga Tokarczuk. Hasłem wywoławczym spotkania było „poszukiwanie Vinety", wedle legendy zatopionego portu bałtyckiego, miasta tworzącego przestrzeń harmonijnego współżycia różnych narodów. Rozmowy nawiązujące do prób odnalezienia – choćby tylko w literaturze – owej zatopionej przestrzeni doskonałego dobra i piękna, przybierały kształt różny: od wyrazu wiary w możliwość wykreowania w utworze suwerennego i doskonałego bytu, po przestrogę przed nieludzkością każdej, także zatem i estetycznej utopii. Warto może przy okazji przypomnieć, że o tych „zatopionych krajach" w okresie powojennym pisało wielu autorów polskich i niemieckich (o francuskich nie wypowiadam się, gdyż znam tę literaturę zbyt słabo). W polskiej poezji powraca wielokrotnie wątek zatopionego platońskiego kontynentu – Atlantydy. W wierszach autorów niemieckich pojawiają się różne figury zatopionego miasta – czy to chodzi o zatopione w jeziorze rosyjskie miasto Kiteź z wiersza Johannesa Bobrowskiego, czy o Vinetę z utworów niemieckich poetów – Richarda Pietrassa i Uwe Kolbego; ten ostatni nawiązuje tu zresztą także do nazwy stacji berlińskiego metra, co ma tyle interesujące echo, iż z ideą „wiersza-metro" wystąpił inny uczestnik spotkania, Jacques Jouet, zaś dyskusja wokół jego pomysłów dyscyplinowania poezji jako drogi ku tworzeniu „doskonałych tekstów", poddanych jedynie wartościowaniu estetycznemu i zdystansowanych wobec wartości poznawczych oraz moralnych, była jednym z bardziej interesujących epizodów spotkania. Z jego okazji wydano – trójjęzycznie – książkę („Trialog", Red.: Britta Baumann, Martine Chantrel, Katrin Hintsch, Dr Ludwig Krapf; Edition Isele, Eiggingen 1998, s. 256, ISBN 3-86142-109-9) będącą przede wszystkim prezentacją biorących w nim udział autorów i dokumentacją samej imprezy. „Trialog" odbył się w czasie trwania spotkań z kulturą polską w Badenii-Wurttembergii, patronowały mu zaś Urząd Kultury Miasta Freiburg oraz działający tu oddział Instytutu Francuskiego. Pomysł takich kameralnych, wielostronnych spotkań literackich wydaje się ze wszech miar godny uwagi – nie tylko ze względu na rozwój osobistych kontaktów między pisarzami, ale także ze względu na możliwość, jak to było widoczne we Freiburgu, zgromadzenia i pobudzenia do udziału w dyskusjach przedstawicieli lokalnej społeczności akademickiej. Wszystko tu, rzecz jasna, zależy od atmosfery, umiejętności organizatorskich (w tym zdolności pokrywania wydatków m.in. świetnie pracujących tłumaczy kabinowych) a także, co w tym miejscu było wyjątkowo dobrze widoczne, od zakorzenienia podobnych imprez w tradycji. Byłoby rzeczą rozsądną zastanowienie się nad perspektywami podobnych imprez z udziałem gości z dalej na wschód położonych krajów. Warunkiem powodzenia jest tu jednak perfekcyjna organizacja i, oczywiście, pozyskanie możnych sponsorów. Rzecz w tym, iż to się wszystko zwróci, tyle, iż nie od razu.

P. SZAWIR

Recycling – metamorfozy

1.

Najnowszy tom Tadeusza Różewicza przetwarza tom poprzedni, zatytułowany „zawsze fragment"*. Z tomu owego autor usunął niektóre utwory, dodał zaś nowe – podobna

* Tadeusz Różewicz: „zawsze fragment * recycling", Wyd. Dolnośląskie, Wrocław 1998, s. 132.

praktyka nie jest zjawiskiem odosobnionym, można wskazać wielu poetów, którzy dokonują takich zabiegów, sam Różewicz postępował podobnie, publikując kolejne „wersje" książki poetyckiej zatytułowanej „Twarz". Tym razem jest tak samo, lecz zarazem inaczej i warto już na samym początku lektury zdać sobie z tego sprawę, gdyż mamy do czynienia ze świadomym, wkraczającym w samo centrum współczesnych dyskusji o sztuce i jej przeobrażeniach chwytem artystycznym. Tytułowe zestawienie „zawsze fragment – recycling" wprowadza nas od razu *in medias res*: „zawsze fragment" jest tu książką potraktowaną jako tworzywo wtórnego użycia, surowiec do przerobienia.

Nim jednak spróbuję pochwycić sens tego zabiegu, warto odczytać motto do poematu zatytułowanego *„recycling"*: *Was ist Recycling? Die Wiederverwandelung bereits einmal oder mehrfach benutzter Rohstoffe zur Gewinnung neuer Produkte* („Czym jest *recycling*? Przetwarzaniem raz już lub częściej używanych surowców dla uzyskania nowego produktu"). To, iż motto to, zapewne wyjęte z gazety bądź jakiejś ulotki reklamowej, przytaczane jest w języku niemieckim, nie jest tu bez znaczenia. Istotne jednak jest co innego: oto znaleźliśmy się w sferze „produkcji", zaś jako surowiec produkcyjny używane jest tutaj słowo, wiersz nawet. Żadnej – a znamy to niemal od początku twórczości Różewicza – wzniosłości, żadnego artystycznego uniesienia: wytworzona dawniej książka zatytułowana „zawsze fragment", raz już lub częściej użyta, zostaje przetworzona dla uzyskania nowego produktu. Tym produktem jest tom „zawsze fragment – recycling".

W „produkcji artystycznej" wolno wszak dziś przetwarzać wszystko, wolno sklejać i łączyć, montować *collage*, przenosić i przerabiać gotowe wątki i fabuły, cytować wszystko i wszystkich pod jednym tylko warunkiem (a i to nie jest pewne) – że powstanie, w wypadku produkcji noszącej miano poezji, „dobry tekst". Nie dobry wiersz czy utwór artystyczny, ale właśnie „dobry tekst". Tako rzecze postmodernizm powtarzając za Ojcem założycielem, że „wszystko jest tekstem". Skoro zaś tyle wolno, tym bardziej wolno przecież powtarzać samego siebie, cytować siebie, układać z własnych tekstów-produktów produkty nowe. Oto

właśnie taki produkt: tom „zawsze fragment – recycling". Składają się nań fragmenty (zawsze fragment – tak wszak brzmi instrukcja tytułowa) tomu „zawsze fragment" uzupełnione o sposób użycia, którym jest poemat zatytułowany *„recycling"*.

Jak widzimy, mamy w tomie Różewicza do czynienia z polemiką z postmodernizmem, przy czym jest to polemika o tyle interesująca, iż posługuje się podsuwanymi przez postmodernizm receptami, by doprowadzić postmodernistyczną praktykę artystyczną do absurdu. Przy czym, powiedzmy to sobie od razu, wielki jest śmiech artysty i wielki jest gniew jego, gdyż śmiech ów i gniew ożywia rozpacz artysty.

2.

W recenzji omawiającej najnowszy tom Różewicza pisze Jacek Łukasiewicz, jakby zresztą zdziwiony tym obrotem spraw: „Tadeusz Różewicz jest moralistą, czerpiącym z doświadczenia młodości dzisiaj, gdy pisze o wydarzeniach z ostatniej chwili. A wydawało się, że zasady etyczne wywiedzione z doświadczenia Oświęcimia i akowskiej partyzantki przestały być aktualne. Że już nie można odwoływać się do tamtych doświadczeń, gdy mówimy o tym, co się wydarzyło – najogólniej ujmując – po roku 1968...". Ten, komu się tak wydawało, musiał uwierzyć, iż zabliźniły się rany człowieczeństwa, a nawet iż owe blizny spełzły z jego ciała oraz, co dużo mniej prawdopodobne, duszy. Musiał też uwierzyć, że poezja uporała się z tą zapaścią, jaka zmusiła Theodora Adorno do wypowiedzenia zdania mówiącego, iż po Oświęcimiu pisanie wierszy nie jest możliwe. Musiał wreszcie uwierzyć, że powstał już język zdolny wpisać doświadczenie zbrodni tego stulecia w księgę ludzkiej kultury.

Różewicz mówi wprost, że taki język nie powstał, a mówi to jakby wbrew przypuszczeniom swego młodszego kolegi, Adama Zagajewskiego, który w wydanej w tym samym czasie książce zatytułowanej „W cudzym pięknie" pisze: „Nie byłem świadkiem zagłady Żydów, urodziłem się za późno; doświadczyłem za to powolnego procesu odnowy europejskiej pamięci, która – niespiesznie, to prawda, płynąc raczej jak

leniwa rzeka niż jak górski strumień – najsurowiej potępiła zło Holokaustu i nazizmu, a także (wciąż jeszcze mniej dobitnie, jakby nie chcąc zrozumieć, że, owszem, można mieć do czynienia z dwoma potworami jednocześnie, a nie z jednym tylko) zło cywilizacji sowieckiej". Wedle Zagajewskiego ów proces się zakończył. A tymczasem

coraz częściej czyta się o tym
w postnazistowskich niemieckich gazetach
w gazetach amerykańskich
w polskojęzycznych gazetach „narodowych"
czyta się przedruki z obcojęzycznych
gazet że Holocaustu nie było

(„recycling")

To też jedno z modnych dziś haseł: każdą narrację można zakwestionować i przeciwstawić jej inną lub inną podstawić w jej miejsce. I jeszcze jedna prawda współczesnej kulturalnej mody: nastał czas końca „wielkich narracji". I tu także pojawi się przeciwgłos Różewicza:

lang poems

„Newsweek": Nazi-Gold
auch in Portugal
das lange Gedicht
do sporu wokół pieniędzy
ofiar Holocaustu
włączył się Izrael
nie po raz pierwszy
żydowskie organizacje straszą
szwajcarskie banki
a może
Holocaustu nie było (...)
jaki to długi wiersz! i tak się
dłuży dłuży czy to „mistrza" nie nudzi
czy nie można tego zmieścić
w japońskim haiku? Nie można.

Mistrz (dla mnie bez cudzysłowu) ma rację, zaś tym razem, w dopisku do poematu, mówi serio – tak, by być zrozumiałym: krótkim równoważnikiem zdania, z wielkiej litery i z kropką na końcu. Bez bawienia się w „sztukę". Ta wielka narracja, narracja o Holocauście, nie skończyła się jeszcze, zaś tendencje pojawiające się w kulturze mogą przyczynić się raczej do destrukcji i kolapsu europejskiej pamięci niż do wzmocnienia jej „procesu odnowy", o którym optymistycznie pisze Zagajewski.

Nie skończyły się też przecież i inne „wielkie narracje" – jedną z nich jest opowieść o zadaniach i funkcjach sztuki, poezji. Czy ma być, jak chcą tego dawni i współcześni utopiści, niezależną od świata, suwerenną wyspą piękna lub wieżą ze słoniowej kości, z której wyżyn, wolni od niedoskonałości świata tego, oglądać możemy rajskie pejzaże oraz wysłuchiwać muzyki sfer? Pułapka takiej utopii opisana została w zamykającym tom wierszu „na obrzeżach poezji", w którym bohater, będący, jak wiemy, poetą, powiadamia nas, że po stworzeniu utworu zostaje wyrzucony na tytułowe obrzeża „w sam środek życia", by ponownie odnaleźć poezję:

na obrzeżach poezji
pod pokrywką śmierci
senty-mentalnej
kipi życie i poezja
pełna smaku
dobrego i złego

W tym oto arcydziele artystycznej zwięzłości odnajdujemy kilka bardzo ważnych, fundamentalnych prawd poezji Różewicza: pierwsza powiadamia nas o tym, że stworzenie wiersza oznacza śmierć poezji – tej poezji, która staje się materią utworu; druga informuje, że życie i poezja pozostające poza „stworzonym wierszem" są żywiołem niepochwytnym, nie dającym się zamknąć w estetycznym porządku; trzecia wyraża przekonanie o tym, iż jednym z wyróżników owej poezji żywej jest „smak dobrego i złego" czyli zdolność do wartościowań moralnych; czwarta – by na niej poprzestać tę wyliczankę – mówi o śmiertelnym niebezpieczeństwie sentymentalizmu zarówno w ocenie sztuki, jak w wyrażaniu sądów etycznych.

Przy czym może warto zwrócić uwagę na piękną i nośną przemianę rajskiego drzewa wiadomości dobrego i złego w stanowiącą centrum naszego życia poezję pełną smaku dobrego i złego. I na rzecz jeszcze jedną: na wskazanie daremności nadziei, iż stawka na „suwerenność tekstu" pozwoli na ulokowanie poezji poza sferą wartościowań moralnych.

3.

Wszystko podlega przemianie, nie jest wszakże rzeczą obojętną owej przemiany charakter. Druga część poematu „recycling", opowiadająca o Holocauście i losie żydowskiego złota, otwarta zostaje cytatem z „Metamorfoz" Owidiusza: *Aurea prima sata est aetas (...)*. W takim otwarciu mamy do czynienia z chwytem wielofunkcyjnym. Przede wszystkim: ze wskazaniem możliwości nazwania „wiekiem złotym" czasu pogardy – mowa wszak w utworze o skutkach Holocaustu (którego „podobno nie było"). Także: ze skojarzeniem *recyclingu* z „metamorfozami" – nasz świat jest zawsze produktem powstałym ze zużytych już światów. W konsekwencji także: z ironicznym wskazaniem techniki fałszowania sensu wpisywanego w utwór fragmentu innego utworu, z polemiką artystyczną wskazującą pułapki postmodernistycznej utopii. To, rzecz jasna, jedynie wybrane funkcje, jakie w poemacie – ba, w całym tomie, a może nawet w całej twórczości Różewicza – pełnić może przywoływanie „Metamorfoz" Owidiusza.

„Metamorfozy" są tu również symbolem Księgi. Przy czym nie tyle o sam utwór Owidiusza chodzi, co o całą spuściznę kulturową antyku, jednego z głównych źródeł europejskiej tożsamości. Przestrzeń Księgi – jej objawionej prawdy, oczywistości wiedzy w niej spisanej – pojawia się w twórczości Różewicza od początku. Także w najnowszym tomie, w wierszu „Od jutra się zmienię", przeczytamy:

przed zaśnięciem czytałem
w książce tytułu nie pamiętam
a może to była księga
że można iść w dwóch kierunkach
dobry: strona prawa przód i góra
zły: strona lewa tył i dół

Bohater tego wiersza, w przeciwieństwie do swego pierwszego wcielenia, które pojawiło się w poemacie „Spadanie", nie spada już „we wszystkich kierunkach równocześnie", ale jest, podobnie jak on, pozbawiony możliwości wyboru odpowiedniego kierunku, nie może, wbrew nakazom zawartym w księdze, w owej „wysokiej gadaninie", dokonać wymiany zła na dobro czy brzydoty na piękno, a zatem, mimo postanowienia zapisanego w tytule wiersza, przemiana, „zmiana na lepsze" nie jest możliwa. Leżący w łóżku bohater ogranicza się już wyłącznie do konstatacji dotyczącej konieczności zmiany:

ale przecież nie mogę
tego dokonać w łóżku
przed zaśnięciem

(Nawiasem mówiąc, ta pozycja bohatera, zbliża go do innej ważnej postaci polskiej liryki: do podmiotu wierszy Białoszewskiego).

Owa dramatyczna bezradność znajduje schronienie w ironicznych i autoironicznych formułach, w nieustannym pomnażaniu dystansu, w grach już nie tyle lingwistycznych, co raczej metalingwistycznych:

autor może filozof a nawet prorok
nie pamiętam bo zasnąłem
napuszczał te słowa na siebie
szczuł na siebie

I już nie wiemy na pewno czy słowa zwrócone są tu przeciw sobie nawzajem, czy zwracają się, podrażnione, przeciw prorokowi, który je przeciw sobie samemu szczuje. Zapewne obie lekcje są równie uprawnione. Obie razem ukazują technikę sprawdzania nośności słowa, jego energii kreacyjnej, ocalającej. Tak ze zużytych tworzone są w wierszu słowa nowe, poddane procesowi przemiany, przemienienia. Być może najbardziej wyrazistym przykładem takiej przemiany słowa – przemiany Księgi – jest wiersz „Widziałem Go", w którym bohater zbliża się do śpiącego na parkowej ławce obdartusa. Charakterystyczny jest już pejzaż w którym go odnajduje:

między nagim drzewkiem
przywiązanym do palika
blaszaną puszką po piwie
i podpaską zawieszoną
na krzaku dzikiej róży

Oto śmietnik świata, w którym żyjemy. Oto przemienienie, jakiemu poddane zostały ogrody natury. W tej scenerii bohater zbliża się do śpiącego:

a jednak coś mi mówiło
że to jest Syn Człowieczy

otworzył oczy
i spojrzał na mnie

zrozumiałem wszystko
odchodziłem pomieszany
oddalałem się
uciekałem

w domu umyłem ręce

Widać tu, jak wielką rolę w tej poezji odgrywają nie tylko wątki i obrazy biblijne, lecz także przenoszone w naszą codzienność biblijne formuły słowne. Widać jak silnie poezja Różewicza wpisuje się w przestrzeń Słowa objawionego i zużytego, jak pragnie jego przemienienia.

Leszek SZARUGA

PS. Od roku 1989, w którym pojawił się zbiór „Na powierzchni poematu i w środku", poprzez kolejne tomy i wybory wierszy, obecność i waga poezji Różewicza odgrywa, nie tylko zresztą w Polsce, coraz większą rolę. Mimo to wciąż jeszcze nie jest to poeta odczytany i w pełni zrozumiany. Oczywiście – w wierszach, które czytamy, znajdziemy sporo naigrywania się z „przesłania poezji" i z poezji samej. Kumuluje się w tym zdystansowaniu zarówno wiedza o grozie

doświadczeń historii najnowszej, jak i poczucie bezradności wobec degradacji słowa. Od początku jednak perspektywa przemiany, nadzieja przemienienia i odmiany człowieczego losu, jest w tej poezji zakorzeniona niezwykle silnie. Mylą się ci wszyscy – a znów ich ostatnio przybyło, podobnych do owych „fundamentalistów" z okresu debiutu autora „Niepokoju" – którzy z uporem podnoszą przeciw tej poezji zarzut nihilizmu. Zresztą – nie sposób z nimi dyskutować, choć żałować należy, że można wśród nich znaleźć także zupełnie niezłych poetów.

L.S.

KONKURS
NA PAMIĘTNIKI MŁODEGO POKOLENIA WSI POLSKIEJ PRZEŁOMU TYSIĄCLECI

„Opis mego życia, prac, przemyślań i dążeń"

Na przełomie tysiącleci, systemów ustrojowych i u progu doniosłej integracji z Unią Europejską – w warunkach pełnej niepodległości Polski – chcemy uzyskać prawdomówny wizerunek własny młodego pokolenia wsi polskiej, jego życia, prac, przemyśleń i dążeń. Nikt inny – poza samą młodzieżą – nie potrafi stworzyć tak wiernego portretu młodego pokolenia wsi na tle przemian rodziny, środowiska lokalnego i całej ojczyzny.

Przed ponad 60 laty na konkurs o tej samej nazwie młoda wieś nadesłała 1.544 pamiętniki i wybitny uczony, Józef Chałasiński, przetworzył je w czterotomowe, fundamentalne w nauce światowej dzieło „Młode pokolenie chłopów", wydane w 1938 roku przez Państwowy Instytut Kultury Wsi. W ćwierć wieku później uzyskał on, po przełomie październikowym, 5.475 wspomnień młodej wsi w środowisku macierzystym oraz w szkołach, wojsku i w miastach – formując

i wydając z zespołem uczniów 9 tomów „Młodego pokolenia wsi Polski Ludowej".

Obecny konkurs umożliwia ukazanie całej bezstronnej i rzetelnej prawdy o losach Polaków rodowodu wiejskiego.

Na przełomie tysiącleci znowu powinny się ukazać porównawcze wizerunki zstępujących i wstępujących pokoleń wsi polskiej. Także partnersko integrujących się byłych stanów – szlachecko-ziemiańskiego i chłopsko-włościańskiego.

Serdecznie zapraszamy do udziału w konkursie młode rolniczki i młodych rolników w wieku do 35 lat, jak też innych młodych pracowników i mieszkańców wsi, osad i małych miasteczek. Także uczniów, studentów i żołnierzy, związanych z tymi środowiskami. W konkursie – jak poprzednio – mogą uczestniczyć wychodźcy do miast w kraju oraz Polacy z diaspory na Wschodzie i Zachodzie. Bardzo potrzebne są świadectwa ze środowiska b. PGR i b. spółdzielni produkcyjnych oraz aktualnych rolniczych spółek pracowniczych. Nie może zabraknąć przedsiębiorców z dziedziny produkcji, handlu i usług związanych z wsią, jak też właścicieli i dzierżawców większych niekiedy folwarków – czyli opisów nowych zjawisk. Serdecznie czekamy na wspomnienia byłych i aktualnych ziemian.

Podobnie jak w konkursie z 1936 roku opis może składać się z dwóch części:

I. Charakterystyki rodziny i środowiska zamieszkania, rodziców i rodzeństwa, szkoły, drogi do zawodu i młodości, życia koleżeńskiego, kulturalnego, organizacyjnego i religijnego, ideału partnera oraz kształtu własnej rodziny, optymalnej liczby dzieci i aspiracji co do ich zawodu, itp.

II. Refleksji, przemyśleń i dążeń – związanych z życiem własnym i rodziny, środowiska lokalnego, regionu, narodu i państwa oraz Europy i świata.

Także sama nazwa „chłop" wydaje się już tracić historyczną aktualność. Prosimy zatem o opinie na ten temat. Może bliższa byłaby nazwa – włościanin, rolnik, farmer?

Bardzo prosimy o możliwie wczesne zgłoszenie na podany adres zamiaru uczestniczenia w konkursie. Prześlemy wtedy pełne, obszerne teksty apeli konkursowych – obecnego i z 1936 roku oraz dodatkowe informacje i wskazówki.

Dla oceny nadesłanych pamiętników powołany zostanie Sąd Konkursowy, który przyzna następujące nagrody i wyróżnienia:

I nagrodę w wysokości – 7.000 zł

II nagrodę w wysokości – 5.000 zł

III nagrodę w wysokości – 3.000 zł

oraz 20 wyróżnień po 1.000 zł każde.

Sądowi konkursowemu przysługuje prawo innego podziału nagród i wyróżnień.

KONKURS TRWA OD DNIA 1 PAŹDZIERNIKA 1998 R. DO 31 MAJA 1999 R.

Nadesłane materiały pozostają u organizatorów dla celów badawczych i wydawniczych. Na życzenie gwarantujemy pełną anonimowość przy ogłaszaniu nagród i przy publikowaniu serii książkowej. Autorzy prac drukowanych otrzymają honoraria.

Zgłoszenia udziału w konkursie (z podaniem dokładnego adresu własnego), wszelkie zapytania i prace konkursowe – prosimy kierować na adres:
Ministerstwo Rolnictwa i Gospodarki Żywnościowej (Polski Instytut Kultury Wsi), ul. Wspólna 30. 00-950 Warszawa, pok. 525 (TUL) – z dopiskiem: „Pamiętniki Młodego Pokolenia Wsi".

Prosimy o zachęcenie innych do udziału w tym ważnym konkursie!

Warszawa, marzec 1998 r.

KOMUNIKAT KOMISJI STYPENDIALNEJ FUNDACJI IM. STANISŁAWA LAMA

Informujemy, że termin nadsyłania podań o stypendia na 1999 r. upływa z dniem **15 grudnia 1998 r.**

Przypominamy, że zgodnie z założeniami Fundacji, o stypendia ubiegać się mogą osoby specjalizujące się w **historii literatury polskiej** i w **krytyce literackiej**. Chodzi o kandydatów, którym dla kontynuowania pracy niezbędny jest krótki pobyt w Paryżu i korzystanie z tutejszych bibliotek i archiwów, a zwłaszcza ze zbiorów Biblioteki Polskiej w Paryżu.

O stypendia im. Stanisława Lama nie mogą ubiegać się

mieszkańcy Paryża i regionu paryskiego.

Do umotywowanego podania należy dołączyć życiorys, wykaz publikacji lub opinie osób kompetentnych.

Fundacja nie pokrywa kosztów podróży oraz nie zapewnia mieszkania w Paryżu. Przed przyjazdem do Francji, stypendyści muszą również załatwić ubezpieczenie na wypadek choroby.

Podania prosimy przysyłać na adres:

Fundacja im. Stanisława Lama
Société Historique et Littéraire Polonaise
6, quai d'Orléans
75004 PARIS

KOMUNIKAT KOMISJI STYPENDIALNEJ FUNDACJI IM. JANA I SUZANNE BRZĘKOWSKICH

Informujemy, że termin nadsyłania podań o stypendia na 1999 r. upływa z dniem **28 lutego 1999 r.**

Przypominamy, że zgodnie z założeniami Fundacji, o stypendia ubiegać się mogą osoby specjalizujące się w **historii Polski**. Chodzi o kandydatów, którym dla kontynuowania pracy, niezbędny jest krótki pobyt w Paryżu i korzystanie w pierwszym rzędzie ze zbiorów Biblioteki Polskiej w Paryżu.

O stypendia im. Jana i Suzanne Brzękowskich nie mogą ubiegać się mieszkańcy Paryża i regionu paryskiego.

Do umotywowanego podania należy dołączyć życiorys, wykaz publikacji lub opinie osób kompetentnych.

Fundacja nie pokrywa kosztów podróży oraz nie zapewnia mieszkania w Paryżu. Stypendyści muszą również załatwić ubezpieczenie na wypadek choroby, przed przyjazdem do Francji.

Podania prosimy przysyłać na adres:

Fundacja im. Jana i Suzanne Brzękowskich
Société Historique et Littéraire Polonaise
6, quai d'Orléans
75004 PARIS

Książki

Ewangelia wedle Syna

„Wszelkie rozumienie zakłada przedrozumienie" – głosi hermeneutyka. Aby zrozumieć to, czego nie rozumiemy, sięgamy do tego, co już jako tako zrozumieliśmy. Jezus zapytał kiedyś: „Za kogo mają ludzie Syna Człowieczego? A oni odpowiedzieli: jedni za Jana Chrzciciela, drudzy za Eliasza, a inni za Jeremiasza albo jednego z proroków. Rzekł im Jezus: a wy za kogo mię macie? Odpowiadając Szymon Piotr rzekł: Tyś jest Chrystus, Syn Boga Żywego". Widzimy, jak słuchacze „narzucają" na obcą dla nich postać Jezusa obrazy, z którymi się oswoili. Owszem, dostrzegali różnice – Jan Chrzciciel, ale „nieco inny", Eliasz, ale nie ten pierwszy lecz „drugi", prorok, ale jakiś taki „wyjątkowy" – różnice mieściły się jednak w obszarze podstawowego podobieństwa a może nawet tożsamości. Postęp rozumienia Chrystusa dokonywał się w dramatycznym sporze między wiedzą a przedwiedzą, rozumieniem i przedrozumieniem, sądem a przed-sądem czy wręcz przesądem. Podobnie jest dziś. Dotyczy to zresztą nie tylko Jezusa, lecz także wszystkiego, co ma jakiś „sens".

Proszę wybaczyć te informacje z zakresu hermeneutyki, wydało mi się jednak, że są niezbędne, gdy chcemy nieco głębiej wejść w świat „Ewangelii wedle Syna" Normana Mailera[1] – pisarza, o którym Manuel Carcassonne napisał w *Nouvelle Observateur*, że na amerykańskiej scenie literackiej odgrywa „rolę wandala, ludożercy, krzykacza, płonącej głowy, Rabelais'go 'made in Harvard'." Dostaliśmy do rąk jeszcze jedną opowieść o Jezusie. Od innych opowieści różni się

1. Norman Mailer, „L'Evangile selon le Fils" traduit de l'anglais (Etats-Unis) par Remy Lambrechts. ed. Plon 1998.

przede wszystkim tym, że jest pisana w pierwszej osobie, wygląda więc tak, jakby ją pisał sam Syn Boży. Na to wskazuje zresztą sam tytuł opowieści. Czy nie ma w tym nowej prowokacji pisarza-skandalisty? Mailer powiedział: „Stosunek, jaki się posiada z własnym *ego*, jest zawsze fascynujący, Pozostaje się z nim permanentnie w stanie negocjacji". Czy oznacza to, że tworząc „Ewangelię wedle Syna" i utożsamiając się z Synem Bożym, autor wszedł w stan szczególnych „negocjacji z własnym *ego*? Prowokacja wydaje się tym ostrzejsza, że wśród zdjęć, jakimi została ozdobiona recenzja Manuela Carcassonne, jest i jedno, na którym widzimy autora z kajdankami na rękach.

Kto oczekuje skandalu, tego spotka zawód. Skandalu nie ma i nie ma również jakiegoś szczególnego zgorszenia. Opowieść opiera się na przekazie ewangelicznym, który przyjmuje właściwie bez poprawek. Czy jednak obrany punkt widzenia Syna – a więc nie ewangelistów – jest nam całkiem obcy? Czy jest wśród nas ktoś, kto nigdy nie „wczuwał się" w postać Jezusa i nie pytał, co Jezus „mógł poczuć", co „mógł pomyśleć, co „przeżyć", gdy wszedł w konkretną sytuację z konkretnym człowiekiem? Kto nie stawiał siebie na Jego miejscu, jakby Nim był? Św. Paweł używa formuły: „przyoblec się w Chrystusa". Inni mówią o „naśladowaniu Chrystusa". Czy jedno i drugie nie oznacza bezustannej wymiany punktów widzenia? To, czego dokonał pisarz, dokonuje na swój sposób każdy praktykujący chrześcijanin. Różnicę poznać dopiero po owocach: w przypadku człowieka wierzącego owocem jest dążenie do „bycia chrześcijaninem", w przypadku pisarza owocem jest stworzenie dzieła literackiego.

Napięcia rozumienia

Wspomniałem wyżej o „sporze", jaki toczy się we wnętrzu każdego rozumienia, między dotychczasową zawartością naszych głów a tym, co niesie ze sobą nowe doświadczenie. Za kogo uważamy Syna Człowieczego? Pytanie natrafia na ogromne złoża historycznej pamięci. Nasze poszukiwania źródeł odpowiedzi na pytanie „za kogo?" biegną

poprzez wiarę naszych rodziców, duszpasterzy, jakieś świadectwa, jakieś „budujące" lektury, osobiste spotkania z Biblią, by w końcu zgubić się w mrokach bezpamięci. Nauka o Chrystusie – „chrystologia" – jest integralną częścią kultury europejskiej. W niej, jak w soczewce, odbijają się epokowe obrazy Boga i człowieka, dobra i zła, wolności i łaski, polityki ziemskiej i niebiańskiej. Dzieje rozwoju chrystologii, zwłaszcza w pierwszych wiekach chrześcijaństwa, są pełne napięć i często nadają się jako materiał na powieść kryminalną. Można zobaczyć, jak chrześcijaństwo „spierało się" z judaizmem i hellenizmem, by na tej drodze określać swą tożsamość. Dziedziczymy pytania, dziedziczymy odpowiedzi. Jedynie od czasu do czasu wybucha w naszej duszy spór między dziedzictwem a doświadczeniem.

Opowieść Normana Mailera może wyzwolić taki spór.

Chrystologia tradycyjna, zwłaszcza scholastyczna, była zdominowana przez ontologię, czyli abstrakcyjną naukę o „bycie jako bycie". Pytała, jak jest możliwe zjednoczenie we wcieleniu n i e s k o ń c z o n e g o bytu Boga ze s k o ń c z o n y m bytem człowieka? Kropla, która dotknęła morza, roztapia się w morzu. Czy ludzka skończoność Jezusa nie roztopi się w boskiej nieskończoności? Oparta o ontologię myśl chrześcijańska odpowiadała, że wcielenie jest „zasadniczo możliwe". Bliżej pokazywały to rozmaite „teorie wyjaśniające", inspirowane gnozą, platonizmem, arystotelizmem. Z niektórych wyłaniały się potem rozmaite „herezje". Trzeba mieć respekt dla tych przedsięwzięć. Ich rola kulturowa była ogromna. Gdyby nie dało się nijak pojednać ontologii z teologią, nie stalibyśmy się dziedzicami kultury greckiej, lecz raczej jej niszczycielami. Z drugiej jednak strony trzeba zdawać sobie sprawę z ograniczeń ontologicznego przedrozumienia? Pyta ono zawsze: jak to możliwe, by stało się to, co się już stało? Nie pyta o faktyczność, lecz o możliwość. Faktyczność jest założona, wcześniejsza, przyjęta dzięki spostrzeżeniu lub wierze. Proszę wybaczyć, że dla wskazania ograniczoności takiego podejścia posłużę się starym dowcipem „Radia Erywań". „Zapytano Radio Erywań, czy to prawda, że rybacy radzieccy złowili w Morzu Kaspijskim rybę, która od głowy do ogona ma trzy metry, a od ogona do głowy ma cztery metry? Radio odpowiada: 'Niemożliwe

to nie jest. Nauka radziecka zna podobne przypadki. Na przykład: od niedzieli do środy mamy trzy dni a od środy do niedzieli cztery dni'."

Nowożytna chrystologia idzie innymi drogami. Ogniskuje uwagę na faktyczności, by wydobyć z niej przysługujący jej sens. Stąd bierze się u niej preferowanie metod hermeneutycznych. Świadomość uwolniła się z więzów ontologii i sięgnęła do metod hermeneutycznych. Nie jest istotne to, co jest, istotne jest to, jaka jest świadomość tego, co jest. Nie o to chodzi, kim jest człowiek „obiektywnie", lecz o to, jaką ma samoświadomość. Człowiek jest tym, czym jest w dramacie, w którym uczestniczy. Kim jest Antygona? Jest tym, czym jest dramat Antygony. Kim jest Chrystus? Jest tym, czym jest dramat Chrystusa. W każdym przypadku czynnikiem decydującym o tożsamości człowieka okazuje się jego dramatyczna samowiedza.

W nowym kontekście kulturowym książki typu „Ewangelia wedle Syna" Normana Mailera nabierają szczególnej wartości. Są nie tylko mniej lub bardziej udanym dziełem literackim, ale także cenną propozycją skierowaną do myślenia religijnego – zwłaszcza tego, które jest wrażliwe na dramatyczny wymiar ludzkiej egzystencji. Nie wymagamy dziś od pisarza, by jego twórczość była dokładnym odbiciem jakiejś koncepcji teologicznej Chrystusa, ale oczekujemy, by wrażliwa na dramat i wolna od zobowiązań wobec kościelnych dogmatyk, rzuciła światło w głąb ciemności, w których ortodoksyjny teolog, zwłaszcza związany aksjomatami ontologii – traci wzrok. Opowieść nie powinna rozstrzygać spraw wiary, ale powinna „dawać do myślenia". Cokolwiek by się rzekło o próbie Normana Mailera, jego opowieść „daje do myślenia".

Mistrz cierpienia

Trzeba zapytać: z jakim przedrozumieniem przystępuje Norman Mailer do rozumienia Jezusa? Wszystko wskazuje na to, że przedrozumienie Mailera wywodzi się z idei „Mistrza Cierpienia", zakorzenionej głęboko w tradycji judaizmu. Nie czas i miejsce, by rozwodzić się szerzej nad tą tradycją,

wystarczy pamiętać o tym, co istotne: prawdziwa wiara religijna jest przede wszystkim wiarą w potęgę cierpienia. Cierpienie otwiera drogę poznaniu, cierpienie oczyszcza, cierpienie zbawia. Wszystko, co jest wielkie, jest wielkie przez cierpienie. Także wiara jest wielka dzięki cierpieniu i to nie tylko wtedy, gdy rodzi się z cierpienia, ale również wtedy, gdy od wewnątrz gnębi ją zwątpienie i rozpacz. Tożsamość osoby ludzkiej jest tożsamością jej cierpień.

Czy w przypadku Jezusa można sobie wyobrazić inne przedrozumienie? Oczywiście, można. Można szukać światła w idei miłości. Wtedy nie cierpienie będzie ważne, ale miłość, z którą ewentualnie wiąże się cierpienie. Cierpienie towarzyszy miłości, ale nie ono stanowi o jej naturze. Kto kocha, ten nie zauważa cierpień. Miłość rodzi świadomość sensu a świadomość sensu pozwala przyjąć i znieść cierpienie. Najgorsze w cierpieniu jest bowiem zwątpienie, czy cierpi się z sensem czy bez. Nie to jest istotne, że Jezus cierpiał i jak cierpiał, ale to, jaki sens miało jego cierpienie. W świadomości sensu można znaleźć zalążek poczucia szczęścia, które rodzi się tam pomimo bólu.

Mailer jest jednak również „dzieckiem czasu swego", czyli dzieckiem tradycji kartezjańskiej, która wciąż jest zapatrzona w świadomość i w kryjące się w niej zagadki. Co czerpie z tego skarbca? Przede wszystkim obraz „rozszczepienia świadomości", bliski nie tylko psychoanalizie, ale również Kartezjuszowi i Husserlowi. Jezus Mailera jest Jezusem „rozszczepionej świadomości". Najpierw ma on świadomość, że jest Jezusem z Nazaretu, synem cieśli, zaprawianym do obróbki drzewa; nawet wtedy, gdy dotknie krzyża, dotknie go tak, jak cieśla dotyka drzewa. Potem narasta w nim świadomość, że został przez Boga wybrany i oto jest Synem Bożym. Boska świadomość nie rodzi się bez oporów, w końcu jednak pozostaje. Od samego początku bez przerwy jednej i drugiej świadomości towarzyszy świadomość Narratora – tego, który opowiada „Ewangelię Jezusa". Opowieść nie kończy się wraz ze śmiercią, lecz trwa nadal, rozciągając się na zmartwychwstanie aż po współczesność. Kim jest Narrator? Kim jest ten, kto opowiada o sobie jako o Jezusie i jako o Synu Bożym? Pytanie pozostaje bez odpowiedzi.

Spójrzmy bliżej na poszczególne wątki opowieści.

Najpierw zobaczmy, co Syn Boży Mailera mówi o wierze. Potem, co mówi o posłuszeństwie i o Niebie, do którego w końcu wstępuje.

Syn Boży wymaga wiary. Słuchacze natomiast domagają się wciąż nowych znaków dla wiary. Chrystus mówi: „Gdybyście mieli wiarę..." Słuchacze mówią: „Gdybyś nam dał znak". Wiara ta rodzi się z bólu i sama jest bólem. Co jest pierwsze, ból czy wiara? Chory wierzy, bo chce wyzdrowieć. Czy można wierzyć bezinteresownie, wspaniałomyślnie, szczęśliwie i być dumnym ze swojej wiary, jak wierzą w siebie i są dumni kochankowie? Czytamy: „Jeśli wiara jest dla niektórych czymś prostym, będzie wkrótce labiryntem dla Syna Człowieczego; na każdym wyboju drogi będę pytał siebie, czy byłem bliższy światła, czy cofnąłem się ku ciemnościom". Wiara ma w sobie ciemność. Jest nie ustającą walką z ciemnościami i zarazem przywołaniem ciemności, aby umożliwiły wiarę. Z walki tej powstaje jeszcze głębsza wiara – głębsza, bo pamiętająca swój ból. Wisząc na krzyżu, Syn Boży woła: „Boże mój, czemuś mnie opuścił?" Natychmiast przychodzi Szatan i mówi: „Sprawię, że zstąpisz z krzyża". Czytamy dalej: „To była pokusa. Jedna myśl powstrzymała mnie, by nie ulec. Płonące łzy zaperliły się w moich oczach na tę myśl, gdy skłoniła mnie, by powiedzieć „nie" Szatanowi. Dzięki godzinom, jakie spędziłem na krzyżu, wiedziałem. Ojciec mój czynił tylko to, co mógł. Tak, jakbym ja nie czynił tego, com mógł. Tak oto On był jednak moim Ojcem. Jak wszyscy Ojcowie, był pełen sprzeczności, a niektóre z nich nie miały nic wspólnego z Synem. Czyżby poświęcił mi tyle troski, że był już wyczerpany? Jak ja, gdy byłem zbyt zmordowany, by iść do Ogrodu Getsemani". Czym po takim doświadczeniu może być wiara, jeśli nie zawodem wynikającym z przekonania, że Ten, kto wydaje się wszechmocny, nie jest wszechmocny? Wierzyć we wszechmoc, a widzieć niemoc – oto ból i wielkość wiary! Chwała bólowi za to, że określa wielkość wiary!

Drugi motyw to motyw posłuszeństwa. W istocie rzeczy to, co podstawowe w stosunku do Boga, sprowadza się do posłuszeństwa. Wiara okazuje się formą posłuszeństwa. Na tym polega jej godność, że potrafi być posłuszną aż do śmierci. Zarazem jednak w posłuszeństwie tym jest ukryta – wedle Mailera – jakaś ironia, może nawet jakieś szyderstwo. No cóż, jestem Ci posłuszny i co z tego? Czy ludzie są przez to szczęśliwi? Czy świat jest zbawiony? Jak wiemy ze świeżego doświadczenia tyranii, nie jest sztuką doprowadzić człowieka do stanu posłuszeństwa, sztuką jest nie zmarnować posłuszeństwa.

Posłuszeństwo oznacza wymazanie wolności. Jezus Mailera został wybrany, ale czy Jezus wybrał? Jezus Mailera czuje, że przez niego płynie jakaś siła, której nie rozumie, choć dzięki niej wokół dzieją się cuda. Właściwie nigdy nie jest pewny, co się stanie, czy uzdrowienie nastąpi czy nie, czy Łazarz wstanie z grobu, czy nie. Gdy cud następuje, jest nie mniej zachwycony niż inni. Jezus Mailera wciąż szuka jedności z samym sobą. Po chrzcie nad Jordanem wyznaje: „...wiedziałem, kim był inny człowiek, który żył w mojej oprawie, a on był lepszy niż ja. Stałem się tym człowiekiem". Człowiek nie wybiera siebie, lecz tylko staje się sobą – staje na miarę posłuszeństwa Jedynemu. Czasem zdarza się, że posłuszeństwo prowadzi do zwycięstwa i wtedy tożsamość między Panem a Mistrzem Cierpienia pogłębia się. Po pokonaniu Demona na pustyni Syn Człowieczy popada w uniesienie: „...Bóg wybrał mnie na swego Syna zapewne dlatego, ze urodziłem się i żyłem raczej w środowisku prostych ludzi niż jako król. W ten sposób mógłem zrozumieć małe cnoty i wątłe nawyki u innych. Jeśli będę w stanie rozwinąć moje możliwości (a wiedziałem, że On obdarzył mnie obficie), być może ludzki świat wzrośnie w cnotę wraz ze mną. Zacząłem więc wierzyć w mego Ojca. Zamęczę się dla Niego. On był Panem Wszechświata. Wkrótce przyjdzie, by ocalić Jerozolimę. Zamęczę się z radością".

Ale gdzie w tym wszystkim jest jakiś wybór? Gdzie jest wolność? Czy „Ewangelia według Syna" jest Ewangelią wolności? Jest raczej jeszcze jednym przykładem zimnego przeznaczenia, w którym wolność sprowadza się do przebierania między przeznaczeniami i czepiania się najwyższego i najmocniejszego. Jezus Mailera jest wolny wolnością, która polega na „rozumieniu konieczności". Szkoda.

A oto scena w Ogrójcu. „Smutna jest dusza moja aż do śmierci". Krwawy pot występuje na czoło. „Modliłem się, by ta godzina mnie ominęła... Wiedziałem jednak, że uderzenie

cierpienia mnie nie ominie; przepaść nie ma dna. Nagle ogarnął mnie strach przed Ojcem, ponieważ odczułem litość dla siebie".

Co pozostało po ofierze posłuszeństwa? Syn Boży wstąpił do nieba, do Ojca. Jak wygląda niebo? Czy Syn cieszy swe oko widokiem uszczęśliwionego Ojca? Nie. Syn w ogóle nie patrzy na Ojca. Wzrok Syna kieruje się ku ziemi. Jest pełen litości. Ze smutku ziemi czerpie smutek dla siebie: „Moja ostatnia myśl zwróciła się ku twarzom biednych, jakże piękne były w moich oczach! I miałem nadzieję iż prawdą będzie to, o czym zaczęli mówić wszyscy moi uczniowie, że za nich umarłem na krzyżu".

Jest w Jezusie Mailera jeden ból, który bezpośrednio nie wiąże się z wiarą, ale ze stosunkiem do Matki. Matka jest pełna niepokoju o Syna. Pamięta złowrogie przepowiednie. Chciałaby Go uchronić od męki, a jeśli to niemożliwe, to przynajmniej oddalić mękę, opóźnić ją. Przychodzi ku Niemu, gdy otaczają go tłumy. Ktoś mówi: „Oto matka twoja". Ale Jezus nie zwraca na nią uwagi. Pokazuje na tłumy: „Oto moja matka! Oto moi bracia" Dopiero, gdy to powiedział, zdał sobie sprawę z tego, jaki ból zadał Matce. Ból Matki przeniknął duszę Syna i w niej pozostał. Poniesie go w sobie do końca – ten jakże ludzki ból odchodzących synów i córek.

Symbolika „Mistrza Cierpienia" wciąż do nas wraca. Szczególnie natrętnie wraca wtedy, gdy wchodzimy w kolejną, krwawą tragedię człowieka – tragedię, która miała się więcej nie powtórzyć. Nie widząc szczęścia w radościach zwyczajnego życia, szukamy go w głębiach nieuniknionego cierpienia. Czy znajdujemy? A jeśli znajdujemy, czy nie sprzeciwia się to naszemu cierpieniu? Czy nie więzi w błędnym kole, w którym „zamęczamy się radością" a radujemy męką?

Ironia jako epilog

Jakiż jest finał historii? Finał przypomina konstrukcję opowieści o Hiobie. O co chodziło w tragedii Hioba? Chodziło o to, że Bóg chciał się pochwalić i pokazać Demonowi, co potrafi. Los Hioba był owocem zakładu. Bóg – oczywiście – wygrał zakład.

Kiedyś w krakowskim Teatrze im. Juliusza Słowackiego, Krzysztof Babicki wystawił na scenie „Księgę Hioba". Zakończenie Księgi kazał czytać Demonowi. Demon czytał: „A teraz Pan błogosławił Hiobowi, tak że miał czternaście tysięcy owiec, sześć tysięcy wielbłądów, tysiąc jarzm wołów i tysiąc oślic"... itd. Aktor grający rolę Demona czytał tekst z szyderczą ironią w głosie. I to ma być satysfakcja? I to ma znaczyć, że „nic wielkiego się nie stało"? Było, minęło, nie ma o czym mówić? Czy można grać z człowiekiem w taką grę? Ten sam ton szyderczej ironii odnajduję w końcowych fragmentach opowieści Mailera.

Czytamy: „...być może mój Ojciec nie pokonał Diabła. Mniej niż czterdzieści lat po tym, jak umarłem na krzyżu, milion Żydów zginęło w wojnie przeciwko Rzymowi. Z Wielkiej Świątyni pozostał tylko mur. Jednakowoż Ojciec okazał się tak samo złośliwy jak Szatan. Lepiej niż Diabeł rozumiał mężczyzn i kobiety. Mój Ojciec wiedział bowiem jak wyzyskać klęskę nazywając ją zwycięstwem. Dziś wielu chrześcijan sądzi, że wygrało swą partię. Wierzą, że zostali włączeni w uczestnictwo jeszcze przed urodzeniem. Wyobrażają sobie, że zwycięstwo to przypadło im w udziale dzięki moim cierpieniom na krzyżu. Tym sposobem mój Ojciec wciąż ma ze mnie ogromną korzyść. Dzięki krętym drogom mojej łaski Pan rozlewa miłość. Może podtrzymywać to stworzenie, jakim jest mężczyzna i kobieta, a ja staram się pozostawać źrodłem miłości, która jest czułością"

Ostatnie słowa znów przenoszą nas w nasze czasy – czasy wciąż nowych „teorii świadomości". Wedle jednej z nich, nie ma miłości, miłość jest tylko czułością. Cóż więcej można zrobić dla ludzi tak czy owak skazanych na cierpienie? Nie można ich uratować, nie można im ulżyć, można im co najwyżej ofiarować czułość. Dotyczy to również Syna Bożego. Choć wiele mówił o miłości, to nie powinien oczekiwać od człowieka niczego więcej oprócz odrobiny czułości. Naszą religią może być jedynie „religia czułości".

Idąc nadal tropem ironii, natrafiamy na ironię starego Voltaire'a, który gdzieś rzekł: „Jeśli Bóg stworzył człowieka na swój obraz i podobieństwo, to człowiek oddał mu to z nawiązką".

Ks. Józef TISCHNER

Rondo dolnośląskie

„Wilcze jagody" („Wolfsbeeren", 1987) Leonie Ossowski* to środkowa część trylogii dolnośląskiej, której część pierwsza nosi tytuł „Weichselkirchen" („Wiśnie", 1976), ostatnia zaś „Holunderzeit" („Czas czarnego bzu", 1991). Dobrze się stało, że właśnie ten tom rozpoczął – w dobrym przekładzie Eugeniusza Wachowiaka – polską prezentację całego cyklu, tu bowiem sięgamy w najgłębszą przeszłość bohaterów, których losy rozgrywają się na tle panoramy niemieckiej historii od roku 1918, konkretnie: od 7 listopada tego roku – na ten dzień datuje bowiem bohaterka „Wilczych jagód", Sophie von Sarbach (jak sama się określa, „córka oficera z rodziny o zakorzenionych tradycjach i wiernej cesarzowi") początek swego pamiętnika, którego pisanie rozpoczyna w roku 1933. Jak widzimy, data klęski Niemiec w pierwszej wojnie światowej nakłada się tu na datę dojścia do władzy Hitlera.

Śledząc losy bohaterki poruszamy się w dwóch równolegle opisywanych obszarach czasowych – pierwszy to przestrzeń lat 1918-1933 rekonstruowana w pamiętniku, drugą tworzy historia lat 1933-1945 stanowiąca czas powieściowej akcji. Rzecz jest tak skomponowana, że rok 1933 znaczy zarazem początek i koniec opowieści – mamy więc do czynienia ze swoistym rondem. Dwa sposoby narracji – pierwszy osobisty, intymny niemal oraz drugi zdystansowany, zewnętrzny wobec postaci i opisywanych wydarzeń – oddzielają dwie sfery niemieckiej historii, przy czym cezura przeprowadzona w roku 1933 jest niezwykle wyrazista, wówczas to bowiem nazizm objawia się w swej nagiej i brutalnej sile także w „Wilczych jagodach": „W Eichwaldzie, przysiółku z trzema do cna zubożałymi zagrodami, na skraju drogi, w chacie krytej słomą, mieszkał wraz rodziną człowiek o nazwisku Killert. Nie miał ani roli ani pracy, tylko za głodową zapłatę wynajmował się to tu, to tam (...) Po chwili z chałupy wyszedł Killert i również podniósł rękę, choć mniej sprężystym ruchem, zgiętą w łokciu – *Heil Hitler*, panie

* Leonie Ossowski, „Wilcze jagody", tłum.: Eugeniusz Wachowiak, Dom Wydawniczy Rebis, Poznań 1998, s. 396.

baronie! zawołał (...) – Co to ma znaczyć, Killert? – zapytał Leopold podenerwowany – To pan jeszcze zobaczy – odparł Killert".

Zwykłe początki zwykłego nazizmu zobaczyła więc autorka w majątku własnego męża, Leopolda von Zetrscha. Jeszcze w początkach znajomości przedstawił się jej następująco „Jestem Ślązakiem (...) a mówiąc dokładniej pochodzę z Grenzmark Posen-Westpreussen, z Poznańsko-Zachodniopruskiego Pogranicza, jak się po przegranej wojnie nazywa naszą okolicę, leżącą na południowy zachód od Poznania i na wschód od Głogowa. Majątek nazywa się Rohrdorf i znajduje się bezpośrednio przy polskiej granicy (...) Siedemset lat stanowi on rodzinną własność". W tym też majątku spędza Sophie swe życie do roku 1945, chwili ucieczki: „Leopold opuścił dom ostatni. Ceremonialnie zamknął podwoje wejściowe, przekręcił dwa razy klucz w zamku i przez chwilę się zastanawiał, czy wcisnąć go w rękę Lenartowi, który pomimo zimna stał z odkrytą głową. Uważajcie Lenart – powiedział Leopold cicho – uważajcie Lenart, aby Rosjanie nie porozbijali wszystkiego w drobny mak". Te słowa kończą siedemsetletnie dzieje rodziny w Rohrdorfie, który od roku 1945 przechrzczony został na Ujazd.

Sophie przybywa do tego świata z zewnątrz – po części zaczyna się z nim identyfikować, przejmować jego problemami, po części jednak pozostaje on dla niej obcy. Wyrazista granica, nie tylko państwowa, która przebiega tuż obok majątku, zaczyna dzielić, zwłaszcza po roku 1933, społeczności niemiecką i polską, przed rokiem 1918 tworzącą jedną zbiorowość. Nie mamy tu do czynienia z jakimś poważnym konfliktem. Dzieją się rzeczy korzystne dla obu stron – jak choćby szmugiel, przez długi czas tolerowany. Z biegiem czasu jednak narasta poczucie narodowej obcości. Najpełniejszy wyraz znajduje ono w stosunku do romansu miejscowej dziewczyny, Magdy Weiss z Janem Orlińskim, polskim nauczycielem z pogranicznej Zawady – młodzi spotykają się podczas zbierania wilczych jagód w lesie – romans kończy się dramatyczną śmiercią obojga kochanków w pierwszych dniach wojny. „We wsi nie mówiono o miłości nauczyciela do niemieckiej dziewczyny, nie mówiono również o tym, że go Niemcy pobili i zadenuncjowali jako podpalacza. Mieszkańcy Zawady wcale nie współczuli swojemu nauczycielowi. Już od dawna zyskało na aktualności stare polskie przysłowie: „Dopóki świat światem, nie będzie

Niemiec Polakowi bratem". Dobre stosunki ustały od 1933 roku. Ustał nawet przemyt".

Powieść Leonie Ossowski, czasem aż urzekająco naiwna – ale też i naiwna politycznie jest jej główna bohaterka – odtwarza świat już nie istniejący, świat niemieckich kresów wschodnich, odgrywający w kulturze tego kraju rolę olbrzymią, porównywalną z rolą, jaką w kulturze polskiej odgrywają nasze kresy wschodnie. Dotąd znaliśmy przede wszystkim gdańską opowieść Grassa, pomorski dramat „Czasu kobiet" von Krockowa, legendę Prus Wschodnich opisywaną przez Lenza i Dohoffa, po części też Bobrowskiego. Obecnie dochodą do tego śląskie wątki w pisarstwie Bienka, Osssowski oraz Hontosch. Z pewnością też warto przedstawić czytelnikowi polskiemu dalsze losy bohaterów „Wilczych jagód". W „Wiśniach" mamy do czynienia z częstym w latach sześćdziesiątych w literaturze zachodnioniemieckiej (w NRD temat był zakazany) wątkiem odwiedzin ziem rodzinnych, pozostawionych w Polsce. W „Czasie czarnego bzu" możemy śledzić losy tych postaci już współcześnie.

Leszek SZARUGA

Revue d'Histoire de la Médecine Hébraïque

Przez okres około czterdziestu lat, aż do połowy lat osiemdziesiątych, w Paryżu wydawane było czasopismo poświęcone historii medycyny żydowskiej *Revue d'Histoire de la Médecine Hébraïque*. Twórcami, redaktorami i wydawcami pisma byli lekarze i historycy nauki, działający w założonym w 1936 roku przez dr I. Simona Société d'Histoire de la Médecine Hébraïque. Kwartalnik wydawany skromnymi środkami, w niewielkim nakładzie i adresowany do bardzo wąskiego grona czytelników, szybko stał się pismem wyjątkowym. Wśród jego współpracowników i gości odnaleźć można nazwiska wielu wybitnych naukowców i humanistów naszego stulecia jak choćby profesora

J.O. Leibowitza, uznawanego za jednego z najważniejszych izraelskich intelektualistów, czy też S. Waksmana, laureata Nagrody Nobla i odkrywcę streptomycyny. Polska, jej historia i związki z kulturą żydowską były obecne praktycznie w każdym numerze.

Wielokrotnie przypominano bardzo dawne tradycje żydowskich medyków w Rzeczpospolitej. Kilka artykułów poświęcono nadwornym lekarzom polskich monarchów. Salomon ben Natan Askenazy po przyjeździe z Włoch do Polski leczył Zygmunta II Augusta. Po jego wyjeździe do Turcji, ambasador króla Rzeczpospolitej pragnął bezskutecznie zaangażować jednego z najsłynniejszych uczonych owego okresu, Amatusa Lusitanusa. Salomon Calahorra dotarł do Rzeczpospolitej po studiach w Ferrarze i w 1560 roku został lekarzem w Krakowie, by w 1570 roku stać się królewskim lekarzem Zygmunta II Augusta. Yashar Salomon Delmedigo (urodzony na Krecie w 1591 zmarły w Pradze w 1655) po studiach we Włoszech udał się do Egiptu, gdzie związał się z Karaitami. W początkach siedemnastego wieku dotarł do Wilna, gdzie był lekarzem księcia Radziwiłła. Dawid Mayer, uczeń Paracelsjusza, był długoletnim medykiem Stefana Batorego.

Żydowscy lekarze polskich monarchów często nie ograniczali się jedynie do leczenia chorób i prowadzenia uczonych dysput. Wielu z nich odegrało znaczącą rolę polityczną. Profesor Mayer Halevy z Uniwersytetu w Bukareszcie przypomniał tajemniczą postać żydowskiego lekarza tatarskiego chana. Rolę politycznego emisariusza w negocjacjach z nadwołżańskimi Tatarami pełnił także Izaak Hispanus, kolejny lekarz polskiego dworu. W Rzeczpospolitej przebywał również Izaak Beg, lekarz hospodara mołdawskiego Stefana Wielkiego, ambasador szacha perskiego Uzum Hassana. Uczony ten odgrywał aktywną rolę w mediacji pomiędzy światem chrześcijańskim i muzułmańskim, i tajnej polityce Republiki Weneckiej.

W pracach publikowanych przez *Revue d'Histoire de la Médecine Hébraïque* często powraca wspomnienie Rzeczpospolitej jako kraju religijnej i politycznej tolerancji. L. Glessinger z Zagrzebia przypomina w publikacji poświęconej historii farmacji, że Polska była jednym z niewielu miejsc, gdzie w Europie XVII i XVIII wieku nie zabraniano praktykowania tego zawodu żydowskim aptekarzom. W swoim artykule przypomina historię wielu aptekarskich pokoleń rodziny Calahorra z krakowskiego Kazimierza. Nic dziwnego, że spadkobiercy tej tradycji kierowali ruchem walki o zniesienie zawodowej dyskryminacji w Austro-Węgrzech. Pierwszym żydowskim aptekarzem monarchii

habsburskiej był Michał Perl z Zaleszczyk, któremu Franciszek Józef pozwolił otworzyć aptekę w Tarnopolu.

Z Rzeczpospolitą byli także związani żydowscy lekarze rosyjskiego dworu. Daniel Gaden z Krotoszyna został w 1656 roku lekarzem cara, był także założycielem jednej z pierwszych moskiewskich aptek. Rosja zawdzięczała temu uczonemu poznanie chininy (której 53 funty przywiozła jego matka wracając z tureckiej niewoli). W 1682 roku lekarz ten został oskarżony o udział w spisku i stracony. Carskim lekarzem i doradcą dworu był także portugalski uczony Ribeiro Sanches, przyjaciel wielkich filozofów i uczonych Oświecenia, członek wielu towarzystw naukowych. W latach 1735 i 1736 brał udział jako lekarz w wojnie z Rzeczpospolitą i zasłynął z humanitarnego traktowania rannych z obu walczących stron.

Żydowscy lekarze pierwszej Rzeczpospolitej to nie tylko dworscy uczeni przybyli z zachodnioeuropejskich uniwersytetów, ale także długa, bo zapoczątkowana na polskich ziemiach w dziewiątym wieku (a zdaniem niektórych autorów nawet w piątym), tradycja *Baali hashem*, wądrownych uzdrowicieli, adeptów magii i kabały, sprzedawców leczniczych roślin, amuletów i zaklęć. D. Margalith z Uniwersytetu w Tel-Avivie napisał artykuł o medycynie chasydzkiej, przypominając lekarskie praktyki Baal Shem Tova, twórcy ruchu chasydzkiego jak i innych „lekarzy ludowych". Znaczenie niektórych *Baali hashem* znacznie zresztą przekraczało rolę miejscowych uzdrowicieli-cudotwórców. Yoël Baal Shem de Mazamosetz, działający w osiemnastowiecznej Rzeczpospolitej stworzył oryginalny system astronomiczno-astrologiczny i opublikował we Lwowie „Mifaloth Elohim" – zbiór cudownych recept.

Obecność żydowskiej tradycji lekarskiej nie ustała oczywiście wraz z upadkiem Rzeczpospolitej. Leon Perel opublikował wspomnienie o Maurycym Hirszfeldzie, jednym z najważniejszych polskich anatomów dziewiętnastego wieku. Kilkakrotnie w *Revue d'Histoire de la Médecine Hébraïque* wspominano także twórcę esperanto – Ludwika Zamenhoffa i jego rodzinę, m.in. dr Henryka Zamenhoffa – dermatologa, jednego z twórców polskiej kosmetologii, redaktora pism kobiecych, ukazujących się na przełomie wieków i Leona Zamenhoffa – warszawskiego lekarza, pioniera prac z zakresu etyki medycznej. Przypomniano także pomoc okazaną przez żydowskich naukowców z Wrocławia niemieckiemu uczonemu, Robertowi Kochowi, późniejszemu laureatowi nagrody Nobla, gdy jako prowincjonalny lekarz z podpoznańskiego Wolsztyna usiłował zainteresować świat akademicki rezultatami swoich badań nad gruźlicą.

Wiele artykułów jest poświęconych pamięci holokaustu i zagładzie społeczności żydowskiej w Europie Środkowej. Przypomniano sylwetki zamordowanych lekarzy – Janusza Korczaka i Toli Minc, kierującej jednym z podwarszawskich sanatoriów dziecięcych, która podobnie jak Korczak nie chciała opuścić swoich dziecięcych pacjentów i towarzyszyła im w drodze do obozu zagłady. Przypomniano także całe pokolenie żydowskich lekarzy, społeczników walczących z nędzą robotniczych dzielnic, Łodzi i Warszawy, pokolenie socjalistycznych działaczy zamordowanych przez hitlerowców, często już w pierwszych dniach okupacji.

Wiele prac poświęcono udokumentowaniu zbrodniczych doświadczeń na ludziach, dokonywanych przez niemieckich lekarzy i programowi masowej sterylizacji podbitych narodów. Redaktorzy pisma wystosowali także wiele listów do niemieckich towarzystw lekarskich i organizowali akcje pamięci. Rachel Minc opublikowała wstrząsający opis zachowania dzieci żydowskich wobec zagłady. Przypominano i gromadzono dokumenty dotyczące historii ruchu oporu. Praca dr M. Dworzeckiego, lekarza i historyka nauki z Uniwersytetu w Tel-Avivie, a zarazem jednego z nielicznych żyjących świadków zagłady wileńskiego getta „Jerusalem de Lithuanie sa lutte et sa fin" została nagrodzona przez Kongres Kultury Żydowskiej w USA. Kwartalnik interesował się nie tylko medycznymi aspektami holokaustu. Leon Poliakov opublikował jedną z pierwszych analiz totalitarnej nowomowy (wydał nawet książkę na ten temat „Breviaire de la Haine"), w której zwrócił uwagę na znaczenie językowej banalizacji ludobójstwa w hitlerowskich dokumentach i osłabienie w ten sposób wewnętrznego oporu oprawców.

Revue d'Histoire de la Médecine Hébraïque opublikowało także cykl specjalistycznych artykułów dotyczących powojennych konsekwencji holokaustu. Zwracano uwagę na ciężkie choroby tych, co przeżyli (choroby układu krążenia, nowotwory, gruźlicę, zaburzenia psychiczne). Podkreślano fatalny stan zdrowia nowych emigrantów w Izraelu i ogromną śmiertelność wśród przybyszy z Polski (kilkakrotnie większą niż wśród imigrantów z krajów arabskich). Publikowano także wiele artykułów na temat: „świat koncentracyjny" i problemy powrotu do normalnego życia.

Wiele artykułów poświęcono także początkom państwa Izrael, wielokrotnie podkreślano pierwszoplanową rolę diaspory

z Polski w tworzeniu zrębów nowoczesnej żydowskiej państwowości. W szczególności interesowano się początkami nauki, oświaty i służby zdrowia, w których to dziedzinach przybysze z Polski dominowali przez całe pierwsze pokolenie twórców państwa Izrael, tzn. aż do momentu wykształcenia nowej, już urodzonej w Izraelu, kadry profesjonalnej. Przypominano także ciągle żywe związki z Polską. Dr Benjamin Amiva w obecności konsula Izraela prezentując początki organizacji nauki w państwie Izrael (referat został wygłoszony 3 listopada 1948 gdy jeszcze trwały walki z Anglikami m.in. o pustynię Negev), wspomniał o tysiącach szczepionek wyprodukowanych w Jerozolimie pod kierunkiem dr Kligera dla potrzeb polskiej armii i o wsparciu polskich władz wojskowych dla izraelskiego ruchu niepodległościowego.

Problematyka krajów znajdujących się pod sowiecką dominacją często powracała na łamy *Revue d'Histoire de la Médecine Hébraïque*. Nic w tym zresztą dziwnego, zważywszy na zainteresowanie redakcji historią żydowskiej diaspory w Europie Środkowo-Wschodniej jak i licznych współpracowników pisma zza żelaznej kurtyny. Z niepokojem komentowano przygotowania do moskiewskiego procesu „lekarzy trucicieli". Pozycja redakcji jest godna podkreślenia zważywszy, że we Francji nie brakowało „postępowych" lekarzy i naukowców, organizujących konferencje, na których „dowodzono" winę oskarżonych. Profesor Baruk, jeden z najaktywniejszych współpracowników czasopisma, przygotował i podpisał rezolucję domagającą się powołania międzynarodowej komisji dla zbadania tych absurdalnych zarzutów.

W *Revue* interesowano się badaniami dotyczącymi historii medycyny, informowano np. o utworzeniu w 1959 roku w Zagrzebiu Instytutu Historii Nauki, kierowanego przez Mirko Grmeka, później emigranta we Francji, dzisiaj jednego z najwybitniejszych europejskich historyków medycyny. W opracowanym przez dr Salvatora Israela z Bułgarii sprawozdaniu z kongresu polskich historyków medycyny w 1957 roku, zauważono nadejście odwilży w naukowej wymianie z historykami zza żelaznej kurtyny.

Revue d'Histoire de la Médecine Hébraïque przestało się ukazywać dopiero w latach osiemdziesiątych, prawdopodobnie w związku ze śmiercią jego twórcy i redaktora dr I. Simona. Liczne nekrologi publikowane przez cały okres istnienia kwartalnika dokumentowały odchodzenie ostatniego pokolenia polskich Żydów, ludzi związanych z Polską nie tylko historią czy

pochodzeniem, ale także urodzeniem, a często i wykształceniem, i początkami zawodowej kariery. Wśród nich było wielu wybitnych naukowców i lekarzy ze Stanów Zjednoczonych, Izraela i Europy Zachodniej. Redaktorzy *Revue d'Histoire de la Médecine Hébraïque* bardzo zabiegali o to, by związki kultury żydowskiej z Polską nie uległy zapomnieniu. Ich wysiłek wart jest przypomnienia i przedstawienia polskiemu czytelnikowi, zwłaszcza, że dziesiątki opublikowanych artykułów dotyczą nieznanych kart historii polskiej nauki i kultury.

Piotr DASZKIEWICZ

Antidotum na tęsknotę

Kończyłam właśnie studia, gdy przed dwudziestu laty umierał Andrzej Chciuk. W innych warunkach jako absolwentka polonistyki mogłabym znać jego twórczość, tymczasem nawet nie wiedziałem o jego istnieniu. Dziś, po czterech latach badań, w przededniu wydania biografii pisarza, jego rodzina określa mnie mianem „chciukologa".

Po raz pierwszy wzięłam do ręki jedną z książek Andrzeja Chciuka, jak się później okazało najlepszą – „Atlantydę" – na kilka miesięcy przed wyjazdem na stałe do Australii. Przypadek sprawił, że tuż po przyjeździe do Melbourne zamieszkałam w tej samej dzielnicy, w której on mieszkał. Gdyby stał jeszcze pensjonat Hofmana, w którym Chciukowie wynajęli pokój w listopadzie 1951 roku, mogłabym widzieć go z okien mojego mieszkania.

Przez pierwsze lata na emigracji trawiła mnie tęsknota. Musiałam znaleźć jakiś złoty środek, który wyzwoliłby mnie ze wspomnień i pozwolił żyć teraźniejszością. Moim antidotum stała się, dzięki Barbarze Schenkel, praca nad książką o życiu i twórczości Andrzeja Chciuka. Barbara nie tylko założyła wraz z Chciukiem pierwszy w Australii polski kabaret literacko-satyryczny, ale i pozostawała w nim przez wiele lat w przyjaźni. To właśnie ona, do dziś animatorka wielu wydarzeń polonijnych, wpadła na pomysł, że nie kto inny, ale ja powinnam napisać biografię Chciuka.

I tak się wszystko zaczęło. Poznałam wdowę po Andrzeju Chciuku (właść. Andrew Soddell), przeuroczą Basię Soddell, dziś panią po pięćdziesiątce, ale wciąż o wyglądzie dziewczęcym, jakby czas od śmierci męża się dla niej zatrzymał. Basia nie tylko udostępniła mi całe archiwum pisarza, pieczołowicie przechowywane częściowo w jej mieszkaniu na St. Kildzie, a częściowo w domu jej rodziców w Brisbane, ale także podała wiele adresów z notesu męża, w tym także jego żyjących braci, Władysława z San Francisco i Tadeusza (Marka Celta – Michała Lasoty) z Planegg pod Monachium. Skontaktowała mnie również z dorosłymi dziś dziećmi pisarza: Hanią i Jackiem.

Rozesłałam listy do drohobyczan rozrzuconych po świecie, do bibliotek, redakcji pism, różnych instytucji i fundacji. Jednych prosiłam o pomoc w ustaleniu faktów, o materiały i fotografie, drugich o subwencje. Zapowiadała się praca na wiele miesięcy.

W życiu Andrzeja Chciuka wyróżnić można trzy okresy: drohobycki, francuski i australijski. Drohobycki (1920-40) udało mi się odtworzyć dzięki pomocy Władysława i Tadeusza Chciuków, którzy do miasta ich dzieciństwa czują ogromny sentyment. Władysław jest gawędziarzem, wiele pamięta z czasów młodości, Tadeusz jest bardziej zasadniczy, ale też o Drohobyczu mógłby opowiadać godzinami. Dzięki nim udało mi się ustalić wiele dat i nazwisk, zwłaszcza uczniów i nauczycieli z Państwowego Gimnazjum im. Króla Władysława Jagiełły, do którego obaj uczęszczali, podobnie jak ich młodszy brat. Dużą pomoc okazał mi także historyk, dr Jerzy Drobiszewski z Kanbery, również rodem z Drohobycza. Wiele ciekawych materiałów, między innymi kopie młodzieżowych czasopism, do których Andrzej Chciuk pisał, otrzymałam ze Stowarzyszenia Przyjaciół Ziemi Drohobyckiej we Wrocławiu.

Okres francuski (1940-51) wydawał mi się najtrudniejszy do opisania. Nigdy we Francji nie byłam. Tymczasem dzięki uprzejmości Ryszarda Matury, archiwisty z Biblioteki Polskiej w Paryżu, który odpowiadał na wszystkie, niekiedy zapewne naiwne w jego ocenie pytania, Paryż przestał być zagadką. Wiele „powiedział" mi sam Chciuk w swojej pierwszej powieści „Czas kanalii", która powstała w latach 1948-50 (maszynopis z archiwum pisarza) i częściowo została napisana jako pamiętnik. Konfrontacja fragmentów pamiętnika ze wspomnieniami pierwszej żony pisarza potwierdziła zawarte w nim fakty.

Lata australijskie (1951-78) były najłatwiejsze do zrekonstruowania. Nie trzeba było słać tak wielu listów, wystarczyło

zadzwonić, umówić się z ludźmi, porozmawiać. Nagle uzmysłowiłam sobie, że prowadzę wyścig z czasem. Pierwszy z moich rozmówców, mecenas Chmielewski, który pamiętał Chciuka jako gimnazjalistę drukującego młodzieżowe pismo *Włóczęga* w drukarni na zapleczu jego adwokackiej kancelarii w Drohobyczu, odebrał sobie życie nim zdążyłam się z nim umówić, drugi – Kazimierz Skoczek zmarł niedługo po wręczeniu mi kilku archiwalnych zdjęć z komentarzem, że nie będą mu już potrzebne. Lista zmarłych, którzy kiedyś znali Andrzeja Chciuka, a z którymi przeprowadziłam wywiady, zaczęła się wydłużać: Włodzimierz Grafman (Chciuk pracował w jego restauracji „Quick"), Jan Landau (jeden z moich sponsorów), wreszcie Andrzej Gawroński, z którym występowali w „Wesołej Kookaburze" i „Perskim oku".

Największym bodaj przeżyciem było dla mnie spotkanie z pierwszą żoną Andrzeja Chciuka Barbarą z Kulwieciów, obecnie Fray, którą *ex*-mąż Chciuk porządnie obsmarował w swoich książkach. Pojechałam specjalnie do Sydney, aby się z nią zobaczyć. Drzwi otworzyła mi pani około siedemdziesiątki, w której Chciuk się kiedyś na zabój kochał, i która go zostawiła, bo był „niedojdą" i „nastrojowcem", podczas gdy ona podchodziła do życia praktycznie. Czekała na mnie z ruskimi pierogami, zamówionymi – jak zaznaczyła – a nie zrobionymi specjalnie na tę okazję. Po lunchu, już przy kawie wręczyła mi odbitkę paryskiego zdjęcia, na którym był oprócz niej Andrzej i malutki Jacek, zdjęcia, na którym tak bardzo mi zależało.

Pięćdziesięcioletniego Jacka poznałam u Basi Soddell, a Hanię na zaręczynach Jade, córki Jacka, w jednym z pubów w Melbourne. Jacek do złudzenia przypominał ojca. Ten sam wzrost, ta sama tusza, ten sam miękki głos. Tylko włosy mu się nie falowały. Dzień po zaręczynach doszło do niecodziennego spotkania. Oto o dwa kroki od miejsca zamieszkania pisarza, w kawiarni na Ackland Street, zasiedli przy jednym stole: dwie żony (pierwsza i trzecia) Andrzeja Chciuka – obie Basie, córka pisarza Hania z mężem i wnuczka pisarza, Bohdana (córka Hani). A z nimi ja.

W odtworzeniu australijskiego okresu pomogło mi w dużej mierze to, że mieszkam w mieście, w którym Chciuk przeżył ponad 25 lat. Mogłam chodzić jego ścieżkami, spotykać jego bliskich i znajomych, odwiedzać miejsca, które i on zapewne odwiedzał.

W dwudziestą rocznicę śmierci pisarza, która minęła 15 maja, wybrałam się z Basią Soddell na cmentarz w Springvalle

(dzielnica Melbourne). Skończyłam właśnie moją książkę o życiu i twórczości Andrzeja Chciuka. Chciałam mu o tym, stojąc nad jego grobem, sama powiedzieć.

Bogumiła ŻONGOŁŁOWICZ

Pisarze polscy na Litwie

Dostaliśmy ostatnio niezmiernie ciekawy katalog przekładów z literatury światowej na język litewski. Książki te zostały wydane przez Open Society Fund-Lithuania. Odnotowujemy polskie pozycje.

Piotr S. Wandycz – Laisves kaina (The Price of Freedom; A. Sabonis)

Czesław Miłosz – Maistingas Czesławo Miłoszo (Czesława Miłosza autoportret przekorny, B. Jonuskaite)

Cz. Miłosz – Tevynes ieskojimas (Szukanie ojczyzny; A. Kalenda, A. Sverdiolas, A. Grybauskas)

Cz. Miłosz – Lenku literaturos istorija (The History of Polish Literature; K. Platelis)

Cz. Miłosz – Ulro Zeme (Ziemia Ulro; A. Grybaskas)

Cz. Miłosz – Pavergtas protas (Zniewolony umysł; A. Grybauskas)

W. Gombrowicz – Dienoratis (3 t.) (Dziennik)

W. Gombrowicz – Literaturos teorija siandien (antologija)

L. Kołakowski – Metafizinis siaubas (Metaphysical Horror; A. Jakubaitis)

J. Szacki – Liberalizmas po komunizmo (Liberalizm po komunizmie)

L. Balcerowicz – Socializmas, Kapitalizmas. Transformacija (Socialism, Capitalism, Transformation)

Wolna trybuna

O skutecznym rad sposobie

(Stanisław Konarski, 1700-1773)

W postępowaniu nie tylko jednostek ale i całych społeczeństw, czy też państw, uderza, że to, co rozumiemy pod nazwą judeo-chrześcijańskich norm etycznych i moralnych oraz zasad współżycia, w codziennym życiu rzadko tylko bywa urzeczywistniane.

Ponad dwutysiącletnie nauczanie w oparciu o Stary i Nowy Testament czy też o Koran, mimo ogromnych wysiłków, tak duchownych jak i świeckich myślicieli zajmujących się interpretacją i nauczaniem zasad etycznych i moralnych zawartych w przekazach twórców religii, odnosiło i nadal odnosi skutek daleki od zamierzonego. Inne, np. dalekowschodnie religie czy też filozofie, również nie mogą pochwalić się wielkimi sukcesami.

Jednostki oszukują, kradną, gwałcą, mordują i znęcają się nad bliźnimi, a rządy często postępują podobnie – tylko na większą skalę i przy użyciu lepszej techniki. Nie mogę co prawda powołać się na statystyki z poszczególnych stuleci, ale patrząc wokół trudno oprzeć się wrażeniu, że jeżeli nie ilościowo to przynajmniej jakościowo bardzo niewiele się niestety zmieniło. Pomyślmy o Jugosławii, Izraelu, Irlandii lub Algierii czyli o państwach, w których żyją wyznawcy wielkich monoteistycznych religii. Nie jest dobrze. Oczywiście trudno mówić jak przedstawiałaby się sytuacja w świecie bez religii. Z pewnością nie mielibyśmy przykładów niesłychanej dobroci i oddania licznych, głęboko wierzących i działających z pobudek religijnych jednostek. Zapewne też brak ich przykładu oraz nauczania z tym związanego, który miałby niekorzystny

wpływ na obyczaje. Ale w jakim stopniu oddziaływałoby to na ogólną sytuację – trudno powiedzieć.

Chyba uzasadniona jest obawa, że wraz z postępującą, a niewątpliwie związaną z rozwojem i upowszechnieniem nauki laicyzacją, wysiłki wszystkich religii, tak długo jak będą się one opierały na „odwiecznych" metodach oraz interpretacjach, coraz mniej przemawiać będą do współczesnego człowieka.

Czy wiadomo coś o umoralniającym wpływie wielkich zgromadzeń lub uroczystości religijnych? Czy jakieś instytuty badania opinii publicznej próbowały zmierzyć np. wpływ pielgrzymki papieskiej do Brazylii i Mszy Świętych z udziałem milionów wiernych? Czy takie, niewątpliwie ogromne, przeżycie poza *theatrum* przyczyniło się do zmiany zachowań, do zmniejszenia liczby gwałtów, sztucznych poronień, oszustw czy też innych występków i czy miało to jakikolwiek wpływ na rządzących i rządzonych przy rozwiązywaniu przez nich konfliktów społecznych?

Nie słyszałem o takich badaniach, ale poważnie wątpię czy na dłuższą metę stwierdziłyby one jakąkolwiek różnicę. A przecież chyba właśnie to jest głównym i zamierzonym ich celem. Wizytę papieża wymieniłem jedynie jako przykład, jako coś nam dobrze znanego i bliskiego, ale podobne są zapewne następstwa lub raczej ich brak, wielkich wystąpień przywódców innych religii. Billy Graham, charyzmatyczny i niezmiernie popularny w Ameryce ewangelista, też jej nie zmienił.

Już od dawna, ale szczególnie począwszy od wieku Oświecenia, dyskutowano znaczenie etyki i uzasadniano potrzebę przestrzegania jej zasad. Pojawiały się propozycje norm moralnych i etycznych, niezbędnych tak w stosunkach pomiędzy jednostkami, jak i w skali całych społeczeństw i państw. W rozważaniach tych najczęściej nie powoływano się na przesłanki wynikające z religii, lecz na argumenty zupełnie od niej niezależne. Co oczywiście nie znaczy, że znajomość głoszonych przez religie zasad etycznych nie miała tu pozytywnego wpływu. Nie sposób jednak nie zauważyć, że mimo pewnej zbieżności celów, argumenty i tok rozumowania były zasadniczo odmienne. Często zresztą zagadnienia te były rozwijane i analizowane przez myślicieli religijnie obojętnych, a nawet wrogich religii.

Pewne pojęcia etyczne skodyfikowane i międzynarodowo przyjęte pod nazwą Praw Człowieka powstały, przynajmniej po części, na skutek małej skuteczności nauczania etyki w oparciu o nakazy wynikające z religii i bez powoływania się na nią. Nie zmienia to faktu, że głęboka wiara jest drogowskazem i potężnym motorem działania. Niestety jednak, tak w skali jednostek jak i całych społeczeństw wyniki tej godnej podziwu działalności są chyba niewspółmiernie nikłe w porównaniu z ogromnym i trwającym tysiące lat nakładem energii i środków materialnych związanych z nauczaniem etyki i moralności opartych na religii.

Czy zatem jeżeli cel działania jest tak szlachetny, a wyniki tak niezadowalające, nie należy się głębiej zastanowić nad samymi sposobami oddziaływania? Może jedną z przyczyn ich małej skuteczności jest niedostosowanie do potrzeb i poglądów współczesnego człowieka. Na poważne trudności w tej dziedzinie wskazuje m.in. pustoszenie świątyń oraz kryzys powołań we wszystkich kościołach chrześcijańskich. O potrzebie dostosowania metod ewangelizacji do dzisiejszych potrzeb mówi wyraźnie papież w swym liście do biskupów polskich z 8 czerwca 1997. Czy się to podoba czy nie, wszystko wskazuje na to, że „ogień piekielny" stracił prawie całą swą siłę umoralniającą i to pod wszystkimi szerokościami geograficznymi, tak w mieście jak i na głuchej wsi.

Zapewne „zapobiegliwość" natury ludzkiej, ale często bezmyślność oraz niewiedza, stawiają jednostkę lub grupę w konflikcie z innymi. Skoro jednak nie przyjmujemy, że natura ludzka jest immanentnie zła, bowiem wówczas wszelkie próby jej zmiany byłyby z samego założenia skazane na niepowodzenie i pozostawałby jedynie bat lub kodeks karny, musimy nieprzerwanie szukać skuteczniejszych sposobów oddziaływania i metod wychowawczych. I oceniać ich przydatność w świetle wyników jakie dają. Zasada „coś za coś", oczywista w świecie transakcji materialnych, jest nie do przyjęcia w świecie etyki czy wartości moralnych. Pewne zachowania mają miejsce dlatego, że się je uważa za słuszne, a nie dlatego że zapłacono za nie żądaną cenę. Jeżeli postępuje się dobrze, licząc na wynikającą z wiary nagrodę w przyszłym życiu, to gdy pojawia się kryzys tej wiary, motywacja do etycznego postępowania odpada. Równanie „coś za coś" nie

spełnia się, zawodzi. Proponowanie nie spełniających się równań moralno-materialnych kosztowało chrześcijaństwo rozłamy i wojny.

Byłem kiedyś na spotkaniu z udziałem przedstawicieli trzech monoteistycznych religii. Po dyskusji z udziałem rabina, księdza, pastora i mułły, ten ostatni podsumował, że z całej dyskusji jasno wynika, że wszyscy z całego serca pragną służyć Panu, a różnią ich tylko właściwe każdej religii „regulaminy służby" czyli różnice w interpretacji nakazów Bożych. I tylko przez te różnice interpretacyjne przelano morze krwi.

Sobór Watykański Drugi przyjął, co było istotnym *novum*, że człowiek, który żyje etycznie, może zostać zbawiony bez względu na to jakiego jest wyznania, a nawet niezależnie od tego czy jest wierzący, czy też nie. Wiara przez swą treść może mu to tylko ułatwić. (Dokument soborowy *Lumen gentium* mówi: „Nie odmawia też Opatrzność Boża koniecznej do zbawienia pomocy takim, którzy bez własnej winy w ogóle nie doszli jeszcze do wyraźnego poznania Boga, a usiłują, nie bez łaski Bożej, wieść uczciwe życie", patrz J. Tischner: „W krainie schorowanej wyobraźni", str. 167). Zmiana stanowiska zresztą jak najbardziej zrozumiała nawet dla laika; trudno bowiem pojąć aby Pan Bóg objawiając swoje Prawdy w małym tylko zakątku wybrzeża Morza Śródziemnego zamierzał, na tysiące lat, pozbawić możliwości zbawienia ludy, żyjące w nieświadomości tych Prawd, w całej reszcie świata.

Jak to stanowisko Soboru może być odczytane i do jakich wniosków ono upoważnia? Może zabrzmi to bardzo śmiało, ale chyba jednak oznacza ono, że w świetle nauk Soboru Watykańskiego Drugiego, ostatecznym celem i jednocześnie drogą do zbawienia jest życie zgodne z zasadami etyki, bez względu na to z jakich wypływa pobudek – religijnych, czy też z niezależnego od nich rozumowania. Czyli religia byłaby tylko j e d n ą z dróg do zbawienia oraz do bardziej etycznego postępowania jednostek, społeczeństw i państw. Ale nie mnie zagłębiać się w takie rozważania.

Podkreślam raz jeszcze, że mimo postępującej laicyzacji, religie mają jednak nadal potencjalnie ogromną rolę do spełnienia. W tym artykule mniej zajmują mnie głęboko

wierzący i żyjący zgodnie z nakazami swojej religii – o nich jestem spokojny – ale cała, jakże liczna, reszta sceptyków oraz osób religijnie obojętnych. Przecież nie można ich zostawić samym sobie. Oni też potrzebują wskazówek moralnych i etycznych. Liczba wierzących, a szczególnie nominalnie wierzących i chodzących do kościoła oraz uczących się religii, jest stale znaczna. Stanowią oni to, co po angielsku nazywa się *captive audience*, czyli są w sytuacji, że skoro przyszli do kościoła czy na lekcję, to muszą wysłuchać tego, co się do nich mówi. I tu dochodzimy do sedna sprawy. Religie mogą swą rolę drogi do upowszechniania i umacniania zasad etycznych spełniać lepiej lub gorzej. Obecnie, przynajmniej patrząc na mierność wyników, spełniają raczej nie najlepiej. Gdzie szukać sposobów poprawy? Chyba za mało uczy się etyki jako wartości podstawowej, samej w sobie i niezależnej zarówno od ideologii, jak i religii. Za mało chyba jest współpracy pomiędzy otwartą częścią duchowieństwa, pedagogami, psychologami oraz etykami, celem wypracowania odpowiednich programów.

Zagadnienie ma oczywiście wymiar ogólny i wykraczający poza scenę polską. Niestety nauczanie zasad etyki i moralności prawie wszędzie zniknęło z programów szkolnych. Ale, być może, nadchodzi jego renesans. We Francji i Szwajcarii powraca się do prac Jeana Piageta, wybitnego pedagoga i psychologa wieku dziecięcego, który szczególnie intensywnie zajmował się problematyką kształtowania, począwszy od wczesnego dzieciństwa, człowieka jutra, świadomego obywatela, potrafiącego współżyć z otoczeniem w oparciu o pewne zasady moralne i etyczne.

Przemawiajmy do rozumu, wyrabiajmy poczucie sumienia czyli tej właściwości psychicznej, pozwalającej odpowiednio oceniać własne postępowanie jako zgodne lub niezgodne z przyjętymi normami etycznymi. Dzieje ludzkości na ogół wskazują, że myślenie ma jednak przyszłość! Co nie znaczy, że wyniki sa zawsze pozytywne etycznie. Co za wspaniały cel: wzbogacać myślenie o czynnik etyczny. Powołujmy się na przykłady i służmy przykładem. Będąc sami wiarygodnymi, zwiększymy naszą siłę przekonywania. Żadne środowisko ani grupa wiekowa nie jest niewrażliwa na te problemy, ale trzeba do niej trafić. Nie jest to łatwe i często

odnosi sie wrażenie, że duchowieństwo, przez sposób w jaki mówi, dociera tylko do nielicznych. Mówi „obok" człowieka, a nie do człowieka. W języku kapitalistycznym powiedziano by, że należy zmienić metody marketingu i *public relations*.

Niezależnie od tego sprawa jest zbyt poważna aby oddawać ją w ręce jednej tylko instytucji, która do tego, jak widać, nie radzi sobie z tym najlepiej. Może trzeba inaczej, a nie tylko więcej tego samego. Na całe stulecia rozwiązywanie problemów etycznych i moralnych zostało niejako scedowane na Kościoły, co nie było rzeczą dobrą. Nawet jeżeli cel jest ten sam, to droga do niego wymaga różnych sposobów postępowania, zależnie od środowiska, do którego chce się trafić.

I, nie bójmy się, gdy jest to uzasadnione, zmieniać poglądy. Wiemy, że nie przychodzi to łatwo jednostkom, a co dopiero tym, na których ciąży odpowiedzialność za całe Kościoły. Zresztą w konfrontacji z faktami zmiany poglądów w świecie religii w końcu i tak następują, ale z takim opóźnieniem w stosunku do powszechnego już ich uznania, że pogłębiają one tylko sceptycyzm.

Na szczęście, dziś z ogłoszeniem dzieł Kopernika nie trzeba by czekać do jego śmierci, Galileusza by nie prześladowano, a Giordano Bruno nie spłonąłby na stosie. Przecież dopiero teraz, blisko 150 lat po dziele Karola Darwina, Kościół katolicki uznał istnienie ewolucji gatunków...

Jan VENULET

POLSKA – WSCHODNI SĄSIEDZI

1.5.98

Nagroda ufundowana przez prof. Karskiego w 1992 r. w nowojorskim YIVO (Institute for Jewish Research) została w tym roku przyznana dr Rucie Sakowskiej z Historycznego Instytutu Żydowskiego w Polsce. Dr Sakowska jest historykiem warszawskiego getta i dyrektorem archiwum E. Rinbelbluma w warszawskim Instytucie, które jest najważniejszym archiwum holokaustu na świecie. Autorka książki o warszawskim ghetcie pt. „Ludzie z dzielnicy zamkniętej" i innych prac z tej dziedziny, dr Sakowska jest również redaktorem publikacji, poświęconej archiwum holokaustu, której pierwszy tom ukazał się niedawno w Polsce. Nagroda w wysokości 5 tysięcy dolarów została wręczona dr Sakowskiej w maju w Historycznym Instytucie Żydowskim w Warszawie.

2.5.98

Staraniem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich odbyły się VI Warszawskie Dni Literatury 1998 „Polska Rzeczpospolitą wielu narodów". Trwały one do 8 maja. W ich ramach odbył się kiermasz książki historycznej i tłumaczeń z języków narodów, które były związane z historią Polski; spotkanie z pisarzami polskimi żyjącymi na Litwie i w Izraelu, oraz z pisarzami węgierskimi, izraelskimi, czeskimi, ukraińskimi i litewskimi. Miała miejsce również dyskusja panelowa „Jak tolerancja dawnej Polski kształtowała myśl europejską?" Ponadto zorganizowano dyskusję panelową na temat „Bogactwo kultury polskiej owocem dawnej tolerancji". Na zakończenie odbył się wykład Piotra Wandycza „Znaczenie tolerancji w kulturze polskiej".

25.5.98

Komitet Historii Nauki i Techniki Polskiej Akademii Nauk uczcił 90-lecie urodzin prof. Gabriela Brzęka z Lublina. Prof. Brzęk jest autorem „Historii zoologii polskiej" oraz 12 książek i wielu artykułów naukowych z zakresu przyrodoznawstwa stosowanego.

6.6.98

Zbudowana przed siedemdziesięciu laty szkoła podstawowa we wsi Fabianki w Ziemi Dobrzyńskiej została nazwana imieniem Jerzego Pietrkiewicza, który urodził się w tej wsi. ■ W Hajnówce trwa XVII Międzynarodowy Festiwal Muzyki Cerkiewnej. Bierze w nim udział 30 zespołów z całego świata. Impreza ta jest największym tego typu przedsięwzięciem na świecie.

17.6.98

W sali konferencyjnej Central European University w Pałacu Staszica w Warszawie, staraniem Forum Europy Środkowo-Wschodniej,

odbyło się seminarium na temat „Nowy ład w Azji Centralnej". W czasie seminarium wygłoszono następujące referaty: Murat Auezow, filolog, ambasador Kazachstanu w Chinach (1992-95) – „Wielki Jedwabny Szlak – szansa polityczna, ekonomiczna i kulturalna dla Azji Centralnej", Ednan Karabajew, historyk, Kirgijsko-Rosyjski Uniwersytet Słowiański – „Polityka Rosji wobec Azji Centralnej"; Gulmira Jusupowa, politolog, Państwowy Taszkiencki Uniwersytet – „Transformacja systemu politycznego Uzbekistanu"; Witalij Woronow, przewodniczący organizacji „Prawowoje Razwitie Kazachstana" – „Sytuacja polityczna i społeczna w Kazachstanie – aspekt prawny"; Aleksandra Grigorjewa, ekonomista, redaktorka gazety *Wiadomości Bankowe* – „Reformy ekonomiczne w Uzbekistanie i problem restrukturyzacji poszczególnych branż gospodarki"; Jarkinay Musajewa, ekonomista, Państwowy Uniwersytet Kirigijski – „Kirgistan na drodze reform ekonomicznych".

18.6.98
W Muzeum Narodowym Historii i Kultury Białorusi w Mińsku została otwarta wystawa poświęcona *Kulturze*, zorganizowana przez Białoruską Fundację Kulturalną i muzeum, przy wydatnej pomocy dyrektora Instytutu Polskiego w Mińsku Tomasza Niegodzisza. Następnego dnia rozpoczęło się seminarium poświęcone działalności *Kultury*.

19.6.98
XIV Społecznemu Liceum Ogólnokształcącemu w Warszawie nadano imię Józefa Czapskiego.

22.6.98
W Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie została otwarta wystawa „XX wiek w zbiorach Muzeum Literatury".

ZACHÓD

14.6.98
Zmarł w Rzymie w wieku 79 lat Jerzy Hordyński, poeta i felietonista Był wieloletnim korespondentem krakowskiego tygodnika *Przekrój*. Wydał 14 tomików wierszy.

16.6.98
W Galerie Alice Mogabgab w Bejrucie miał miejsce wernisaż prac rzeźbiarskich Ludwiki Ogorzelec. ■ Pod patronatem prezydenta Czech Wacława Havela, prezydenta Jacques'a Chiraca oraz prezydenta francuskiego senatu René Monory i prezydenta senatu czeskiego Petra Pitharta, odbyło się w Pałacu Luksemburskim dwudniowe kolokwium „1968 – wiosna czechosłowacka".

18.6.98
W Stacji Naukowej PAN w Paryżu odbył się odczyt prof. Karola Myśliwca, dyrektora Ośrodka Archeologii Śródziemnomorskiej, na temat „Fouilles archéologiques polono-égyptienne à Saqqara Ouest".

20.6.98
W ogrodach de Valmer we Francji miał miejsce wernisaż Joanny Wierusz „Obrazy nie nazwane". Wystawa trwać będzie do 30-go września br.

23.6.98
Została podpisana umowa między regionem Alzacji a województwem wrocławskim w sprawie współpracy. Od dłuższego czasu ta współpraca jest bardzo żywa. Zrealizowano już ponad 30 konkretnych projektów z dziedziny gospodarki, kultury, ochrony środowiska i szkolenia zawodowego. Departament Górnego Renu udzielił Wrocławowi pomocy w czasie ostatniej powodzi, przekazując sprzęt ratunkowy. W związku z podpisaniem umowy będzie zorganizowany tydzień Wrocławia w Milhuzie, Colmarze i Strasburgu.

29.6.98
W Galerie de la Seita w Paryżu została zainaugurowana wystawa Ludwiki Ogorzelec „Sculpture in situ" z cyklu „Cristallisation de l'espace".

3.7.98
W Centre du Dialogue w Paryżu ks. arcybiskup Jerzy Stroba z Poznania wygłosił odczyt „Od konwencji w 1988 do konkordatu 1993". Poprzednio, 26-go czerwca, ks. prof. Andrzej Fr. Dziuba z Warszawy wygłosił odczyt „Czy Jezus Chrystus był politykiem?".

5.7.98
W Osny pod Paryżem księża pallotyni zorganizowali tradycyjny doroczny Zjazd Katolicki. Przewodniczył mu ks. arcybiskup Jerzy Stroba w asyście bpa Pontoise Thierry'ego Jordana i ks. Stanisława Jeża, rektora Polskiej Misji Katolickiej we Francji.

Listy do Redakcji

EMBARRAS DE RICHESSE

28.5.98

Szanowny Panie Redaktorze!

Bogata Polska zrezygnowała wielkodusznie z części pomocy PHARE, w wysokości 34 mln. Ecu (ok. 50 mln. dolarów), na rzecz biedniejszych krajów współubiegających się o przyjęcie do Unii Europejskiej i nieskorych do podobnie charytatywnych gestów. Mimo kilkakrotnych głośnych ostrzeżeń z Brukseli, Komitet Integracji Europejskiej w Warszawie nie przedstawił władzom Unii w ustalonym terminie programu wykorzystania tej sumy. Można było odnieść wrażenie, że Polska po prostu zbyt wielkiej pomocy nie potrzebuje. Zamożny *partner in spe* to dla Zachodu czysta wygrana. Wkrótce jednak okazało się, że rezygnacja z ok. 1/4 sumy oferowanej przez Unię nie była zgodna z intencjami rządu RP i premier Buzek zdymisjonował karnie zastępcę przewodniczącego KIE pod zarzutem zaniedbania prac nad dokumentem, którego domagała się Unia. To, co wydawało się realizacją chrześcijańskiej zasady wspomagania biednych, przybrało postać urzędniczego przeoczenia. Że nie wie lewica, co robi prawica, to rzecz normalna. Dlaczego jednak przewodniczący KIE nie mógł dojść do porozumienia z własną prawą ręką i musiał jej się pozbyć po niewczasie z pomocą premiera? Zagadkę tę łatwiej byłoby rozwiązać z pożytkiem na przyszłość, gdyby zamiast szybkiej decyzji personalnej szefa rządu, działalnością KIE zajęła się gruntownie odpowiednia komisja sejmowa. A może należałoby podporządkować tę instytucję któremuś z ministrów z prawdziwego zdarzenia – np. finansów lub spraw zagranicznych? Przy okazji warto byłoby się także zainteresować sprawą wykorzystania pomocy zagranicznej na budowę autostrady, która łączyć miała Polskę z Zachodem i Wschodem. Czy przypadkiem i tu z czegoś przez omyłkę nie zrezygnowano?

Z głębokim szacunkiem i serdecznymi pozdrowieniami

Andrzej ALBRECHT

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

Emil B., Polska: **– Wbrew pozorom haiku to jedna z najtrudniejszych form poetyckich.**

Waldemar K., Kanada: **– Chwalebne wydaje się dążenie do zapisywania swych refleksji wierszem, lecz to nie znaczy, że mamy do czynienia z poezją. Przy okazji: nie ma formy „moknęli", wystarczy mniej skomplikowana „mokli".**

Sylwia P.: **– Zapisywanie oczywistości trudno nazwać poezją, zaś „ręce chwytające pustkę" to jeden z licznych banałów, które Pani przywołuje.**

Mariusz B., Polska: **– Zapewne Pana refleksje religijne staną się bardziej spójne, gdy zrezygnuje Pan z mowy wiązanej.**

P.S., Polska: **– Pana wiersze świadczą o sporym oczytaniu, lecz jednocześnie o braku oryginalności. Poetycka retoryka to tylko słaby cień klasycyzmu. Czy chce Pan zamordować Hegla? Tak przynajmniej można by sądzić czytając zapowiedź, że „sprawiedliwość wbije / sztylet w gardło tego / co rzeczywiste / i rozumne".**

Małgorzata K., USA: **– Wiersz Pani jest typowym utworem okolicznościowym i trudno na jego podstawie wyrokować o tym, co oryginalnego pragnie Pani w poezji pokazać.**

Mateusz K., USA: **– Wierszy angielskojęzycznych nie publikujemy. Co zaś do utworów pisanych po polsku – nie tylko częstochowskie rymy w nich przeszkadzają. Są po prostu słabe.**

– *Komunikat Komisji Stypendialnej Fundacji im. Stanisława Lama* . . . 191
– *Komunikat Komisji Stypendialnej Fundacji im. Jana i Suzanne Brzękowskich* . . . 192

KSIĄŻKI

Ks. Józef Tischner: *Ewangelia wedle Syna* . . . 193
Leszek Szaruga: *Rondo dolnośląskie* . . . 202
Piotr Daszkiewicz: *Revue d'Histoire de la Médecine Hébraïque* . . . 204
Bogumiła Żongołłowicz: *Antidotum na tęsknotę* . . . 209
– *Autorzy polscy na Litwie* . . . 212

WOLNA TRYBUNA

Jan Venulet: *O skutecznym rad sposobie* . . . 213

●

– *Wydarzenia miesiąca* . . . 219

●

Andrzej Albrecht: *List do Redakcji: Embarras de richesse* . . . 222
– *Odpowiedzi Redakcji* . . . 223

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 3ème trimestre 1998.

Akredytowany korespondent *Kultury* w Rosji:
Mariusz Wilk, Primorskaja 15, Archangelskoj obł., 164409 SOŁOWKI

Skład komputerowy: MacWire Diffusion.

Imprimé en France.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi par 78600 Maisons-Laffitte – Telefon 01-39-62-19-04
Fax: 01-39-62-57-52

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata 1/2-roczna	Prenumerata roczna
	Ceny na rok 1998		
AFRYKA POŁUDNIOWA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRALIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: **Barbara Malak-Minkiewicz**, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Fl h 20,00	Fl h 110,00	Fl h 210,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv. Tel. i fax: (3) 5606311	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; **Baltazar Krasuski,** 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; **Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches,** 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 789-8260,fax: (613) 789-1051; **Z. Micherdziński,** 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, tel.: 545-2115	$ can.13,00	$ can.75,00	$ can.140,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessstr. 39/41, D 80328 München, tel.: (089) 54-21-80; **Księgarnia Wawel,** Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1, tel.: 0221/24-61-60	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
NORWEGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 27, rue de la Fontenette, 1227 Carouge/GE. Tel.: 343-05-84	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
SZWECJA: Wojciech Luterek, Regnstigen 14-6 Tr., 169-60 SOLNA. Tel. (08) 83-13-33.	Sk 85,00	Skr 450,00	Skr. 850,00
U.S.A.: Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; **St. Kwiatkowski,** 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109, tel.: (216) 351-8219; **POLONIA Bookstore,** 4738N Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60630, tel. (773) 481-6968; **Księgarnia Ludowa,** Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; **Szwede Slavic Books**, 2233, El Camino Real, Palo Alto, CA 94306-1541. Tel. (650) 325-5590 & (650) 851-0748; **Księgarnia «Nowego Dziennika»**, 333, West 38th Street, New York, N.Y., 10018, tel.: (212) 594-2266	$ US 11,00	$ US 60,00	$ US 116,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (171) 370-2210	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: (06) 77-20-15-58	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

W krajach nie wymienionych prenumerata roczna – F. 600; półroczna – F. 320.
***Przesyłka* pojedynczego numeru – F 6,00.**

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, par 78600 MAISONS-LAFFITTE – C.C.P. PARIS 18-228-56 W (*z Francji*) lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (*z zagranicy*)

Nowości wydawnicze

Tom 503 – ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT STO DWUDZIESTY CZWARTY

zawiera opracowania: B. Baczko: *Niepokój historyka* (François Furet i problemy Rewolucji Francuskiej); A. Kolańczuk: *Generałowie polscy w Armii Ukraińskiej Republiki Ludowej 1917-1920;* oraz *Generałowie Ukraińskiej Republiki Ludowej internowani w Polsce;* B. Puchalska: *Było to tak... Rozmowy z Juliuszem Hibnerem* (Wspomnienia generała J. Hibnera są dokumentem jedynym w swoim rodzaju ze względu na osobę autora: uczestnika Brygad Międzynarodowych w czasie wojny domowej w Hiszpanii, oficera Pierwszego Korpusu gen. Berlinga, odznaczonego Orderem Bohatera ZSRR po bitwie pod Lenino, a po wojnie dowódcy wojsk wewnętrznych, który umiał wystąpić przeciwko Związkowi Sowieckiemu, gdy w październiku 1956 roku groziła Polsce interwencja zbrojna); J.R. Krzyżanowski: *Jak robiliśmy encyklopedię;* E. Halicz: *Polska w oczach Niemców;* T. Wyrwa: *Sandomierski pułk Armii Krajowej;* Z. Nicman: *Książka o Brześciu nad Bugiem;* A. Kamieniecki: *Pomnik Stanisława Mikołajczyka;* Z.S. Siemaszko: *Mieczysław Pruszyński o 1920 roku*; M. Siekierski: *Polskie zbiory Instytutu Hoovera;* A. Sehn: *Król Polski Abraham Prochownik;* P. Daszkiewicz: *Rzeczpospolita w korespondencji sir Josepha Banksa* oraz LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240 **Cena F. 90,00**

Cena 90 F

I.N., 93400 St-Ouen – 3039 -1998